

ANDRE NORTON

GWIEZDNY ZWIAD

TYTUŁ ORYGINAŁU STAR RANGERS
TŁUMACZYŁ: WŁODZIMIERZ NOWACZYK

*Dla Nan Hanlin,
która również podróżuje
wśród gwiazd w swej prozie,
jeśli nie w rzeczywistości.*

PROLOG

Istnieje stara legenda o rzymskim cesarzu, który, żeby popisać się potęgą swej władzy, wyznaczył dowódcę jednego z wiernych mu legionów i kazał mu poprowadzić swój oddział przez Azję, aż na sam koniec świata. Tym samym tysiąc legionistów na zawsze przepadło na rozległych przestrzeniach największego z kontynentów. Zapewne gdzieś daleko, na nie nazwanym polu bitwy, garstka tych, co przeżyli, po raz ostatni sformowała szyk bojowy zniesiony przez przeważające siły barbarzyńskich wojowników. Pewnie ich dumny orzeł, samotny i zbezczeszczone, leżał przez lata w jurcie z końskich skór. Jednak ci, którzy znali dumę żołnierzy i ich wierność legionowej tradycji, wiedzieli, że maszerowali oni na wschód dopóki niosły ich poranione stopy.

W roku 8054 historia kolejny raz zatoczyła koło. Pierwsze Imperium Galaktyczne znajdowało się w stanie rozkładu. Dyktatorzy, cesarze, konsolidatorzy walczyli o niezawisłość własnych i spokrewnionych układów słonecznych, starając się wyrwać je spod władzy Centralnej Kontroli. Kosmiczni piraci wyczuli pismo nosem i rekrutowali całe floty, by skorzystać z sytuacji. Nastął czas, kiedy jedynie pozbawieni skrupułów mogli się rozwijać.

Tu i ówdzie jednostka lub grupa na próżno starała się stawić czoło katastrofie i rozpadowi. Znaczącą pozycję wśród tych ostatnich bojowników, którzy nie godzili się na odrzucenie niepodzielnej władzy Centralnej Kontroli, zajmowali członkowie gwiazdowego patrolu - sił policyjnych utrzymujących porządek przez ponad tysiąc lat. Być może czynili to wiedząc, iż poza ich własną formacją nie można już znaleźć bezpieczeństwa i dlatego tak ściśle trzymali się etosu, który w nowym świecie wydawał się staroświecki. Nowym władcom taka uparta wierność ginącym ideałom wydawała się jednocześnie drażniąca i żalosna.

Jorcam Dester, ostatni agent Kontroli w Deneb, który kierował się własnymi ambicjami, rozwiązał problem patrolu w swym sektorze na rzymską modłę. Wezwał pół tuzina oficerów dowodzących zdolnymi do lotu statkami i rozkazał im, zgodnie ze swymi uprawnieniami, udać się w kosmos, aby (jak stwierdził) zlokalizować i uaktualnić mapy układów granicznych. Przez przynajmniej cztery generacje nie były one wizytowane przez żadne organy Kontroli. Niezbyt jasno zaofiarował się utworzyć na nich nowe bazy, gdzie patrol mógłby się wzmocnić i odrodzić, aby znów móc skutecznie walczyć o ideały Kontroli. Wierni do końca dowódcy ruszyli w drogę na dawno nie remontowanych statkach, z niepełną załogą i skromnym zaopatrzeniem, gotowi wykonać rozkaz do końca.

Jednym z tych pojazdów był wegański statek zwiadowczy - *Starfire*.

ROZDZIAŁ I - OSTATNI PORT

Statek patrolu, *Starfire*, zarejestrowany na Vedze, dobił do swego ostatniego portu wczesnym rankiem. Nie było to najlepsze lądowanie - dwie skorodowane rury wybuchły, gdy pilot próbował osadzić go na podporach. Pojazd podskoczył, odbił się od podłoża i runął na pokiereszowaną meteorami burzę.

Zwiadowca - sierżant Kartr, podtrzymywał lewy nadgarstek zdrową dłonią i zlizywał krew z przygryzionych warg. Lewa ściana kabiny pilota była teraz podłogą, a zasuwa włązu wbijała się boleśnie w jedno z wciąż drżących kolan.

Spośród jego towarzyszy Latimir nie przeżył lądowania. Wystarczyło jedno spojrzenie na dziwnie wygięty czarny kark astronawigatora. Mirion - pilot, zwisał bezwładnie na podartej sieci przeciwwstrząsowej, tuż nad pulpitem sterowniczym. Krew spływała mu po policzkach i kapała z brody. Czy martwy człowiek może krwawić? Kartr nie sądził, aby to było możliwe.

Ostrożnie wciągnął powietrze w płuca i ucieszył się, iż nie odczuwa bólu. Znaczyło to, że żebra nie były połamane, choć tuż przed lądowaniem niezłe nim zakotłowało. Uśmiechnął się ponuro po wykonaniu kończynami próbnych ruchów. W sumie opłacało się być twardym, niecywilizowanym barbarzyńcą z pogranicza.

Lampki zapalały się i gasły chaotycznie. Dopiero ten widok sprawił, mimo wytrenowanego spokoju weterana wielu misji, że Kartr poczuł obezwładniającą falę paniki. Chwycił zasuwę i szarpnął. Ukłucie bólu ze zranionego nadgarstka przywróciło go do rzeczywistości. Nie był odcięty - włąz odsunął się na cal. Zdoła się wydostać.

Musi się wydostać i znaleźć medyka, który spojrzy na Miriona. Nie należy ruszać pilota, dopóki nie rozpozna się jego obrażeń.

Wróciła pamięć. Nie było wśród nich medyka. Nie było go od trzech, a może czterech planet. Zwiadowca potrząsnął obolałą głową i zmarszczył brew. Taka utrata pamięci była gorsza od bólu w ramieniu. Musi się trzymać!

Tak, to było trzy lądowania temu. Odparli atak Zielonych, mimo, że zepsuła się wyrzutnia dziobowa. Medyk Tork padł wówczas przeszyty trującą strzałką.

Kartr ponownie potrząsnął głową i cierpliwie, jedną ręką, rozpoczął zmagania z włączem. Wydawało się, że minęło sporo czasu, zanim zdołał uchylić go na tyle, aby człowiek zdołał się prześliznąć. Zmrużył oczy osłепiony niebieskim płomieniem.

- Kartr! Latimir! Mirion! - Lista obecności wykrzykiwana nerwowym tonem towarzyszyła promieniowi.

Tylko jeden człowiek na pokładzie miał niebieską latarkę.

- Rolth! - krzyknął Kartr. Był zadowolony słysząc głos jednego ze swych ludzi z zespołu zwiadowców. - Latimir osiągnął kres, ale według mnie Mirion jeszcze żyje. Możesz tu wejść? Chyba złamałem nadgarstek...

Odsunął się od włazu, aby przepuścić kolegę. Cienki promień błękitnego światła przesunął się po ciele Latimira i znieruchomiał na pilocie. Latarka nagle znalazła się w dłoni Kartra, a Rolth wczuł się do wnętrza, by rozsupłać sieć podtrzymującą nieprzytomnego.

- Jak źle z nami? - Kartr podniósł głos, aby słyszano go ponad jękami rannego.

- Nie wiem. Kabina zwiadowców nieźle z tego wyszła, ale właz do części napędowej jest zablokowany. Pukamy ile sił, ale nie ma odpowiedzi.

Kartr starał się przypomnieć sobie, kto miał służbę przy napędzie. Mieli tak mało ludzi na pokładzie, że każdy zastępował każdego. Nawet zwiadowcy musieli wykonywać zadania niegdyś zastrzeżone dla członków patrolu. Atak Zielonych wymusił taką sytuację.

- Kaatah - wezwanie bardziej przypominające syk niż słowo dotarło z przejścia.

- W porządku. - Sierżant odpowiedział niemal automatycznie. - Masz jakieś prawdziwe światło, Zinga? Rolth tu jest, ale sam wiesz jaką ma latarkę...

- Fylh szuka waśniaków - odpowiedział nowo przybyły. - Masz kłopoty?

- Latimir nie żyje. Mirion jeszcze dycha, ale nie wiadomo, jak bardzo dostał. Rolth twierdzi, że obsługa napędu nie odpowiada na wezwania. Ty jesteś w porządku?

- Tak. Fylh, ja i Smitt z załogi. Trochę nami potrząsnęło, ale to nic groźnego.

Zółtoczerwony promień oświetlił mówcę.

- Fylh przyniósł lampę bitewną...

Zinga wspiął się na burtę i pomagał Rolthowi. Uwolnili Miriona z sieci i ułożyli go na noszach zanim Kartr zdołał zadać następne pytanie.

- Co z kapitanem?

Zinga powoli odwrócił głowę, jakby zupełnie nie chciał odpowiadać na to pytanie. Jak zawsze, jego podniecenie objawiało się jedynie drżeniem czuba na głowie.

- Smitt poszedł go poszukać. Sami nie wiemy...

- Możemy chyba mówić o szczęściu - powiedział Rolth bez większych emocji. - To planeta typu Arth. Ponieważ nie ma szans, abyśmy wkrótce stąd odlecieli, lepiej podziękujmy za to Duchowi Kosmosu.

Planeta typu Arth - taka, na której załoga akurat tego statku mogła samodzielnie oddychać, swobodnie poruszać się w jej polu grawitacyjnym, a może nawet jeść i pić tutejsze Produkty bez zagrożenia nagłą śmiercią. Kartr oparł zraniony nadgarstek o kolano. Chyba naprawdę mogli mówić o dużym szczęściu. *Starfire* mógł rozbić się w każdym innym miejscu - przez ostatnie trzy miesiące trzymał się dosłownie na sznurku i dzięki pokładanej nadziei. Fakt, że stało się to na takiej planecie mógł świadczyć, że los był im przychylny bardziej, niż mogli się spodziewać po tylu rozczarowaniach, po latach wypełnionych zbyt licznymi wyprawami nie poprzedzonymi odpowiednimi przygotowaniem.

- Dobrze, że jej nie spalono - rzucił beznamiętnie.

- A czemu miałoby się tak stać? - spytał Fylh, niby żartobliwie, choć z nutką goryczy.

- Ten układ figuruje na skraju naszych map. Daleko od centrum rozdzielającego wszelkie przywileje naszej cywilizacji.

Tak, jasne, przywileje cywilizacji Centralnej Kontroli. Kartr doskonale to rozumiał. Jego własna planeta, Ylene, została doszczętnie zniszczona zaledwie pięć lat temu, podczas rebelii dwóch sektorów. Mimo to, nadal czasami marzył o wejściu na pokład statku pocztowego, w mundurze zwiadowcy z naszywkami z pięciu sektorów i gwiazdą za dalekie loty, o spacerze przez las do niewielkiej wioski na wybrzeżu północnego morza. Spalona! Z trudnością zmuszał się do wyobrażenia sobie strumieni rozżarzonej lawy zalewającej miejsce, gdzie była ta wioska, zgłiszczy, którymi była teraz Ylene - straszliwy symbol wojen międzyplanetarnych.

Linga zajął się jego nadgarstkiem i unieruchomił go na temblaku. Kartr mógł pomóc im w przeniesieniu Miriona przez właz. Kiedy umieścili pilota na noszach, Smitt - członek patrolu, znalazł się przy sanitariuszu prowadząc osobę z głową obwiązaną bandażami tak, że nie można było jej rozpoznać.

- Czy to Komandor Vibor? - zaryzykował Kartr.

Stał w nienaganej postawie na baczność, ze ściągniętymi piętami.

Zabandażowana głowa zwróciła się w jego stronę.

- Zwiadowca Kartr?

- Tak jest!

- Kto jeszcze...? - Początkowe zdecydowanie w głosie natychmiast zniknęło, ustępując miejsca ciszy. Kartr zmarszczył brew. Poruszył się niepewnie. - Jeśli chodzi o patrol, Latimir nie żyje, sir. Mamy tu rannego Miriona, a Smitt jest w porządku. Zwiadowcy Fylh, Rolth, Zinga i ja sam, jesteśmy zdrowi. Rolth twierdzi, że właz do przedziału

napędowego jest zablokowany. Nikt nie odpowiada na pukanie z naszej strony. Zaraz to zbadamy, sir. Tak jak przedział załogowy.

- Tak, tak, niech pan mówi dalej, zwiadowco.

Smitt zerwał się akurat na czas, żeby pochwycić bezwładne ciało opadające na podłogę. Komandor Vibor najwyraźniej nie był w stanie utrzymać władzy.

Kiedy zgasły światła, Kartr znów poczuł falę paniki. Komandor Vibor - człowiek, którego uznawali za opokę pewności i bezpieczeństwa w chaotycznym świecie, leżał bezwładnie u jego stóp. Wciągnął w płuca stęchłe powietrze przestarzałego statku i pogodził się z sytuacją.

- Smitt - zwrócił się do głównego technika komputerowego patrolu, który zgodnie z wszelkimi przepisami, zdecydowanie przewyższał rangą zwykłego sierżanta zwiadu - możecie zająć się Komandorem i Mirionem?

Smitt przeszedł jakieś szkolenie medyczne i raz lub dwa razy asystował Torkowi.

- W porządku. - Smitt nie zaprotestował pochylając się nad jęczącym pilotem. - Ty idź i sprawdź resztę tej ruiny, chłoptasiu.

Chłoptasiu? Nawet zadufani w sobie członkowie patrolu powinni być szczęśliwi mając ze sobą takich „chłoptasiów”. Zwiadowcy potrafili oceniać i wykorzystywać wytwory najdziwniejszych nawet światów. W obecnej sytuacji będzie im łatwiej poruszać się w obcej głuszy, niż dumnym załogantom patrolu.

Przyciskając zranioną rękę do piersi, Kartr przeciskał się przez korytarz. Rolth sunął za nim w goglach chroniących jego wrażliwe oczy przed snopem światła latarki. Zinga i Fylh szli na końcu, zaopatrzony przedtem w przenośny miotacz ognia umożliwiający przecięcie zablokowanych włazów.

Mimo tego potrzebowali dobrych dziesięciu minut, by otworzyć wreszcie luk do przedziału napędowego. Choć hałasowali przy tym niemiłosiernie, z wnętrza nie dobiegła ich żadna reakcja. Kartr przygotował się wewnętrznie na to, co może tam zastać i wśliznął się pierwszy. Wystarczyło jedno spojrzenie na oświetlone szczątki, aby zrobiło mu się niedobrze i by roztrzęsiony wycofał się na korytarz. Widząc wyraz jego twarzy, pozostali nie zadawali żadnych pytań.

Kiedy pochylał się oparty o roztrzaskany właz walcząc z mdłościami, usłyszeli pukanie z sekcji ogonowej.

- Któż to...?

Fylh odezwał się pierwszy: - Zbrojownia i magazyn zapasów. Tam byli Jaksan, Cott, Snyn i Dalgre. - Wyliczał nazwiska na szponiastych palcach. - Chyba są...

- Tak - przerwał mu Kartr ruszając w stronę, skąd dochodziły odgłosy.

I tym razem musieli wykorzystać energię miotacza do pokonania zaklinowanego metalu. Musieli potem odczekać chwilę, aż wszystko ostygnie, zanim trzech poobijanych i zakrwawionych mężczyzn wydostało się przez otwór.

Jaksan - Kartr mógł się założyć o roczną pensję, że ten twardy, bardzo twardy szef uzbrojenia patrolu, przeżyje. Później Snyn i Dalgre.

Jaksan nie zdążył nawet wstać, kiedy spytał: - No i jak to wygląda?

- Smitt jest w porządku. Komandor ma rany głowy. Mirion jest w kiepskim stanie. Reszta... - Kartr rozłożył ręce w geście zapamiętanym z dzieciństwa. Był to odruch zdradzający jego barbarzyńskie pochodzenie, który starał się stłumić przez lata służby.

- A statek?

- Jestem zwiadowcą, a nie technikiem patrolu. Może Smitt będzie ci mógł coś powiedzieć. Chyba nikt z tych, co przeżyli, nie zna się na tym lepiej.

Jaksan podrapał się po nie ogolonej brodzie. Prawy rękaw miał rozdarty, a przez dziurę widać było długą, broczącą krwią ranę. Wydawał się być nieobecny. Najprawdopodobniej oceniał sytuację. Jeżeli Starfire miałyby kiedykolwiek znów wzbić się w przestrzeń, stałoby się tak jedynie dzięki jego sile woli i determinacji.

- Jaka to planeta?

- Typu Arth. Mirion starał się nas posadzić na płaskim terenie, gdy dwie rury wybuchły. Przed lądowaniem nie stwierdziliśmy śladów cywilizacji. - Ta ostatnia informacja dotyczyła zakresu działania Kartra i dlatego podał ją z pełnym przekonaniem.

O ile promy zwiadowców nie uległy zbyt wielkim uszkodzeniom podczas lądowania, wkrótce będą mogli je wydobyć i rozpocząć eksplorację. Oczywiście, był jeszcze problem paliwa. Zapas w zbiornikach powinien wystarczyć przynajmniej na jedną wyprawę, choć istniało prawdopodobieństwo, że trzeba będzie wracać pieszo. Gdyby okazało się, że *Starfire* jest już dokładnie załatwiony, można by wykorzystać jego zapasy. To jednak śpiew przyszłości. Teraz mogli rozejrzeć się po najbliższej okolicy.

- Ruszamy na zwiady. - Głos Kartra zabrzmiał stanowczo i bezdyskusyjnie. Nie prosił Jaksana o pozwolenie. - Smitt jest z Komandorem, a Mirion w hallu.

Oficer patrolu jedynie skinął głową. Powrót do własnych obowiązków był tym, co należało uczynić. Kartr zauważył, że uspokoiło to nastroje. Przeszedł do kwatery zwiadowców. Fylh dotarł tam przed nim i uwalniał plecaki z bałaganu spowodowanego niefortunnym lądowaniem. Kartr potrząsnął głową.

- Nie potrzebujemy pełnego wyposażenia. Nie oddaliśmy się na więcej niż ćwierć mili. Rolth - zwrócił się do Faltharianina w goglach, stojącego przy wejściu - ty tu zostaniesz. To słońce nie służy twoim oczom. Przyjdzie na ciebie kolej po zmroku.

Rolth skinął głową i przeszedł w głąb pomieszczenia. Kartr podniósł jedną ręką pas zwiadowcy, lecz Zinga mu go zabrał.

- Sam to zrobię. Stój spokojnie. - Pokrytymi łuskami dłońmi sprawnie zapiął pas na piersi dowódcy. Potrząsnął nim, sprawdzając, czy wszystko jest na miejscu. Odpiął rozpylacz - Kartr i tak nie utrzymałby go w jednej ręce. Krótki miotacz musiał wystarczyć za całe uzbrojenie.

Na szczęście, lądując, nie upadli na stronę, gdzie znajdowała się śluza wyjściowa. Nie mieli ochoty wypalać i przekopywać drogi na zewnątrz. Wystarczyło odbić młotem zasuwę luku i właz otworzył się na tyle, by zdołali się prześliznąć. Zsuwali się po burcie, przebiegali przez połać wciąż dymiącego gruntu, na ziemię nie skażoną lądowaniem. Dopiero tam zatrzymali się, odwracali i przyglądali zniszczeniom.

- Cienko... - ćwierknięcie Fylha wyraziło ich wspólne odczucia słowami. - Nie ma szans, żeby stąd odlecieć.

Kartr nie był wprawdzie technikiem mechanikiem, ale w pełni zgadzał się z tą opinią. Pokręcony kadłub statku leżący przed ich oczami z pewnością już nie zagości na kosmicznych drogach, nawet gdyby udało się im ściągnąć go do doku naprawczego. Zresztą najbliższy z nich znajdował się nie wiedzieć ile słońc stąd.

- Niby dlaczego mielibyśmy się tym martwić? - spytał łagodnie Zinga. - Przecież kiedy wyruszyliśmy w tę podróż, chyba żaden z nas nie miał złudzeń co do powrotu...

Tak, w głębi serca, podświadomie, czuli to samo - pewną dozę lęku i samotności, które zawsze towarzyszyły człowiekowi odlatującemu w bezbrzeżne pustkowie kosmosu. Jednak dotąd nikt nie przyznawał się do tego tak otwarcie, przynajmniej jeśli chodzi o ludzi. Z Bemmiami zaś mogło być inaczej. Samotność od dawna stanowiła nieodłączną część ich życia - częstokroć byli jedynymi przedstawicielami swego gatunku na pokładzie statku. Jeżeli Kartr czuł się osamotniony wśród załogi patrolu, będąc nie tylko wyspecjalizowanym zwiadowcą, ale i barbarzyńcą z granicznego układu, to cóż dopiero mówić o odczuciach Fylha i Zingi, którzy nie mogli nawet powołać się na wspólnotę gatunkową?

Kartr odwrócił się od wraku statku, aby poobserwować piaszczystą okolicę jeżącą się pojedynczymi skałami. Zinga wyraźnie odżył poczuwszy falę upału. Rozpostarł czub z tyłu bezwłosej głowy, pulsujący coraz bardziej intensywną czerwienią. Smukły język coraz

częściej wysuwał się spomiędzy żółtych warg. Fylh jednak schronił się w cień rzucany przez skały.

Był to zdecydowanie pustynny teren. Nozdrza Kartra rozszerzyły się, wdychając i klasyfikując obce zapachy. Żadnego życia, nie licząc...

Zwrócił głowę w lewo. Życie! Zinga uprzedził go jednak, lekko biegnąc na czteropalcych stopach po piasku, korzystając z cienkich siatek między palcami, zapobiegającymi zagłębieniu się nóg w grząskie podłoże. Kiedy Kartr go dopędził, wysoki Zacathanin siedział pod jedną ze skał, kuląc swe łuskowate ciało gada, wysuwając i chowając cienki język.

Kartr zatrzymał się i spróbował nawiązać kontakt. Tak, z całą pewnością była to żywa istota. Oczywiście obca. Gdyby to był ssak, kontakt nie sprawiłby trudności, lecz to był gad. Zinga nie miał aż takiej mocy umysłu jak sierżant, ale to stworzenie w pewnym sensie należało do jego gatunku. Kartr starał się wychwycić i zinterpretować niewyraźne wrażenia znajdujące się na pograniczu fal myślowych, które potrafił odczytywać. Stworzenie było zaalarmowane ich przybyciem, lecz najbardziej zainteresowało się Zinga. Miało wysoki poziom pewności siebie, co świadczyło o pewnym naturalnym potencjale obronnym.

- Ma kły jadowe - odpowiedział Zinga. - Nie podoba mu się twój zapach. Chyba przypominasz mu jakiegoś wroga. Ja jestem dla niego niegroźny. Niewiele nam powie, gdyż nie należy do myślicieli.

Zacathanin dotknął głowy zwierzaka zrogowaciałym koniuszkiem palca. Stworzenie zeszytniało, ale zezwoliło na tę poufałość. Kiedy zaś Zinga wyprostował się, uniosło głowę i kołysało łagodnie ponad zwiniętym w kłębek ciałem, jakby chciało mu się lepiej przyjrzeć.

- Nie na wiele nam się przyda, a dla twojego rodzaju może być śmiertelnie niebezpieczny. Odeślę go. - Zinga wbił wzrok w zwierzaka, który zakołysał się gwałtowniej, syknął i zniknął prześlizgując się przez skalną szczelinę.

- Chodźcie tu, łamagi! - głos Fylha dobiegł ich gdzieś z góry.

Trystianin spoglądał na nich pozbawionymi powiek, okrągłymi oczami ze szczytu najwyższej skały. Wiatr kołysał pierzastym czubem na jego głowie. Kartr westchnął głęboko. Taka wspinaczka nic nie znaczyła dla potomka ptaków, lecz nie miał na nią najmniejszej ochoty, zwłaszcza z niesprawną ręką.

- Co tam widzisz? - spytał.

- Teren pokryty roślinnością, tam... - złote ramię wskazało kierunek, precyzując go wyprostowanym kciukiem zakończonym wyraźnym szponem.

Zinga sunął już po rozpalonej słońcem skalnej ścianie.

- Jak daleko stąd? - krzyknął Kartr.

Fylh wyteżył wzrok i zastanawiał się przez moment. - Będzie ze dwa fale...

- Uniwersalne jednostki, poproszę - rzucił Kartr bez zniecierpliwienia. Ból głowy uniemożliwił mu przeliczanie miar z planety Fylha na stosowane przez ludzi.

Odpowiedział mu Zinga: - Około mili. Roślinność jest zielona.

- Zielona? - Mimo wszystko, nie było to wcale takie

dziwne. Od czasu, kiedy przypięto mu odznakę gwiazdowego patrolu, widział już najróżniejsze barwy roślinności: żółtozieloną, błękitnozieloną, bladofioletową, czerwoną, żółtą, a nawet niezdrowo białą.

- Ale to jakaś inna zieleń - Zacathanin powiedział powoli, jakby nie wierzył własnym oczom.

Kartr wiedział, że sam musi to zaraz zobaczyć. Jako badacz-zwiadowca, chodził po powierzchni niezliczonych planet z milionów układów, nawet w przybliżeniu byłoby mu trudno podać ich liczbę. Były wśród nich takie, które łatwo wbijały się w pamięć, ze względu na swe okropieństwo lub niezwykłość zamieszkujących je istot. Jednak większość pozostawiła po sobie jedynie niewyraźny, zamazany obraz. Gdyby chciał przypomnieć sobie jakieś dotyczące ich fakty, musiałby odwołać się do starych raportów i księgi pokładowej statku. Dreszcz emocji odczuwany tak intensywnie, kiedy pierwszy raz przedzierał się przez obcą roślinność albo próbował wychwycić fale myślowe ukrytych w niej istot, dawno już odszedł w zapomnienie. Jednak tym razem, pnąc się ostrożnie po kruchej ścianie, poczuł delikatne dotknięcie dawnej ekscytacji. Szponiasta łapa chwyciła go za pas i wciągnęła na grań. Skała była rozpalona, a blask słońca tak silny, że musiał przysłonić na chwilę oczy.

Dopiero po chwili mógł podziwiać widok, który tak zdumiał Fylha. Znowu poczuł niemal zapomniany dreszcz. Pasma roślinności wijące się po horyzont naprawdę było zielone! Cóż to była za zieleń! Bez śladu żółci, czy błękitnej domieszki charakterystycznej dla jego własnej, zniszczonej Ylene. Soczysta zieleń, jakiej w życiu nie widział, tworząca wstęgę prawdopodobnie wzdłuż jakiegoś źródła wilgoci. Sięgnął po lornetkę, aby dorównać Fylhowi. Chwilę męczył się nastawiając ostrość jedną ręką, ale w końcu mu się udało.

Drzewa i krzewy wrzynały się w spieczony grunt. Wydawało się, że mógłby dotknąć ich liści, drżących w pod muchach leciutkiego wiatru. Między gałkami dostrzegł migotliwą plamkę światła. Miał rację - rzeka.

Powoli, podtrzymywany przez Zingę za biodra, aby nie spadł, odwracał się na północ śledząc pasmo zieleni. Daleko, pod horyzontem, rozszerzało się w rozległą plamę. Najwidoczniej rozbili się na skraju pustyni, a ta rzeka poprowadzi ich na północ, ku życiu.

Fylh delikatnie skierował lornetkę Kartra ku górze. Kartr poczuł słabe fale życia spływające z przestworzy. Zobaczył parę wielkich skrzydeł poruszających się miarowo w górę i w dół, okrutne wygięcie dziobu drapieżcy i potężne pazury powietrznego stworzenia żeglującego z godnością nad ich głowami.

- Podoba mi się ten świat - słowa Zingi przerwały ciszę. - Chyba jest odpowiedni dla nas. Są tu moi krewniacy, choć dość odlegli, a tam leci coś pokrewnego tobie, Fylh. Czy nie żał ci czasami, że twoi przodkowie pozbyli się skrzydeł w zamian za wejście na ścieżkę mądrości?

Fylh wzruszył ramionami. - A co powiesz o ogonach i pazurach utraconych przez twoich? Rasa Kartra miała kiedyś futro, a może i ogony, jak wiele zwierząt. Nie można mieć wszystkiego. - Jednak nie odrywał oczu od ptaka, dopóki ten nie zniknął w oddali.

- Może uda nam się uruchomić jedną z szalup. Powinna mieć dość paliwa, aby dowieźć nas do tej plamy zieleni na północy. Tam, gdzie jest trawa, powinna być i żywność.

Kartr usłyszał nieco zgryźliwy komentarz Zingi. - Czyżby nasz czołowy miłośnik Bemmych i zwierząt przeistoczył się w łowcę?

Czy rzeczywiście był w stanie zabijać, mordować, żeby jeść? Jednak zapasy na statku były niewielkie, o ile w ogóle przetrwały katastrofę. Prędzej czy później przyjdzie im korzystać z zasobów tej planety, a mięso było niezbędne do życia. Sierżant zmuszał się do rozważania tego problemu w racjonalnych kategoriach, ale trudno było mu wyobrazić sobie jak celuje i strzela - żeby zdobyć mięso!

Nie ma co teraz o tym myśleć. Schował lornetkę.

- Wracamy złożyć raport? - Fylh szykował się do zejścia ze skały.

- Wracamy - potwierdził Kartr.

ROZDZIAŁ II -ZIELONE WZGÓRZA

- ...koryto rzeki porośnięte roślinnością, wskazujące na występowanie korzystniejszych warunków na północy. Proszę o pozwolenie na wykorzystanie szalupy i zbadanie tego kierunku.

Kartr nie spodziewał się, że składanie raportu przed nieprzeniknioną maską bandażu będzie aż tak krępujące. Stał na baczność, czekając na odpowiedź dowódcy.

- A statek?

Sierżant ledwie zdołał opanować wzruszenie ramionami. Odpowiedział ostrożnie.

- Nie jestem technikiem, sir, ale wydaje mi się, że jest do niczego.

Tak właśnie myślał. Żałował, że nie może zobaczyć wyrazu twarzy Komandora schowanego pod zwojami plastoskóry. Ciszę kabiny zakłócał jedynie ciężki oddech nieprzytomnego Miriona. Ostry ból przeszywał nadgarstek Kartra, a po pobycie na zewnątrz, stęchłe powietrze statku było nie do zniesienia.

- Zezwalam. Wróćcie za dziesięć godzin - zabrzmiało to mechanicznie, jakby Vibor był jedynie magnetofonem odtwarzającym starą taśmę. Taki był rutynowy rozkaz po planetowaniu statku wydawany przez dowódcę niezliczoną ilość razy.

Kartr zasalutował, obszedł łożo Miriona i opuścił kabinę. Miał nadzieję, że szalupa będzie nadawała się do lotu. W innym przypadku pójdą pieszo tak daleko, jak się da.

Zinga czekał na niego przy śluzie z własnym plecakiem i sprzętem Kartra przewieszonym przez ramię.

- Lewa szalupa jest wolna. Dołożyliśmy paliwa z zapasów statku.

W normalnych warunkach było to zabronione, lecz w obecnej sytuacji, kiedy wiadomo, że *Starfire* już nigdzie nie polecą, oszczędzanie zapasów byłoby czystą głupotą. Kartr przeczołgał się przez pogięty właz do otwartej już komory szalupy. Fylh siedział już niecierpliwie z przodu sprawdzając stery.

- Polecimy?

Głowa Fylha z grzebieniem leżącym płasko na czaszce, niczym jakaś dziwna, sztywna grzywa, odwróciła się do tyłu i duże, czerwone oczy spojrzały na Kartra. W odpowiedzi zabrzmiał typowy dla Trystianina żartobliwy cynizm.

- Miejmy nadzieję. Oczywiście jest też możliwe, że w sekundę po starcie zamienimy się w drobinki pyłu wirujące w powietrzu. Na razie jednak, zapinajcie pasy przyjaciele!

Kartr wcisnął się na siedzenie obok Zingi, a Zacathanin zapiął niewielką sieć przeciwwstrząsową, wspólną dla obu. Pazur Fylha wcisnął przycisk. Łódź wysunęła się bokiem ze statku, powoli, delikatnie, aż oddalili się od burty Starfire'a i ostro skoczyła w górę. Fylh nigdy nie przejmował się zbytnio możliwością łagodnego startu. Kartr jedynie przełknął ślinę i starał się wytrzymać.

- Leć do rzeki i wzdłuż niej. Trzymaj się dwadzieścia stóp nad drzewami.

Fylh nie potrzebował rozkazów, robili to wiele razy wcześniej. Kartr przysunął się do okienka po prawej, Zinga Już zajął stanowisko po lewej stronie.

Wydawało się, że minęły zaledwie sekundy, zanim znaleźli się ponad powierzchnią wody, wpatrując się w zieloną gęstwinę porastającą jej brzegi. Kartr automatycznie klasyfikował i zapamiętywał wszystko, co rozciągało się przed jego oczami. Nie musiał robić notatek. Włączony przez Fylha skaner rejestrował obrazy i niczego nie opuszczał. Chłodny powiew przyjemnie chłodził spocone ciała i niósł różne zapachy, niektóre znane, inne nowe. Zaobserwowane organizmy zajmowały niskie pozycje na skali inteligencji: gady, ptaki, owady. Kartr sądził, że ta pustynna kraina nie była domem wyżej zorganizowanych istot. Mimo tego mogli jednak mówić o szczęściu - to przecież planeta typu Arm, a oni rozbili się na granicy pustkowia.

Zinga w zadumie drapał się po łuskowatym policzku. Uwielbiał upały i maksymalnie rozłożył swą kryzę. Kartr domyślał się, że Zacathanin wołałby przemierzać pieszo rozpalone piaski pustyni. Rozglądał się dookoła z radosnym zainteresowaniem, przypominając sierżantowi wymuskanych oficerów Kontroli, zabieranych czasami na starannie przygotowane wycieczki po nowych światach. Zinga zawsze lubił żyć chwilą obecną, a jego starożytna rasa miała dość czasu, żeby skosztować wszystkiego, co we wszechświecie najlepsze.

Szalupa gładko pokonywała przestrzeń przy akompaniamencie cichego pomruku silników. Udało się im dobrze ją przygotować do lotu, choć mieli do dyspozycji jedynie dziesięcioletnią kasetę z instrukcją obsługi. Zamontowali ostatnie kondensatory i praktycznie zostali zupełnie bez części zapasowych.

- Zinga - Kartr niespodzianie przerwał panującą w pojeździe ciszę. - Byłeś kiedyś w prawdziwej stacji obsługi i napraw?

- Nigdy - odpowiedział Zacathanin. - Czasami myślę, że tak naprawdę one wcale nie istnieją, że to tylko bajki wymyślone dla młodych. Od czasu, kiedy jestem na służbie, zawsze sami staraliśmy się wykonywać wszelkie naprawy, korzystając z tego co zdołaliśmy znaleźć bądź ukraść. Raz robiliśmy remont kapitalny, przez prawie trzy miesiące. Mieliśmy dwa

wraki i z nich braliśmy części. To dopiero była gratka! Siedzieliśmy wtedy na Karbonie, cztery, czy trzy lata temu. Był z nami jeszcze główny mechanik i nadzorował prace. Pamiętasz Fylh jak się nazywał?

- Ratan - robot z Deneb II. Straciliśmy go rok później w kwaśnym jeziorze na świecie błękitnej gwiazdy. Świetnie sobie radził z maszynami, bo przecież był jedną z nich.

- Co się dzieje z Centralną Kontrolą? Co się z nami dzieje? - rzucił Kartr refleksyjnie.
- Dlaczego nie mamy właściwego sprzętu, zaopatrzenia, nowych rekrutów?

- Rozpad - odpowiedział Fylh sucho. - Może Centralna Kontrola jest zbyt duża, obejmuje zbyt wiele światów, zbyt rozciąga swą władzę, która traci skuteczność. A może to już zbyt długo trwa i system po prostu się zestarzał. Spójrzcie choćby na wojny między sektorami. Nie myślcie, że Centralna Kontrola położyłaby temu kres, gdyby była w stanie?

- A jednak patrol...

Fylh zaśmiał się ćwierkliwie. - O tak, patrol. Jesteśmy upartymi rozbitkami, wariatami. Utrzymujemy, że my, patrol, załoga i zwiadowcy, nadal zapewniamy pokój i pilnujemy prawa galaktycznego. Latamy tu i tam na rozwalających się statkach, bo nie ma już tych, którzy potrafiliby je właściwie utrzymać. Walczymy z piratami i patrolujemy zapomniane nieba, tylko po co? Wykonujemy rozkazy podpisane: CK. Coraz szybciej stajemy się historią, antykami, które jeszcze funkcjonują, choć lepiej by było, gdyby przestały i jeden po drugim przepadały gdzieś w kosmosie. Powinno się nas wyłapać i zamknąć w jakimś skansenie, żeby gapie mogli sobie popatrzeć na coś, co jeszcze istnieje, choć nie ma ku temu żadnego rozsądnego wytłumaczenia.

- Co się stanie z Centralną Kontrolą? - spytał Kartr i zacisnął zęby z bólu, kiedy niewielki wstrząs pchnął go na Zingę, urażając zraniony nadgarstek.

- Imperium galaktyczne - to imperium - powiedział Zacathanin tonem świadczącym o całkowicie beznamiętnym stosunku do tej sprawy - rozpada się w drobny mak. Przez ostatnich pięć lat straciliśmy kontakt z większością sektorów, nieprawdaż? Centralna Kontrola to już teraz tylko nazwa pozbawiona jakiegokolwiek realnej władzy. Następne pokolenie może nawet jej nie pamiętać. Mieliśmy swój czas. jakieś trzy tysiące lat. a teraz wszystko się rozłazi, szwy puszczają. Wojny sektorowe, chaos, cofamy się w błyskawicznym tempie. Pewnie wkrótce staniemy się barbarzyńcami żyjącymi na jednej planecie, nie pamiętającymi o lotach kosmicznych. Dopiero wówczas wszystko, powoli, zacznie się od nowa.

- Być może - zgodził się Fylh - ale wtedy nie będzie już ani mnie, ani ciebie, drogi przyjacielu, i nie zobaczymy świtu następnej cywilizacji.

Zinga jedynie pokiwał głową. - Nie sędzę, ażeby nasza ewentualna obecność miała mieć jakieś znaczenie. Teraz znaleźliśmy sobie świat, gdzie dożyjemy naszych dni, i który musimy jak najlepiej wykorzystać. Jak daleko stąd do granic cywilizacji? - spytał sierżanta.

Na statku wyświetlali mapy tak stare, że umieszczone na nich daty wszystkich zdumiewały. Mapy słońc i gwiazd, do których od paru pokoleń nie docierał żaden pojazd, z którymi Kontrola nie miała kontaktu przez pięćset lat. Kartr tygodniami wpatrywał się w nie, ale na żadnej nie odnalazł tego układu. Był zbyt odległy, zbyt bliski granic galaktyki. Taśmy map tego obszaru, o ile w ogóle istniały, zmurszały zapewne w ciemnym zakamarku archiwum Kontroli, zapomniane przez wszystkich.

- Trudno określić - taka odpowiedź sprawiła mu dziwną do zdefiniowania przyjemność.

- Totalna głusza - skomentował Zinga niemal radośnie. - Czysty start dla nas wszystkich. Fylh. nie wydaje ci się, że ta rzeka robi się coraz szersza?

Struga wody pod nimi wyraźnie się poszerzyła. Już od dłuższego czasu sunęli nad coraz bardziej urozmaiconą szatą roślinną. Najpierw były to głównie krzewy i płaty niskiej zieleni, potem kępy sporych drzew, stopniowo przechodzące w jednolity las. Kartr wyczuł sygnały pochodzące od zwierząt.

Wiatr niósł wyraźne zapachy, przyjazną woń gleby, roślin i wody. Prąd rzeki przybierał na sile. opryskując nadbrzeżne skaty. Dostrzegli ostry zakręt wokół porośniętego drzewami wzniesienia, za którym woda spadała ze skalnego progu rozścielając welon drobnych kropelek.

Szponiaste palce Fylha zatańczyły na przyciskach. Szalupa zwolniła i obniżyła lot. Skierował ją na wąską plażę, między rzeką a skałami i lasem. Leciutko dotknęli piasku. Zinga pochylił się i klepnął pilota w ramię.

- Czuj się pochwalony, żołnierzu. Piękne, doskonałe lądowanie. - Bez większego powodzenia próbował naśladować głos bogatej turystki.

Kartr niezgrabnie wygramolił się z pojazdu i stanął szeroko na piasku. Woda bulgotała wesoło rozpryskując się o skały pokryte zielonym nalotem. Wyczuwał obecność drobnych stworzeń zajętych własnymi sprawami pod powierzchnią. Opadł na kolana i zanurzył dłonie w chłodnej wilgoci. Bystry nurt opryskał mu nadgarstek i zwilżył skraj rękawa tuniki. Woda była na tyle zimna i czysta, że nie mógł oprzeć się pokusie.

- Wykopiesz się? - spytał Zingę - bo ja tak.

Chwilę zmagął się ze sprzączką pasa i ostrożnie uwolnił kontuzjowane ramię z temblaka. Fylh siedział po turecku na piasku i z wyraźnym niesmakiem patrzył na

rozbierających się kolegów. Fylh nigdy dotąd nie zanurzył się w wodzie z własnej woli i nie miał zamiaru tego zmieniać.

Sierżant nawet nie próbował stłumić okrzyku radości, kiedy ostrożnie badając dno zanurzał się coraz głębiej. Zinga odważnie rzucił się w pędzący nurt rzeki wzburzając wodę, aż stracił grunt pod stopami. Zmierzył się z silniejszym prądem na środku rzeki. Z niesprawną ręką Kartr nie miał szans mu dorównać. Mógł jedynie zanurzać się na chwilę i wstawać, pozwalając strumyczkom wody spływać po skórze. zmywając stęchliznę statku - znak zbyt długiej podróży.

- Jeżeli skończyliście już z tymi głupotami - rzucił z brzegu Fylh - to może przypomnicie sobie wreszcie, że mamy tu robotę do wykonania.

Kartr miał ogromną ochotę zignorować go. Pragnął zostać tu jak najdłużej, jednak poczucie obowiązku ściągnęło go z powrotem na piaszczystą łacę, gdzie z pomocą Trystianina, wciągnął na siebie znienawidzone ubranie. Zinga nieprzerwanie płynął w górę rzeki. Jego żółtoszare ciało wyskoczyło nad mgiełką u stóp wodospadu. Kartr telepatycznie nakazał mu powrócić.

Nagle na niebie pojawił się jaskrawy błysk - wielki ptak krążył dostojnie ponad ich głowami. Fylh wstał i rozłożył szeroko ramiona. Wydał z siebie przenikliwy gwizd. Ptak zbliżył się do nich i przysiadł na dłoni Trystianina, odpowiadając łagodnym trelem na jego sygnał. Błękitne skrzydła miały niemal metaliczny połysk. Siedział tak pogwizdując przez dłuższą chwilę, po czym wzniósł się nad rzekę. Grzebień Trystianina dumnie sterczał w powietrzu. Kartr westchnął w zachwycie.

- Ależ on piękny!

Fylh pokiwał głową, lecz z pewnym smutkiem powiedział - on mnie nie rozumiał.

Zinga wynurzył się z rzeki sycząc jakby szykował się do walki. Wsadził sobie do ust coś, co trzymał w dłoni i przełknął.

- Te wodne stworzenia są pyszne - zauważył. - Najlepsza wyżerka od czasu obiadu na Katyer, w Vassor City! Szkoda, że są takie małe.

- Mam tylko nadzieję, że twoje szczepienia odpornościowe ciągle działają - rzucił Kartr zjadliwie. - Jeżeli...

- Zrobię się cały fioletowy, umrę i to będzie wyłącznie moja wina? Czy to chciałeś powiedzieć? Zgoda. Ale świeże żarcie to często coś, za co warto umierać. Mieszanka 1A60 to nie mój ideał posiłku. No dobrze, co teraz robimy? Kartr obserwował równinę, z której wypływała rzeka.

Zielona gęstwina wyglądała zachęcająco. Nie mogli lecieć zbyt daleko na tak niewielkiej ilości paliwa, zwłaszcza, że musieli przecież wrócić do statku. Może ze szczytu pobliskiej skały będą mogli dokładniej się rozejrzeć. Zaproponował to pozostałym.

- No to lecimy - Fylh usadowił się w szalupie. - Ale nie więcej niż pół mili, chyba że macie ochotę na spacer do bazy.

Tym razem Kartr sam wyczuwał, że pojazd traci siły. Skulił się w fotelu i skupił, chcąc jakby samą siłą woli oderwać szalupę od piasku i przenieść ją na szczyt skalnej bariery. Wierzył, że Fylh potrafi wycisnąć z maszyny ostatnie tchnienie energii, lecz mimo to, wzdrygał się na myśl o pieszym powrocie do *Starfire'a*.

Na szczycie wzniesienia nie mogli początkowo znaleźć lądowiska. Drzewa gęsto porastały brzeg rzeki, tworząc zielony dywan. Dopiero ćwierć mili od wodospadu trafili na niewielką wyspę, płaską jak stół i wystającą na ponad dwadzieścia stóp nad powierzchnię wody.

Fylh posadził szalupę na samym środku, pozostawiając nie więcej niż cztery stopy rozpalonej słońcem skały wokół pojazdu. Kartr wstał nie wysiadając i przyłożył lornetki do oczu.

Oba brzegi rzeki porastała ściana roślinności tak gęsta, że wydawała się nie do przebycia. Jednak na północy dostrzegł zielone, falujące wzgórza i równinę przeciętą wstęgą rzeki. Chował lornetkę do futerału, kiedy wyczuł obce życie.

Na jednym z brzegów pojawiło się brązowe, futrzaste stworzenie. Przycupnęło nad wodą i zanurzyło w niej przednie łapy. W powietrzu pojawił się srebrzysty błysk, a zębiaste szczęki przybysza sprawnie pochwyciły wodnego stwora, który wyskoczył z nurtu.

- Wspaniale! - krzyknął Zinga w zachwycie. - Sam nie zrobiłbym tego lepiej! Żadnego zbędnego ruchu. Kartr starał się delikatnie dotrzeć do umysłu skrytego w czaszce zwierzęcia. Przecież musiała być tam jakaś inteligencja i miał nadzieję, że będzie w stanie nawiązać kontakt. gdy uzna to za konieczne. Zwierzę jednak nie wiedziało nic o człowieku, czy innych podobnych mu istotach. Czyżby wylądowali na dzikiej planecie całkowicie pozbawionej wyższych form życia?

Zadał to pytanie na głos, a Fylh mu na nie odpowiedział.

- Czy guz, jakiego sobie nabiłeś podczas lądowania zupełnie pozbawił cię zdolności myślenia? Na każdej planecie można natrafić na takie dzikie miejsca. Fakt, że to stworzenie nigdy nie widziało wyższego od siebie organizmu wcale nie musi świadczyć, że takiego tu nie ma.

Zinga oparł głowę na dłoniach wpatrując się w odległe wzgórza i równinę.

- Zielone wzgórza - mruknął. - Zielone wzgórza i woda pełnia wspaniałego jedzonka. Chyba Duch Wszechświata wreszcie obdarzył nas swym uśmiechem. Chcesz zadać jakieś pytanie naszemu polującemu przyjacielowi na brzegu?

- Nie. Zresztą on nie jest sam. Coś pasie się za tą kępą drzew o ostrych wierzchołkach. Są też i inne stworzenia - drapieżniki żyjące w strachu przed sobą.

- Prymitywy - stwierdził Fylh i wielkodusznie zgodził się z przypuszczeniami dowódcy. - Może w końcu masz rację, Kartr. Może rzeczywiście ten świat jest pozbawiony władcy z rodzaju ludzkiego, czy choćby Bemmięgo.

- Nie wierzę - Zinga otworzył szeroko obie pary powiek. - Mam ogromną ochotę zmierzyć się z jakimś naprawdę okropnym, inteligentnym potworem. Walczyć z nim w stylu dawnych osadników.

Kartr uśmiechnął się szeroko. Nie wiedzieć czemu, zawsze odczuwał pewne powinowactwo ze sposobem myślenia Zacathanów, silniejsze niż zrozumienie chłodnego rozumowania potomków ptasiego rodu, takich jak Fylh. Zinga brał się z życiem za bary, natomiast Trystianin, choć fizycznie obecny przy różnych wydarzeniach, zawsze utrzymywał pewien dystans.

- Może zdołamy zlokalizować jakąś siedzibę wrogich potworów wśród tamtych wzgórz - zaproponował. - Co ty na to. Fylh, uda się nam tam dotrzeć?

- Nie - Fylh szponem mierzył jakiś wskaźnik na panelu kontrolnym. - Mamy jedynie dość paliwa, żeby wrócić do statku i to wszystko.

- Jeśli wszyscy się sprężymy i popchamy - mruknął Zacathanin. - W porządku. A jeśli będziemy musieli lądować, to pójdziemy pieszo. Nie ma nic lepszego, jak czuć gorący piasek przesypujący się między palcami stóp - westchnął rozmarzony.

Szalupa uniosła się w powietrze wprawiając brązowego rybaka w osłupienie. Przysiadł na tylnych łapach przyglądając się, jak odlatują. Kartr wyczuł zdumienie, jednak nie dostrzegł lęku. Najwidoczniej stworzenie nie miało wielu wrogów, zwłaszcza takich, którzy potrafią latać. Kiedy zawracali, zaeksperymentował i przesłał zapewnienie dobrej woli do prymitywnego mózgu. Obejrzał się za siebie. Zwierzę uniosło się na tylnych łapach i stało, jak człowiek, ze zwisającymi przednimi łapami, nie odrywając wzroku od pojazdu.

Przelecieli tak nisko ponad wodospadem, że mgiełka rozpryskującej się wody zwilżyła ich ubrania. Kartr przygryzł dolną wargę. Bał się spytać Fylha, czy leci tak nisko dlatego, że brakuje paliwa, czy że ma taki kaprys.

Zinga zauważył, że gdyby chcieli ściśle trzymać się rzeki, musieliby lecieć dłuższą drogą. Lepiej od razu skierować się w stronę statku.

Kartr zgodził się z nim. - Co ty na to. Fylh? Jak polecimy?

Trystianin pochylił głowę - była to jego wersja wzruszenia ramionami. - Jasne. Tak będzie prędzej, po czym skierował dziób pojazdu na prawo.

Oddalili się od strumienia. Pod nimi rozciągała się ściana koron drzew, przechodząca stopniowo w polany porośnięte krzewiastymi tworami, na których pasły się rdzawobrzęzowe zwierzęta. Jedno z nich podrzuciło głowę ku górze, a Kartr dostrzegł odbłask słońca w długich, złowrogich rogach.

- Ciekawe - zastanawiał się na głos Zinga - czy one wchodzi w konflikt z naszym przyjacielem z brzegu rzeki. Miał niezłe pazury, a te rogi nie są tylko dla ozdoby. Może mają jakiś pakt o nieagresji?

- Gdyby tak było - rzucił Fylh - cały czas musiałyby ze sobą walczyć!

- Wiesz co - Zinga wpatrywał się w tył grzebieniastej głowy Fylha - jesteś naprawdę pożytecznym Bemmy, przyjacielem. Przy tobie nigdy nie damy się dopaść euforii i zawsze będziemy myśleć o najgorszych możliwościach - dla ciebie to chleb powszedni. Cóż byśmy poczęli bez twego zdrowego pesymizmu?

Drzewa i krzaki pojawiały się coraz rzadziej. Ustępowały miejsca skałom, spalonej, popękanej glebie i pokręconym roślinom charakterystycznym dla pustyni.

- Zaczekaj! - krzyknął nagle Kartr, szarpiąc ramię Fylha. - Skręć w prawo, o tam!

Pojazd posłusznie zatoczył koło i przysiadł na skrawku równego gruntu. Kartr wyskoczył przez burzę, przedarł się przez gęstwą zaschłych roślin i wy dostał się na skraj obszaru dostrzeżonego z wysoka. Pozostali zwiadowcy podążali za nim.

Zinga padł na kolana i niecierpliwie dotknął białej powierzchni. - To nie jest naturalne - oświadczył natychmiast.

Wędrujące piaski wielokrotnie przesywały się nad zaobserwowanym obiektem, częściowo go zasypując. Jedynie w jednym miejscu można było go dostrzec. Niewątpliwie był to fragment szosy, traktu pokrytego sztuczną nawierzchnią!

Zinga skierował się na prawo. Fylh zaś na lewo. Przeszli około czterdziestu stóp. Przykucnęli niemal jednocześnie i nożami zbadali grunt. Od razu wykryli twardą warstwę.

- To droga! - Kartr butem usunął piasek. - Kiedyś musiał tu istnieć system transportu drogowego. Jak myślicie. kiedy to było?

Fylh przesiewał wzruszony grunt przez szpony. - Wyczuwam wysokie temperatury, suszę i burze, choć niezbyt wiele. Roślinność rozprzestrzenia się podobnie jak w dżungli. To może być dziesięć lat, ale równie dobrze dziesięć setek, a nawet...

- Dziesięć tysięcy! - zakończył za niego Kartr. Podniecenie, jakie nim przez moment owładnęło pobudziło go do racjonalnego działania. Więc jednak istniało tu kiedyś inteligentne życie! Człowiek, bądź podobna do niego istota, zbudował szlak transportowy. Takie szlaki zwykle prowadziły do...

Sierżant zwrócił się do Fylha. - Sądysz, że uda się nam wydobyć dość paliwa z głównego napędu, żeby powrócić tu z zamontowanym sprzętem do śledzenia obszaru?

Fylh zastanawiał się przez chwilę zanim odpowiedział. - To mogłoby się udać. pod warunkiem, że później nie potrzebowalibyśmy już paliwa.

Podniecenie Kartra zgasło. Paliwo będzie im potrzebne do innych zadań. Trzeba będzie jakoś przetransportować rannego Komandora, Miriona, zapasy i wszystko, czego będą potrzebować, zanim dotrą do bardziej gościnnych wzgórz. Kopnął płytę szosy. Kiedyś uważałby za swój obowiązek oraz przyjemność podążać tym drobnym śladem, aż do sedna tajemnicy. Teraz musiał z tego zrezygnować. Wrócił do szalupy. Kiedy wystartowali - nikt się nie odzywał.

ROZDZIAŁ III - BUNT

Okrzyżyli bezradnie skurczony wrak *Starfire'a*, aż zobaczyli ludzką postać machającą ku nim z rozbitego dziobu. Kiedy wylądowali, Jaksan już na nich czekał.

- No i co? - zapytał bez wstępów, zanim jeszcze opadł kurz wzniecony przez silniki.

- Na pomoc stąd jest dobry, otwarty teren z wodą - raportował Kartr. - Życie zwierzęce dość prymitywne...

- Z jadalnymi rybami! - wtrącił Zinga entuzjastycznie, oblizując wargi na samo wspomnienie.

- Jakież ślady cywilizacji?

- Stara droga zasypana piaskiem - nic więcej. Zwierzęta nie znają wyższych form. Cały czas mieliśmy włączoną kamerę - możemy pokazać film Komandorowi.

- Jeżeli będzie miał takie życzenie.

- O co ci chodzi! - ton głosu Jaksana zdenerwował Kartra trzymającego kasetę w zdrowej dłoni.

Jaksan zareagował beznamiętnie - Komandor Vibor uważa, że jest naszym obowiązkiem trzymać się blisko statku.

- Dlaczego? - Kartr nie był w stanie zapanować nad zdumieniem.

Przecież nic już nie jest w stanie wznieść *Starfire'a* w powietrze. Głupotą byłoby uważać, iż jest inaczej i tworzyć plany na beznadziejnych przesłankach. Kartr spróbował wykonać coś, czego nigdy dotąd nie robił - dotrzeć do umysłu oficera patrolu. Dostrzegł tam zmartwienie i coś jeszcze - zaskakującą, niczym nie dającą się wytłumaczyć niechęć, jaką Jaksan odczuwał w stosunku do niego i pozostałych zwiadowców. Dlaczego? Czyżby wynikało to z faktu, że sierżant nie pochodził z rodziny o wielowiekowych tradycjach patrolu jak pozostali członkowie załogi? A może dlatego, że uważano go za sprzymierzeńca Bemmych i dlatego traktowano jak obcego? Musiał uznać tę niechęć za obiektywny fakt i zanotować w pamięci, żeby zawsze mieć to na uwadze, kiedy w przyszłości przyjdzie mu współpracować z Jaksanem.

- Dlaczego? - oficer powtórzył jego pytanie. - Dowódca ma swoje zobowiązania. Nawet zwiadowca powinien zdawać sobie z tego sprawę. Zobowiązania...

- Które skazują go na śmierć głodową we wraku rozbitego statku? - przerwał mu Zinga. - Daj spokój, Jaksan. Komandor Vibor jest inteligentną formą życia...

Palce Kartra złożyły się w stary sygnał ostrzegawczy. Zacathanin dostrzegł go i zamilkł, pozwalając, by sierżant dokończył zdanie za niego. - ...więc na pewno zechce przejrzeć naszą kasetę, zanim podejmiemy dalsze decyzje.

- Komandor jest niewidomy!

Kartr stanął jak wryty. - Jesteś pewien?

- Smitt jest o tym przekonany. Tork mógłby mu pomóc.

My tego nie potrafimy. Rany są zbyt poważne, by starczyła pierwsza pomoc.

- No cóż, złożę raport. - Kartr ruszył w stronę statku. Miał wrażenie, że nosi ołowiane buty. a na ramionach dźwiga nieokreślony ciężar.

Przechodząc przez służbę wejściową zastanawiał się nad przyczynami boleśnie odczuwanego przygnębienia. Z pewnością nie na niego spadnie brzemień dowodzenia. Jaksan i Smitt przewyższali go rangą. Jako podoficer zwiadu znajdował się na samym dole hierarchii Służby. Jednak ta myśl nie uspokoiła go.

- Melduje się sierżant Kartr, sir! - Stanął na baczność przed mężczyzną z zabandażowaną twarzą, opartym o dwa zwinięte śpiwory.

- Złóżcie raport. - Rozkaz zabrzmiał tak mechanicznie, że Kartr zaczął się zastanawiać, czy dowódca naprawdę go słyszał, lub, jeśli tak, to czy rozumiał, co się do niego mówi.

- Rozbiliśmy się na skraju pustyni. Grupa zwiadu, na szalupie, wykonała rekonesans w kierunku północnym, wzdłuż rzeki, natrafiając na dobrze nawodniony, lesisty trakt. Z powodu ograniczonej ilości paliwa nie mogliśmy zbyt daleko się oddalać, jednak znaleźliśmy tereny doskonale nadające się na obozowisko.

- Jakież ślady życia?

- Wiele zwierzyny różnych rodzajów i gatunków o niskiej inteligencji. Jedynym śladem cywilizacji jest fragment szosy, w większości zasypanej piaskiem z powodu długiego nieużywania. Zwierzęta nie zachowały w pamięci kontaktów z wyższymi formami życia.

- Możecie odmaszerować.

Kartr nie wykonał rozkazu. - Przepraszam, sir, ale chciałbym prosić o pozwolenie na wykorzystanie resztek energii z silników głównych, żeby zapewnić transport...

- Silników głównych? Oszalałeś? Oczywiście, że zabraniam! Zgłóście się do Jaksana o przydział do zespołu naprawczego.

Zespół naprawczy? Czyżby Vibor naprawdę uważał, że istniała jakakolwiek szansa na uruchomienie *Starfire'a*! Zwiadowca zawahał się jeszcze stojąc na progu kabiny, ale uznawszy, że pewnie i tak nie zdoła przekonać dowódcy, przeszedł do kwatery zwiadowców, którzy już tam na niego czekali.

- Udało się, Kartr?

- Kazał nam się zgłosić do zespołu naprawczego. Na Wielkiego Ducha Kosmosu, o co mu chodzi?

- Może trudno ci będzie w to uwierzyć - powiedział technik łączności - ale to proste: mamy przygotować ten złom do startu.

- Czy on nie widzi... - Kartr ugryzł się w język.

W tym sęk, dowódca nie widział w jakim stanie jest statek. Tyle, że Jaksan i Smitt powinni byli mu to uświadomić.

Jakby czytając w jego myślach, technik powiedział: - Nie posłucha nas. Odesłał mnie, kiedy próbowałem mu to wytłumaczyć, a Jaksan jedynie wykonuje wszystkie rozkazy.

- Dlaczego to robi? Jaksan nie jest idiotą i doskonale wie, że już nie polecimy. *Starfire* jest dokładnie załatwiony.

Smitt usiadł opierając się o ścianę. Był to niski mężczyzna, szczupły i mocny, niemal czarny od kosmicznej opalenizny. W tej chwili bardzo przypominał Fylha, z jego niemal złośliwym brakiem zainteresowania bieżącymi sprawami. Jedyną rzeczą, którą w życiu kochał, były urządzenia łączności. Kartr zauważył kiedyś, jak czule głaskał ich plastikową obudowę. Ze względu na stary podział załogi na patrol i zwiadowców, Kartr nie znał go zbyt dobrze.

- Wam łatwiej pogodzić się z myślą, że jesteśmy uziemieni - tłumaczył zwiadowcom.

- Nigdy nie byliście tak związani z tą kupą złomu, jak my. Wy działacie na planetach - my natomiast w kosmosie. *Starfire* jest częścią Vibora. On nie potrafi ot tak sobie odejść i zapomnieć o statku. To samo Jaksan.

- W porządku. Mogę zrozumieć, że dla was, astronautów, statek znaczy coś więcej niż dla nas - zgodził się Kartr. - Teraz jednak to już tylko wrak i nikt nie jest w stanie tego zmienić. Jedyne, co możemy uczynić, to założyć bazę gdzieś, gdzie znajdziemy wodę i żywność.

- Odciąć się od całej naszej przeszłości i rozpocząć zupełnie nowe życie? Być może. Patrząc racjonalnie, muszę się z wami zgodzić, młodzi przyjaciele. Jednak z czasem wy zobaczycie, że emocje są również bardzo ważne.

- Dlaczego właśnie mi to mówisz? - spytał Kartr powoli.

- Zwyczajny proces eliminacji wskazuje na ciebie. Jeżeli naprawdę jesteśmy tu beznadziejnie uziemieni, to kto najlepiej stawia czoła przyszłym problemom - ten, kto niemal od dziecka latał w kosmosie, czy też ten, kto uczył się, jak Przetrwać na planetach? Co zamierzacie zrobić?

Kartr nie chciał odpowiadać na to pytanie. Im bardziej Smitt naciskał, tym większy niepokój odczuwał. Dotąd nie zdarzyło się, aby oficer patrolu rozmawiał z nim tak szczerze.

- Zdecyduje dowódca - zaczął.

Smitt przerwał mu śmiechem, ochryłym, ironicznym dźwiękiem bez krzty wesołości.
- A więc strach cię obleciał? Boisz się odpowiedzialności? Zawsze myślałem, że zwiadowcy nigdy nie można przestraszyć, że ci nieulekli, niezależni zdobywcy dzikich ostępów...

Zdrową ręką Kartr chwycił go za kurtkę tuż pod gardłem.

- Do czego zmierzasz, Smitt? - wycodził przez zęby zupełnie zapominając o szacunku dla starszego rangą.

Jednak technik łączności nie zrobił żadnego ruchu, żeby odsunąć jego rękę, czy wyzwolić się z uchwytu. Podniósł wzrok i długo, przenikliwie patrzył Kartrowi prosto w oczy. Ten poluzował uścisk i opuścił rękę. Smitt wierzył w to, co mówił, mimo szyderczego tonu. Przyszedł tu prosić go o pomoc. Po raz pierwszy Kartr poczuł zadowolenie z daru, jaki mu dano: wyczuwania emocji innych ludzi.

- Zostawmy to - powiedział i usiadł na śpiworze. Czuł, że chwilowe napięcie zaczyna go opuszczać. Był też pewien, że zwiadowcy go nie zostawią - czekali na jego decyzje.

- Vibor już nie jest z nami. On... chyba coś w nim pękło. - Smitt szukał najważniejszych słów. Kartr wyczuwał w nim narastający lęk i osamotnienie.

- Dlatego, że stracił wzrok? Jeśli tak, to może być tymczasowe. Wkrótce się z tego otrząśnie.

- Nie. Od dłuższego czasu było z nim nie najlepiej. Cała ta odpowiedzialność w obecnych warunkach, walka z Greenies, pamiętasz, że przyjaźnił się kiedyś z Torkiem? Rozpadający się statek bez możliwości naprawy. Wszystko to skupiło się na nim. Teraz po prostu nie chce przyjąć do wiadomości tego, w co boi się uwierzyć. Wycofał się do własnego świata, gdzie wszystko układa się pomyślnie. Chce nas pociągnąć za sobą.

Kartr skinął głową. W każdym słowie Smitta pobrzmiewała nutka prawdy. Sam nie miał zbyt wielu okazji do bliskich kontaktów z Viborem. Zwiadowców nie dopuszczano do wewnętrznych kręgów patrolu - byli zaledwie tolerowani na statku. Nie był przy tym absolwentem akademii sektorowej, ani też nie miał powiązań rodzinnych. Jego ojciec nie należał do patrolu, więc na zawsze pozostał kimś obcym. Surowa dyscyplina służby z czasem doprowadziła do sztywnego podziału na kasty. Nawet przez te kilka lat, kiedy nosił odznakę, służba coraz bardziej izolowała się od zwykłych obywateli. Mimo to, pod wpływem słów Smitta, Kartr zaczął przypominać sobie dziwne wydarzenia z ostatnich paru miesięcy, niespójne rozkazy, jakieś podsłuchane komentarze.

- Uważasz, że nie ma szansy, żeby przyszedł do siebie?

- Nie. Katastrofa przeląła kielich goryczy. Gdybyś wiedział jakie rozkazy wydał w ciągu ostatniej godziny. Mówię ci, on jest skończony!

- No dobrze - głos Roltha przeciął gęste powietrze kabiny. - Wobec tego, co nam pozostaje, a raczej - czego od nas oczekujesz, Smitt?

Technik łączności rozłożył bezradnie ręce.

- Sam dobrze nie wiem. Tyle, że jesteśmy na stałe uziemieni, gdzieś na nieznanym świecie. Badanie planet to wasza działka. Ktoś musi przejąć dowodzenie, żeby wydostać nas stąd. Jaksan, no cóż, on może posłuchać dowódcy nawet, jeśli ten każe nas wszystkich wysadzić razem z wrakiem. Razem brali udział w bitwie Pięciu Słońc i Jaksan... - zawiesił głos.

- A co z Mirionem?

- Nie odzyskał przytomności. Nie sędzę, by przetrzymał. Nawet nie wiemy, jakie odniósł obrażenia. Chyba można go skreślić.

Skreślić z czego - zastanawiał się Kartr - a jego zielone oczy zwięzły się w szparki. Smitt właśnie sugerował Odejście jakiegoś konfliktu.

- Dalgre i Snyń? - spytał Zinga.

- To ludzie Jaksana. Nikt nie wie jak się zachowają, kiedy zaczną wydawać rozkazy - powiedział łącznościowiec.

- Jest jeszcze jedna rzecz, która mnie zastanawia - Fylh po raz pierwszy włączył się do rozmowy. - Dlaczego przyszedłeś z tym właśnie do nas, Smitt? Przecież nie należymy do załogi.

To pytanie nurtowało ich od samego początku, choć dopiero teraz zostało zadane. Kartr niecierpliwie czekał na odpowiedź.

- Cóż mogę na to odpowiedzieć? Chyba dlatego, że to wy jesteście najlepiej przygotowani na to, co może nas czekać w najbliższej przyszłości. To wasza praca. Ja sam już się do niczego nie przydam. Kraksa zniszczyła moje urządzenie. Załoga bez statku to zbędny balast. Dlatego musimy się nauczyć, jak żyć w nieznanym świecie.

- Jesteś więc rekrutem? - chichot Zingi bardziej przypominał złośliwy syk. - I to bardzo zielonym. No i co, Kartr, przyjmujemy go? - Groteskowa głowa Zacathanina zwróciła się ku sierżantowi.

- Mówi prawdę - odpowiedział Kartr przytomnie. - Zwołuję radę! - Ten rozkaz poderwał wszystkich. - Rolth?

Błada twarz na wpół zakryta goglami nie ujawniała żadnych emocji.

- Czy ten świat jest obiecujący?

- Bardzo - odpowiedział natychmiast Zinga.

- Wiadomo, że nie możemy zgodzić się na coś za ledwie tymczasowego - perorował zwiadowca z mrocznego Falthar. - Byłbym za tym, żeby ogołocić statek ze wszystkich przydatnych rzeczy i założyć bazę. Później moglibyśmy się rozejrzeć.

- Fylh?

Szpony Trystianina stuknęły o szeroki, skórzany pas. - Całkowicie się zgadzam. Choć może to zbyt rozsądne. - Wydawało się, że skierował tę uwagę wprost do Smitta. Najwyraźniej Fylh nie był przygotowany na to, żeby tak od razu zapomnieć o dawnych podziałach między zwiadowcami a załogą patrolu.

- Zinga?

- Jeśli chodzi o założenie bazy: tak. Osobiście trzymałbym się blisko tej rzeki pełnej przepysznych stworzeń. Tyle ich tam jest - przymknął oczy w udawanej rozkoszy.

Kartr spojrział na Smitta. - Osobiście przyłączam się do ich decyzji. Została nam jedna dobra szalupa. Możemy nią przewieźć dowódcę, Miriona i zapasy. Jeśli dostaniemy się do głównego napędu, powinno starczyć paliwa na kilka przelotów. Pozostali mogą tam dojść na piechotę, z plecakami. Teren jest niezły; jest woda i pożywienie, a poza tym nie mamy tu wrogów. Brak śladów Greenies, którzy chcieliby nas zaatakować. Gdybym był dowódcą... - Ale nim nie jesteś, miłośniku Bemmych, nie jesteś! Dłoń Kartra opadła na kolbę miotacza, zanim jeszcze dostrzegł mężczyznę przechodzącego przez próg. Fala nienawiści jaką emitował była niczym cios pięścią dla wrażliwej percepcji zwiadowcy.

Wiedząc, że jakakolwiek odpowiedź jedynie wzmoże gniew przybysza, Kartr pohamował się i pozwolił Smittowi przyjąć wyzwanie.

- Zamknij się, Snyn!

Promyk światła wyrwał się z niewielkiego miotacza, niemal zupełnie ukrytego w dłoni oficera uzbrojenia skierowanej na łącznościowca. Fale lęku bazującego na nienawiści były tak gęste, że Kartr dziwił się, iż inni ich nie wyczuwali. Nawet nie usiłując zerwać się na nogi, sierżant przeturlał się na bok, uderzając ramieniem w kolana Snyna. Błyskawica zielonego płomienia przecięła powietrze, kiedy palec zbrojeniowca zacisnął się na spuście. Zachwiał się odpierając zamiar Kartra, który zdrową ręką próbował pozbawić go równowagi.

W sekundę lub dwie było już po wszystkim. Snyn związał się pod Zingą przeklinając, lecz Fylh skutecznie wykręcał mu ręce. Potem przewrócono go na plecy i niezbyt delikatnie podniesiono, by mógł odpowiadać na pytania.

- On oszalał! - stwierdził Smitt z przekonaniem. - Bez ostrzeżenia sięgnął po miotacz!

- Powiniennem was wszystkich spalić - rzucił więzień z wściekłością. - Zawsze wiedziałem, że wam, zwiadowcom, nie wolno ufać. Wszyscy jesteście Bemmiami!

Jednak jego nienawiść w trzech czwartych podszyta była strachem. Kartr ponownie opadł na śpiwór i ze zdumieniem przyglądał się roztrzęsionemu mężczyźnie. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że zwiadowcy nigdy nie zostali zaakceptowani jako pełnoprawni członkowie patrolu. Wiedział też, że narastały uprzedzenia wobec ras nie wywodzących się spośród ludzi - „Bemmych” - ale tak jawny i przerażający wybuch wściekłości członka patrolu skierowany przeciw istotom podróżującym przecież na jednym statku zaskoczył go kompletnie.

- Przecież nic ci nie zrobiliśmy, Ssyn.

Zbrojeniowiec jedynie splunął w odpowiedzi. Kartr pojął, że nie ma szans dotrzeć do niego na drodze racjonalnej. Było tylko jedno wyjście, ale takie, jakiego dawno poprzysiął nie stosować, przynajmniej wobec osobników własnego gatunku. Czy pozwoli mu z tego skorzystać? Patrzył na szamoczącego się bezradnie zbrojarza, potem spojrzał na Smitta.

- Jest niebezpieczny.

Smitt podniósł wzrok na rozdarty, jeszcze rozżarzony fragment ściany.

- Nie musisz mi o tym mówić! - Potem technik poruszył się nerwowo. - Co zamierzasz z nim zrobić?

Dużo później, wspominając tę sytuację, Kartr zrozumiał, że był to punkt zwrotny. Zamiast zwrócić się do Smitta czy swoich ludzi o wsparcie, sam podjął decyzję. Błyskawicznie skoncentrował swój umysł i przeniknął do mózgu pojmanego. Twarz Ssyna poczerwieniała z wysiłku, na wykrzywionych ustach lśniła piana. Jednak nie miał szans na obronę, nie przeciw tak świetnie wytrenowanej woli sierżanta. W oczach pojawił się dziwny blask, zaprzestał walki i bezwiednie otworzył usta. Smitt sięgnął po miotacz.

- Co mu robisz?

Teraz Ssyn był już zupełnie odprężony i cichy. Nieruchome oczy wpatrywały się w metalowy sufit. Smitt chwycił Kartra za ramię. - Co mu zrobiłeś?

- Uspokoilem go tylko. Musi to przespać.

Smitt wycofywał się nerwowo w stronę drzwi. - Zostaw mnie! - głos drżał mu nerwowo. - Zostaw mnie, ty, ty cholerny Bemmy! - W panice zbliżał się do wyjścia, lecz Rolth znalazł się tam wcześniej blokując drogę. Smitt odwrócił się do niego dysząc ciężko jak osaczone zwierzę.

- Nie mamy zamiaru nic ci zrobić - Kartr nie ruszył się ze swego siedzenia ani nie podniósł głosu. Rolth dostrzegł sygnał. Faltharianin zawahał się na moment zanim posłusznie

odstąpił przejście. Nawet wówczas Smitt nie przestał obserwować Kartra, choć nie ruszył się. Lekko załamującym się głosem spytał:

- Czy możesz... czy możesz to zrobić z każdym z nas?

- Najprawdopodobniej. Nigdy nie trenowaliście blokady umysłu?

Miotacz Smitta powrócił na swoje miejsce w kaburze. Przecierał spoconą twarz drżącymi dłońmi.

- Więc dlaczego nie...?

- Dlaczego nie użyłem mocy umysłu na tobie? A dlaczego miałbym to robić? Nie chciałeś nas spalić, nie oszalałeś.

Smitt powoli otrząsał się z szoku. Panika, która przez chwilę nim zawładnęła, ustąpiła. Rozum zaczął panować nad emocjami. Dał krok naprzód i pochylił się nad śpiącym zbrojeniowcem.

- Jak długo będzie w tym stanie?

- Nie mam pojęcia. Nigdy dotąd nie zrobiłem tego człowiekowi.

Zdumienie było silniejsze od lęku.

- Naprawdę potrafisz nas wszystkich tak załatwić?

- Z ludźmi o lepszej samokontroli i silniejszej woli byłoby to nieco trudniejsze. Trzeba by znaleźć sposób, by opuścili swoje obrony umysłowe. Ale Snyn w ogóle się nie bronił.

- Nie możesz się na tym opierać, Smitt. - Zinga włączył się do rozmowy. - Jeżeli masz nadzieję, że sierżant w ten sposób wykończy twoich przeciwników, to ją porzuć. Albo uda nam się ich przekonać, albo...

Smitt doskonale znał zakończenie tego zdania. - Będziemy walczyć? - powiedział niemal ponuro. - To przecież będzie...

- Bunt? Ależ oczywiście, mój panie. Przecież nie przychodziłbyś tu do nas, gdybyś od samego początku nie miał takiego zamiaru, nieprawdaż? - dorzucił Fylh.

Bunt! Kartr zmusił się do chłodnego rozważenia takiej możliwości. Zarówno w kosmosie, jak i na planecie, Vibor ciągle był ich dowódcą. Każdy członek załogi Starfire'a przysięgał, że będzie wykonywał jego rozkazy i podnosił autorytet Służby. Jedyne Tork, po zbadaniu stanu zdrowia dowódcy, mógł zająć jego miejsce. Jednak Torka już nie było i nikt na pokładzie nie miał prawa sprzeciwiać się rozkazom. Sierżant wstał.

- Czy możesz ściągnąć Jaksana i Dalgre'go...

Rozejrzał się po kwaterze zwiadowców. Nie, lepiej będzie, jeśli zbiorą się w bardziej neutralnym miejscu. Najlepiej na zewnątrz, gdzie widok roztrzaskanego statku będzie mógł wpłynąć na wynik dyskusji.

- ...na zewnątrz? - dokończył.

- W porządku - zgodził się Smitt z pewnym wahaniem. Wyszedł z kabiny.

Zinga odczekał, aż technik łączności znajdzie się w bezpiecznej odległości. - W co się tym razem pakujemy?

- To musiało się kiedyś zdarzyć, a po katastrofie stało się nieuniknione - odpowiedział mu cicho Rolth. - Kiedy byliśmy w kosmosie, wiedzieli po co żyją. Mogli zamknąć oczy i umyśli na wszystko dookoła i pogрузić się w bezpiecznej rutynie lotu. To zostało im teraz odebrane. Teraz my mamy przed sobą jakiś cel, zadanie do wykonania. Ponieważ jesteśmy, no powiedzmy to wreszcie otwarcie, inni, więc zawsze byliśmy nieco podejrzani.

- Wobec tego - Kartr przełożył na słowa myśl, która już jakiś czas tliła się w jego mózgu - jeżeli nie zaczniemy działać i nie damy im jakiejś pracy, sami możemy stać się obiektem ich lęku i niechęci.

- Moglibyśmy się od nich odciąć - zaproponował Fylh. - Kiedy statek się rozpadł, nic już nas z nim nie wiąże. Jeśli chodzi o nasze opinie, któż miałby teraz przeglądać nasze akta? Możemy żyć z tej ziemi.

- Ale oni mogą sobie nie poradzić - powiedział Kartr.

- Choćby dlatego nie możemy ich tak zostawić. Przynajmniej na razie. Musimy spróbować im pomóc.

Zinga roześmiał się. - Na zawsze pozostaniesz idealistą, Kartr. Ja jestem Bemmy, Fylh jest Bemmy, Rolth jest na pół Bemmy, a ty jesteś bemmyfilem i w dodatku wszyscy jesteśmy zwiadowcami, co bynajmniej nie podnosi nas w oczach tych, tak zwanych ludzi z patrolu. Niech ci będzie, spróbujemy nauczyć ich żyć, ale będę z nimi dyskutował z miotaczem pod ręką.

Kartr nie zaprotestował. Po niechęci z jaką Jaksan powitał ich powrót z rekonesansu i szalonym ataku Snyna, doskonale wiedział, że muszą być przygotowani na wszystko.

- Ciekawe, czy możemy liczyć na Smitta - zastanawiać się na głos Zinga. - Nigdy dotąd nie darzył nas zbytnim sentymentem.

- Owszem, ale on nie jest głupi - odpowiedział mu Rolth. - Kartr, to twoje zadanie, ty będziesz z nimi gadał. Pozostali poparli go skinieniem głowy. Kartr uśmiechnął się. Poczł ogarniającą go fałę wewnętrznego ciepła. Zawsze był o tym przekonany - zwiadowcy trzymali się razem. Choćby nie wiem co się działo, stawali w równym szeregu wobec niebezpieczeństwa.

ROZDZIAŁ IV - LATARNIA

Czterej zwiadowcy przeszli razem po wypalonym silnikami gruncie w cień skały. Słońce stało już nisko rozświetlając zachodnie niebo czerwonymi i żółtymi promieniami. Jednak kamienie i piasek nadal były rozpalone.

Jaksan, Dalgre i Smitt czekali już na nich mrużąc oczy przed refleksami światła błyskającymi od srebrzystego kadłuba *Starfire'a*. Stali blisko siebie, jakby obawiali się czegoś. Ataku? Usta pierwszego oficera wykrzywił bolesny grymas. Był w średnim wieku, lecz elastyczność ruchów, stała gotowość brzmiąca w jego głosie i widoczna w sposobie bycia, kontrastowały ostro z szerokimi pasami siwizny na skroniach. Z pewnym zdumieniem Kartr uświadomił sobie, że w dobrych latach Służby Jaksan przestałby już latać. Przepisy zmusiłyby go do przejścia na jakieś administracyjne stanowisko w jednym z portów floty. Czy patrol w ogóle posiadał jeszcze takie porty? Kartr ostatnio przebywał w jednym z nich aż pięć lat temu.

- Czego od nas chcecie? - Jaksan przejął inicjatywę. Kartr nie był pod wrażeniem i nie dał się zbić z tropu. Instynktownie zwrócił się do niego w formalnym stylu zapamiętanym z dzieciństwa. - Uważamy obecnie za niezbędne rozważenie naszej przyszłości. Proszę spojrzeć na statek - nie musiał nikomu wskazywać rozbitej maszyny. Wszyscy z największą trudnością odrywali od niej wzrok.

Czy można mieć nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze będzie w stanie wystartować? Wyruszyliśmy na tę wyprawę bez wystarczającego zaopatrzenia. Niemal wyczerpaliśmy już szczupłe zapasy. Nie pozostaje nam nic innego, jak wymontować co się da i założyć obóz.

- Takiej właśnie gadki spodziewaliśmy się po tobie! - wrzasnął Dalgre. - Pamiętaj, że nadal podlegacie rozkazom, bez względu na katastrofę!

To nie Jaksan dał się ponieść emocjom. Jaksan mógł być wtopiony w patrol z jego rozkazami i tradycją, lecz nie pozostał ślepy i głuchy na rzeczywistość.

- Czym rozkazom? - spytał Kartr. - Komandor stracił zdolność dowodzenia. Czy to pan jest teraz dowódcą, sir? - zwrócił się bezpośrednio do Jaksana.

Opalenizna nie pozwalała dostrzec, czy oficer zbladł, lecz jego twarz jakby nagle się postarzała. Ściągnięte wargi odsłoniły nieco zęby w zwierzęcym grymasie gniewu, bólu i frustracji. Chwilę wpatrywał się w zrujnowany statek, zanim odpowiedział.

- To zabije Vibora - wycedził przez zęby.

Kartr zebrał siły powstrzymując napór emocji zalewającej jego wrażliwe zmysły. Mógł złagodzić gwałtowny ból Jaksana, gdyby sam nie wierzył, że dawne życie skończyło się nieodwołalnie. Służba ich wszystkich trochę skrzywiła, zarówno zwiadowców, jak i załogę statku. Może potrzebowali wsparcia: rozkazów czy rutyny tak bardzo, że trzymanie się dawnych form mogło pomóc w nawiązaniu nici porozumienia.

Zasalutował. - Czy mam pańskie pozwolenie na rozpoczęcie przygotowań do opuszczenia statku, sir?

Przez moment napiął mięśnie, kiedy oficer raptownie odwrócił się do niego. Jednak Jaksan nie sięgnął po miotacz. Zamiast tego pochylił ramiona, a linie na twarzy stały się jeszcze bardziej wyraziste.

- Zrób jak uważasz! Odłączył się od nich kierując się za skałę. Nikt nie ruszył się, aby pójść za nim.

Kartr przejął komendę. - Zinga, Rolth, przygotujcie szalupę i zapasy na dwa dni. Weźcie paliwo z głównych silników, po czym udajcie się na północ i załóżcie bazę pod wodospadem. Ty, Rolth, przyprowadzisz pojazd z powrotem, a wyślemy tam Komandora z Mirionem.

Posilili się obrzydliwymi racjami i zabrali do roboty. Wkrótce dołączył do nich Jaksan, który pracował nie odzywając się ani słowem. Kartr z wdzięcznością obdarzył go odpowiedzialnością za zebranie broni i sprzętu załogi. Zwiadowcy trzymali się z dala od reszty - mieli dość pracy przy własnym ekwipunku i wyładowywaniu wszystkiego ze Starfire'a. Szalupa pilotowana przez Roltha, dla którego nocne ciemności były dziennym światłem, wykonała trzy loty, przewożąc wciąż nieprzytomnego Snyana, rannych i zapasy.

Na nocnym niebie zawisł pojedynczy księżyc. Cieszyli się, że jego światło wspomaga ich latarki. Z przerwami pracowali aż do szarego świtu wyłaniającego się zza horyzontu. W ostatniej chwili Jaksan odkrył coś, co było największym skarbem. Wśliznął się samotnie do przedziału napędowego i głośnym krzykiem wezwał ich do siebie.

Paliwo - cała rura wypełniona dodatkowymi kostkami! Nie wierzyli własnym oczom, kiedy wypchnął ją przez właz.

- Trzeba je oszczędzać - dyszał ciężko Jaksan. - Na pewno się przydadzą.

Pamiętając o wysokości skał otaczających wodospad, Kartr nie mógł się z nim nie zgodzić.

Dlatego, kiedy Rolth wrócił, załadowali pojemnik na szalupę, lecz nie kazali mu wracać. Zjedzą coś, prześpią upała i pieszo dotrą do obozu, dźwigając na plecach osobiste wyposażenie.

Słońce stało już wysoko, kiedy zebrali się w niewielką grupkę pod skałami, w cieniu rozbitego statku. Spierzchniętymi ustami Jaksan odczytał starą formułę pożegnania. Nie postawią żadnego pomnika. Dopóki czas nie zmieni wraku w rdzawy kurz, *Starfire* będzie strzec swej załogi.

Potem ostatni raz zasnęli na jego pokładzie. Kiedy Fylh zbudził Kartra, wydawało się, że minęła zaledwie chwila, lecz słońce chyliło się już ku zachodowi. Sierżant przełknął wyschnięte resztki racji żywnościowych. Nie mówiąc zbyt wiele, wszyscy założyli plecaki i ruszyli przez pustynię w kierunku skalistych wzgórz wypatrzonych poprzedniego dnia.

Wkrótce zapadła noc rozjaśniona jedynie światłem księżyca. Nie włączali latarek, oszczędzając baterie. Nie szli wzdłuż rzeki, wybierając skrót przez pustynię, odnaleziony podczas pierwszej wyprawy szalupą. Kiedy trafili na fragment szosy, Kartr zwrócił na nią uwagę Jaksana.

- Szosa! - Pierwszy raz od wylądowania na tej planecie, oficer uwolnił się od przygnębienia. Opadł na kolana, gładząc dłońmi stare kamienne bloki. Oświetlił je latarką, by móc się lepiej przyjrzeć. - Niewiele z niej pozostało. Zbudowano ją dawno temu. Czy możecie prześledzić jej przebieg?

- Mamy odpowiednie urządzenie na szalupie, ale przy tej ilości paliwa nie wydaje się to opłacalne.

Jaksan podniósł się powoli z klęczek. - Chyba nie. Musimy jednak o tym pamiętać, to może być jakiś ślad. Pogrążył się w głębokiej zadumie i ruszył za grupą. Jednak na następnym postoju znów się ożywił. - Dalgre, mówiłeś mi kiedyś o jakimś procesie, o możliwości wykorzystania pocisków jako źródła energii.

Jego asystent natychmiast to podchwycił.

- To... - od razu przeszedł na skomplikowany żargon techników, zupełnie niezrozumiały dla zwiadowców. Dla nich mógł to być język używany na jakiejś odległej galaktyce. Na pokładzie *Starfire'a* nie było mechanika, lecz Jaksan był ekspertem w swojej dziedzinie i dbał o to, by jego podwładni wiedzieli coś więcej ponad niezbędne minimum. Dalgre nie przerwał swych wyjaśnień, kiedy ruszyli w dalszą drogę, a Jaksan szedł przy nim rzucając pytania, które pobudzały jedynie dalsze potoki słów.

Nie od razu udało im się wspiąć na wyżynę. Mirion zmarł w trzecim dniu. Pochowali go na niewielkiej polanie, między dwoma wysokimi drzewami. Fylh i Zinga przytaszczyli spory głaz z rzeki, a Rolth delikatnie wyrzeźbił na nim jego imię, nazwę planety, na której się urodził oraz stopień wojskowy.

Vibor w ogóle się nie odzywał. Jadł mechanicznie, a raczej przeżuwał i połykał to, co Jaksan czy Smitt wciskali mu w usta. Głównie spał i zupełnie nie interesował się tym, co się wokół niego działo. Dawny podział istniejący między załogą a zwiadowcami, między pełnymi członkami patrolu a mniej zdyscyplinowanymi specjalistami, zaczął powoli zanikać. Wspólnie pracowali, wspólnie polowali i jedli obce mięso, orzechy i jagody. Jak dotąd ich szczepionki immunizacyjne działały, albo też nie trafili na nic szkodliwego.

Rankiem, po pogrzebie Miriona, Kartr zaproponował, by ruszyli dalej za wodospad, gdzie teren wydawał się bardziej gościnny. Jaksan nie zgłaszał sprzeciwu, więc z pomocą szalupy przenieśli sprzęt o milę na północ od pierwszej bazy. Fylh przewiózł Vibora i Jaksana, natomiast pozostali pieszo ruszyli w kierunku bardziej otwartego terenu.

Zinga pierwszy szedł przez popowodziowe stawy, wzdłuż kamienistego brzegu rzeki. Kartr z niesprawną ręką nie nadawał się na lidera, więc posuwał się tuż za nim. Dalej maszerowali Dalgre, Snyn i Smitt, natomiast Rolth pilnował tyłów. W porannym powietrzu unosił się słodki zapach. Było dość chłodno, lecz przyjemnie. Kartr wciągnął głęboko w płuca rzeński podmuch wiatru. Duszne powietrze w *Starfire* wydawało się odległą przeszłością. Z pewnym zdumieniem stwierdził, że niczego nie żałuje. Gdyby nawet okazało się, że są tu uwięzieni na zawsze, trudno byłoby wyobrazić sobie lepszy świat.

Wyciszył umysł i postanowił nie zwracać uwagi na współtowarzyszy, a raczej skoncentrować się na przeszukiwaniu okolicy. Miał nadzieję, że wyczuje jakieś ślady życia zwierzęcego. W pewnej odległości za nimi sunęło rudawe stworzenie z okazałą kitą. Poruszało się w koronach drzew, szczebiocząc od czasu do czasu. Było jedynie zaciekawione wtargnięciem obcych na jego terytorium. Zaciekawione i zupełnie pozbawione lęku.

Jakiś ptak, a może specyficzna forma owada, szybował wysoko na niebie, na jaskrawo ubarwionych skrzydłach. Potem jeszcze jakiś zwierzak wybiegł z ukrycia, może o sto stóp przed nimi. Był sporych rozmiarów, niemal tak duży, jak ów niezwykle zręczny rybak, którego widzieli podczas pierwszej wyprawy. Tyle, że jego futro było żółtobrazowe, a on sam poruszał się między skałami z pewną arogancją. Przycupnął na jednym z głazów i obserwował ich przez ledwo rozwarte powieki. Sam koniec jego ogona poruszał się nerwowo. Zinga zatrzymał się czekając na Kartra.

Łatwo rzucała się w oczy ich pewność siebie i zaciekawienie, idące w parze z lekkimi oznakami głodu, bez śladu strachu czy znużenia. Zwierzak najwyraźniej traktował ich jako potencjalną żywność.

Kartr skupił się na nim i dopiero teraz dostrzegł silne mięśnie pod gęstym futrem nadające ruchom niezwykle elastyczność. Był piękny, tak cudowny w swej naturalnej swobodzie, że sierżant zapragnął nawiązać z nim kontakt, wniknąć w ten obcy mózg.

Znalazł tam głód, lecz pod wpływem mentalnego dotyku ustąpił on miejsca ciekawości. Zwierzę usiadło wyprostowawszy przednie łapy. Jedyne nadal poruszający się czubek ogona zdradzał niepokój.

Nie poruszając głową, Kartr wydał rozkaz: - Przesuń się nieco na lewo i obejdź skałę. Teraz nas nie zaatakuj.

- Nie lepiej go zastrzelić? - rzucił Ssyn. - Po co te wasze „nie zabijaj tego, nie zabijaj tamtego”. W końcu to tylko zwierzę.

- Zamknij się! - Smitt popchnął kolegę, zmuszając go do dalszego marszu. - Nie ucz zwiadowcy jego fachu.

Nie pamiętasz? Gdyby nie nawiązali kontaktu z tymi dziwnymi, fioletowymi, latającymi galaretami - nie wytrzymałibyśmy ataku zielonych. Wykończyliby nas bez ostrzeżenia.

Ssyn mruknął coś pod nosem, ale posłusznie skręcił w lewo. Smitt, Dalgre i Rolth poszli za nim. Zinga zamknął pochód. Kartr wyczekał chwilę, aż ostatni z nich przeszedł obok leśnego stworzenia. Zwierzę ziewnęło szeroko, odsłaniając groźne kły. Sennie przyglądał się przechodzącym. Nie mógł się zdecydować - ciekawość nakazywała mu iść za przybyszami, lecz głód sugerował poszukanie łatwiejszej zdobyczy. W końcu głód zwyciężył. Dotyk sierżanta zelżał i łowca ruszył w las daleko od ich trasy.

To spotkanie zaskoczyło i lekko zaniepokoiło Kartra. Bez trudności nawiązał kontakt, łatwo przekonał zwierzę, że nie są dla niego żadnym pokarmem i że nie stanowią zagrożenia, lecz nie udało mu się ustanowić żadnego bliższego związku. Z całą pewnością na tym świecie nie ma niczego takiego jak owa fioletowa galareta, gotowa pomóc ludziom. To leśne zwierzę miało w sobie jakąś dziką, prymitywną niezależność, która opierała się jego mentalnej penetracji. Jeżeli wszyscy mieszkańcy tej planety byli tacy sami, to garstka rozbitków dokończy swych dni w izolacji i odosobnieniu.

Niewątpliwie mieszkali tu kiedyś ludzie, czy inne wyżej zorganizowane istoty - świadczyła o tym droga. Byli tu dość długo i w dużej liczbie, inaczej nie budowałiby traktu na obrzeżu pustyni. Jednak żadne z napotkanych dotąd stworzeń nie pamiętało ich, nie wykazywało nawet cienia instynktownego lęku przed ludźmi. Jak dawno temu rasa zamieszkująca ten świat opuściła go? Dokąd odleciała i dlaczego? Miał ogromną ochotę

wskoczyć do szalupy i podążyć kamiennym traktem do miasta, które musiało przecież kiedyś leżeć na jego końcu czy początku.

Miasta budowano przeważnie na krawędziach płyt kontynentalnych, gdzie można było uruchomić transport morski, bądź w strategicznych punktach, na brzegach rzek. Na tej planecie były morza. Westchnął na wspomnienie roztrzaskanego w katastrofie rekordera, w którym zanotowano wszelkie dane na temat tej planety, uzyskiwane w miarę zbliżania się do niej. Być może, gdyby teraz skierowali się na zachód lub wschód, trafiliby na morskie wybrzeże. Który kierunek okazałby się szczęśliwszy? Tuż przed fatalnym lądowaniem tylko raz udało mu się rzucić okiem na ekran. Zapamiętał, że obszar lądu, na który się kierowali, był dość rozległy. Przeciwległe brzegi dzieliły setki mil planetarnych. Nie wiadomo nawet, czy sama droga byłaby skutecznym drogowskazem.

Kartr postanowił dogłębnie zająć się sprawą ewentualnego nowego źródła energii, o którym rozmawiali Jaksan i Dalgre, kiedy już zbudują solidny obóz. Gdyby rzeczywiście udało się je zdobyć, mogliby pokusić się o dalszą eksplorację, niż byłoby to możliwe na piechotę. Może ta droga kryje w sobie nowe nadzieje?

Rolth zatrzymał się i patrzył na niego.

- Jesteś szczęśliwy?

Dopiero wtedy Kartr uświadomił sobie, że pogwizduje.

- Myślałem o tej szosie, żeby nią ruszyć.

- Tak, ona rzeczywiście daje do myślenia. Ale czy naprawdę to by coś dało? Czy naprawdę wierzysz, że spotkamy tu człowieka, czy choćby jego odległego krewniaka?

- Nie mam pojęcia.

- I to jest właściwa odpowiedź na moje pytanie - Rolth poprawił plecak. - Jeśli czegoś nie wiemy, powinniśmy to zbadać. Potrzeba sprawdzenia tego, co kryje się za najbliższymi wzgórzami zrobiła z nas zwiadowców. Jesteśmy genetycznie zaprogramowani do takich badań. Szczerze mówiąc, bardziej podobałaby mi się taka daleka ekspedycja od tego taszczenia sprzętu z miejsca na miejsce, bez większego ładunku i składu.

Potrzebowali dwóch dni, żeby dotrzeć do obozu założonego przez Fylha i Jaksana. Znaleźli tam jednak szałas z gałęzi, ogniska odpędzające wieczorny chłód i pieczeń doskonale regenerującą nadwątlone marszem siły.

Skalna półka na brzegu rzeki tworzyła idealne lądowisko dla szalupy. Za nią złożono stos przewiezionego ze statku sprzętu. Jaksan sam znalazł jakieś dziko rosnące zboża, właśnie dojrzałe oraz kwaskowe owoce drzew porastających skraj lasu. Człowiek na pewno może żyć na tej planecie. Kartr zastanawiał się nad możliwą sekwencją pór roku, czy

różniły się znacznie od siebie, jednak nic nie mógł wymyślić. Pory roku nie miały najmniejszego znaczenia, kiedy byli jedynie gośćmi w danym świecie, teraz ich sytuacja była diametralnie inna. Muszą się jeszcze wiele nauczyć i to na własnej skórze.

Wyciągnął się przy ognisku starając się uporządkować w myślach najbliższe zadania. Tak bardzo się na tym skupił, że podskoczył, kiedy Rolth dotknął jego ramienia. Nocny świat był domeną Roltha, który w ciemnościach ożywał się, podobnie zresztą, jak zwierzyna obserwująca z bezpiecznej odległości niezwykłych przybyszów.

- Chodź! - ponaglenie wyszeptane w tym jednym słowie zelektryzowało Kartra. Zerwał się na równe nogi i rozejrzał po obozowisku. Pozostali spali w swoich śpiworach, bądź skutecznie udawali głęboki sen.

- Co...? - nie dokończył pytania czując na ramieniu ostrzegawczy uścisk Roltha. Bez słowa dał się wciągnąć w krąg ciemności.

Szli coraz bardziej stromym zboczem. Las rzedł i po chwili stanęli na otwartym terenie rozświetlonym księżycowym blaskiem. Na wierzchołku wzgórza Faltharianin odwrócił sierżanta w kierunku północnym.

- Poczekaj - powiedział ochryplym głosem. - Obserwuj niebo!

Kartr usiłował przeniknąć czarną kurtynę nocy. Powietrze było przejrzyste, niebo upstrzone gwiazdami układającymi się w bardziej lub mniej znane konfiguracje. Przypomniawsobie różne słońca i miliardy światów, jakie ogrzewały.

Nagle horyzont przecięła żółtobiała smuga światła, sięgająca niebios z jednego punktu na ziemi. Jej ruch trwał trzy sekundy. Kartr zaczął liczyć. Po sześćdziesięciu sekundach pojawiła się ponownie, znów poruszając się z lewej strony w prawo. Latarnia!

- Od jak dawna?

- Zobaczyłem ją z godzinę temu. Jest bardzo regularna.

- To musi być latarnia, boja świetlna. Komu wysyła sygnały? Kto nią steruje?

- Czy naprawdę ktoś musi nią sterować? - spytał Rolth w zadumie. - Pamiętasz Tantor?

Tantor - zamknięte miasto. Jego mieszkańcy padli ofiarą jakiejś potwornej epidemii dwa wieki temu. Tak, dobrze pamiętał Tantor. Zdarzyło mu się przelecieć raz przed olbrzymią plastikową kopułą wiecznego więzienia, które miało chronić galaktykę przed rozprzestrzenieniem się zarazy. Wtedy na własne oczy widział stare urządzenia pracujące jakby nic się nie stało, utrzymujące przy życiu miasto, gdzie nie było i nigdy już nie miało być żywej duszy. Tantor również miał latarnie, które nie przestawały wysyłać rozpaczliwych wezwań o pomoc, jeszcze na długo po tym, jak ręka, która je uruchomiła obróciła się w

proch. Za tymi wzgórzami mógł być kolejny Tantor i to mogłoby wyjaśnić zagadkę tego przyjemnego, lecz opuszczonego świata.

- Przyrowadź tu Jaksana - powiedział w końcu Kartr. - Tylko nie budź pozostałych.

Rolth zniknął w mroku. Sierżant stał samotnie wpatrując się w promień światła omiatający niebo w niezmienną sekwencję czasu. Ciekawe, czy ktoś dba o urządzenie, które go wysłało? Czy to sygnał wzywający pomocy, na którą jest już za późno? A może wskazówka dla statku, który miał przybyć z kosmosu, lecz nigdy się nie zjawił?

Usłyszał kamyk poruszony niecierpliwą stopą. Nadchodził oficer patrolu.

- Co jest? - spytał po chwili Jaksan.

Kartr nawet się nie odwrócił. - Popatrz na północ. Widzisz?

Promień zatoczył łuk nad horyzontem. Kartr usłyszał westchnienie podobne do szlochu.

- To na pewno jakiś sygnał - ciągnął sierżant. - Moim zdaniem wysłany automatycznie.

- Z jakiegoś miasta! - dodał Jaksan w podnieceniu.

- Albo też z lądowiska. Tyle, że... pamiętasz Tantor?

Milczenie wystarczyło za całą odpowiedź.

- Co proponujesz? - minęła długa chwila, zanim oficer zadał to pytanie.

- Chodzi mi o ten proces, o którym rozmawiałeś z Dalgre'em - czy naprawdę można wykorzystać energię pocisków do napędu szalupy? Musimy trzymać zapas na wypadek zagrożenia.

- Możemy spróbować. Raz już to ktoś zrobił, a Dalgre czytał raport. Przypuśćmy, że nam się uda - co wtedy?

- Wezmę szalupę i to zbadam.

- Sam?

Kartr wzruszył ramionami. - Wezmę najwyżej jednego zwiadowcę. Jeżeli to jakiś wymarły pomnik, kolejny Tantor, nie będziemy mogli zbadać go zbyt dokładnie. Im mniej nas będzie się narażało, tym lepiej.

Oficer zastanawiał się nad tym przez chwilę. Kartr nie mógł opanować przelotnej niechęci. Domyślał się, o czym myślał Jaksan. Sygnał mógł oznaczać istnienie gwiazdowego Portu, szansę na znalezienie zdolnego do lotu statku, na powrót do bezpiecznego, znajomego życia patrolu - jedyne, jarego oficer kiedykolwiek zakosztował. W najgorszym wypadku, sygnał był nadzieją odnalezienia jakiejś cywilizacji, choćby jej ruin, które można by wykorzystać jako schronienie przed surowymi realiami życia w dziczy tego świata.

Zwiadowcy mieli obowiązek wykazywać wyrozumiałość wobec ludzi pokroju Jaksana. To, co dla nich było obietnicą wolnego i godnego życia, dla członków patrolu oznaczało cofnięcie się w mrok prymitywu. Gdyby Jaksan dał się teraz ponieść własnym emocjom, ruszyłby szaleńczo do szalupy i natychmiast poleciał w stronę latami. Zdołał się jednak opanować. W końcu nie był Snyem.

- Popracujemy nad tym po świcie - powiedział w końcu. - Zostanę tu jeszcze trochę - dodał, widząc jak Kartr rusza do obozowiska.

Rolth pełnił nocną straż. Na pewno nie dopuści, żeby Jaksan zrobił jakieś głupstwo. Sierżant sam wrócił do ogniska. Wślizgując się do śpiwora zacisnął powieki i zmusił się do zaśnięcia. Jednak we śnie smuga żółtobiałego światła na przemian kusila go do siebie, to znów groziła nieokreślonym niebezpieczeństwem.

Jaksan dotrzymał słowa. Wcześniej rano Dalgre, Ssyn i sam Jaksan rozebrali największy z pocisków i wymontowali napęd. Mając do czynienia z niebezpiecznym urządzeniem, pracowali bez zbędnego pośpiechu, starannie sprawdzając wszystkie obwody i instalacje. Zajęło im to cały dzień, lecz nawet, kiedy uznali, że wszystko zrobili jak najlepiej, do końca nie mieli pewności, czy szalupa zdoła się wznieść w powietrze.

Tuż przed wschodem słońca Fylh siadł w fotelu pilota, sprawiając wrażenie, jakby zupełnie nie robił na nim wrażenie fakt, że tuż pod nim tyka nie sprawdzony mechanizm, gotów go unicestwić przy pierwszej próbie uruchomienia. Uparł się, że to on właśnie wypróbuje nowy napęd.

Szalupa wzniosła się gwałtownie, właściwie skoczyła w górę. Zaraz potem zapanował nad nią, wyrównał lot i poszybował nad rzekę zataczając szerokie koło i posadził z powrotem, dokładnie w miejscu startu. Zanim jeszcze rozpiął pasy, Fylh zwrócił się do Jaksana:

- Ma o wiele większą moc niż przedtem. Na ile jej starczy?

Jaksan pocierał czoło dłonią. - Nie mam zielonego pojęcia. Co było w tym raporcie, Dalgre?

- Udało się na tym statku przelecieć trzy lata świetlne, więc nikt tak naprawdę nie wie, ile jeszcze energii pozostało.

Fylh pokiwał głową i spojrzął na Kartra.

- Cóż, pojazd gotów do drogi, sierżancie. Kiedy ruszamy?

ROZDZIAŁ V - MIASTO

Zwiadowcy ciągnęli losy, kto ma być pilotem wyprawy i wybór padł nie na Fylha, lecz na Roltha. W głębi duszy Kartr był z tego zadowolony. Lot z Rolthem za sterami oznaczał, że polecą w nocy, a to była najodpowiedniejsza pora na zwiad w nieznanym mieście. Po drugie, to właśnie Rolth pierwszy zauważył latarnię.

Wyruszyli o zmierzchu, z bagażami w miejscu wymontowanego trzeciego fotela. Wieźli ze sobą jedyny pozostały rozpylacz. Jaksan uparł się, żeby go zabrać.

Rolth podśpiewywał cicho pilotując szalupę przez wieczorny chłód przypominający mu rodzinną planetę. Bez ochronnych gogli widać było jego lśniące oczy i bladą twarz.

Kartr rozparł się wygodnie w fotelu i obserwował, jak zieleń powierzchni planety stopniowo przechodzi w ciemny granat. Na wszelki wypadek włączył urządzenie obserwujące teren. Gdyby przelatowali nad jakimkolwiek większym obiektem wykonanym ludzką ręką, zostaliby ostrzeżeni.

Wzgórza pod nim tętniły życiem - łowcy szukali zdobyczy. Raz nawet doszedł go przeraźliwy wrzask. Kartr wyczuł w nim wściekłość i rozczarowanie myśliwego, który źle obliczył skok i musiał znów zacząć tropienie. Jednak żaden człowiek nie przechodził pod nimi, nawet jego odległy krewniak.

Urządzenie dało sygnał. Kartr pochylił się i dokładnie sprawdził wskaźniki. Tylko jeden punkt, w dodatku niewielki, ale z całą pewnością wykonany przez człowieka. Może pojedynczy budynek, dawno już zasypany przez piasek. Z całą pewnością nie była to latarnia.

Ledwie o tym pomyślał, a snop światła przeciął niebo. Nie, cokolwiek by to było, na pewno nie wiązało się z latarnią.

Wszędzie ciągnęły się wzgórza. Rolth dał więcej mocy i wzniósł szalupę nieco wyżej. Potem znów zniżyli się przelatując nad rozległą niziną.

Dopiero wówczas dostrzegli, co znajdowało się w jej sercu. Łuna światła, już nie żółtobiałych, lecz szmaragdowych, rubinowych, a nawet szafirowych. Wyglądało to, jak garść olbrzymich klejnotów rozrzuconych, by lśniły i pulsowały w mroku.

Kartr odwiedził kiedyś czarodziejskie ruiny Calinn, z jego szpiczastymi wieżami i mieniącymi się kopolami. Miasta, którego żaden człowiek nie był w stanie skopiować. Widział też zamknięty Tantor i sławne Miasto Morza, zbudowane na wtopionych w skały żywych organizmach, w głębi wód planety Parth. To jednak wydawało się równie obce, jak znane. Jednocześnie czuł, że go to przyciąga i odpycha.

Na moment przejął stery, żeby Rolth mógł założyć gogle. To, co dla niego było jasnym światłem, Faltharianina oślepiało.

- Wlatujemy, czy najpierw przeprowadzimy zwiad? - spytał Rolth.

Kartr skrzywił się nieco wysyłając strumień percepcji przed siebie, niczym delikatną sondę chirurgiczną, w poszukiwaniu źródła światła.

Trafił na to, czego się spodziewał, dotknął tego i natychmiast się wycofał, uciekając przed zdradzeniem swej obecności. Jednak to, co spostrzegł było tak zdumiewające, że nie kwapił się z odpowiedzią na nurtujące go pytanie. Kiedy ochłonął nieco, nie miał żadnych wątpliwości.

- Idziemy na zwiad!

Rolth zwolnił lot. Zatonął wokół plamy światła.

- To niewiarygodne! - krzyknął Kartr, dając upust emocjom.

- Znalazłeś jakichś mieszkańców?

- Co najmniej jednego. Miałem kontakt z umysłem z Arcturusa Trzy!

- Piraci?

- W otwartym mieście i przy takim oświetleniu? Choć, jakby się nad tym głębiej zastanowić, trudno wyobrazić sobie bezpieczniejszą kryjówkę. Bądź ostrożny, chyba nie chcemy wchodzić prosto pod ogień miotaczy. Mogą strzelać, zanim spytają cię o imię czy planetę, zwłaszcza, kiedy dostrzegą nasze odznaki.

- Czy on cię wyczuł?

- Kto to może powiedzieć? Z Arcturianami nigdy nic nie wiadomo. Dotąd nikomu nie udało się ich dokładnie zbadać, o ile nie byli nieprzytomni lub celowo otwarci. Nie mam pojęcia w jakim był stanie.

- Jeden, czy więcej?

- Zaraz się wycofałem. Nie sprawdzałem tego.

Urządzenie stukotało jak szalone. Kartr powinien włączyć też nagrywanie, lecz bez czytnika, bo i tak niewiele by działo. Od tej pory raporty zwiadu mogą być jedynie ustne. Szalupa szybowiała powoli nad obszarem, gdzie budynki stały w pewnej odległości od siebie, a teren między nimi gęsto porastała roślinność.

- Spójrz tam - Rolth wskazał na lewo. - Lądowisko, przynajmniej na to wygląda. Może wylądowalibyśmy na czymś takim i poszli dalej pieszo?

- Najpierw dostanemy się bardziej do centrum miasta. Po co iść tyle mil.

Wkrótce znaleźli to, czego szukali - niewielkie lądowisko na szczycie wysokiej wieży, która mimo wszystko wydawała się niska przy otaczających ją budynkach, choć od ulicy dzieliło ich ze czterdzieści pięter. Było to niezłe miejsce na rozpoczęcie zwiadu.

Opadli na platformę. Kartr wyskoczył z miotaczem gotowym do strzału. Skierował broń na cień przybudówki i natychmiast wysłał tam strumień percepcji, cofając go z równym pośpiechem. Rolth przetłumaczył na słowa spostrzeżenie Kartra. - To robot, chyba strażnik.

Kartr znalazł się z powrotem w szalupie, a Rolth uniósł ją nad cieniem.

Robot, strażnik czy służący, stanął jak wryty, jak tylko pojazd stracił kontakt z powierzchnią platformy. Wznosząc się, widzieli jak niezgrabnie wycofał się pod przybudówkę, Kartr odprężył się. Metalowy strażnik mógł ich uziemić, zanim spostrzegliby jego obecność. Oczywiście, może to fałszywy alarm, może to jedynie służący, ale po co ryzykować.

- Unikajmy lądowisk - powiedział, a Rolth zgodził się z nim z ochotą.

- Te stworzenia mogą być nastawione na ludzki głos lub na słowo-klucz. Podaj im nie to słowo, a rozerwą cię na strzępy.

- Moment - Kartr wsunął miotacz do kabury. - Oceniamy to miasto w świetle doświadczeń z naszą własną cywilizacją. - Wpatrzył się w zielone światło i wyrecytował podręcznikową formułkę: - Zawsze jest coś nowego, czego się nie spodziewasz. Zachowaj otwarty umysł.

- No i - dodał Rolth - gotowy miotacz! Jasne, znam to, ale natura ludzka pozostaje niezmienna, więc wolałbym być raczej nadmiernie ostrożny, niż martwy. Popatrz tam, na dół, widzisz te place między budynkami? Tam nie powinno być strażników ani czujników, które moglibyśmy niechcący uruchomić.

- Wygląda to dość obiecująco. Możesz dostać się za ten wielki dom? Moglibyśmy schować się w jego cieniu.

Może Rolth nie potrafił wydobyć z szalupy tej szybkości, o jakiej był zdolny Fylh, lecz jego ostrożność bardziej się raz Pfzydawała, niż beztroskie lekceważenie praw grawitacji przez Trystianina. Lądowanie zabrało mu pięć minut starannego manewrowania, lecz zdołał umieścić pojazd w samym centrum cienia, który wskazał mu Kartr.

Nie wysiedli od razu, lecz obserwowali teren w poszukiwaniu robotów i innych ruchomych obiektów stanowiących potencjalne zagrożenie.

- Miasto - Rolth nie bał się mówić banałów - nie jest najlepszym miejscem do zabawy w chowanego. Jestem pewien, że ktoś mnie obserwuje. Może stamtąd - kciukiem wskazał na rząd zaciemnionych okien wychodzących na dziedziniec, na którym wylądowali.

Kartr doskonale znał to uczucie, wrażenie, że jest się obserwowanym przez wiele oczu, jednak jego zmysły mówiły mu, że to nieprawda.

- Nie ma tam nic żywego - nawet robotów.

Opuścili szalupę, po czym podbiegli pod ścianę najbliższego budynku, trzymając się cienia. Rolth przesunął palce po chropowatej ścianie.

- Bardzo stara. Czuję erozję.

- A światła? Jak długo mogą się świecić? - zastanawiał się na głos sierżant.

- Spytaj swego przyjaciela z Arcturusa. Może to on je włączył po przybyciu. Kto wie?

Budynki, które mijali pozbawione były zbędnych ornamentów. Ściany były funkcjonalnie gładkie, jednak harmonijna całość, w jaką łączył się cały układ architektoniczny wskazywał na to, że był wytworem cywilizacji potrafiącej uznać wagę jednolitości organizmu miejskiego, zamiast traktować go jako zbiór niezależnych jednostek. Jak dotąd Kartr nie dostrzegł żadnych napisów na budowlach.

Błękitna latarka Roltha rytmicznie omiatała drogę przed, nimi. Kiedy zdecydowali się wycofać, wystarczyło, że na moment skierował jej światło za siebie, a od razu rozświetlały się markery znaczące trasę, którą już przeszli.

Zwiadowcy zatoczyli półkole wokół trzech budynków otaczających dziedziniec, na którym umieścili szalupę. Wydostali się na teren, gdzie stopy zapadły się niemal do kostek w nieznanym gruncie. Stary chodnik porastała gruba murawa krótkolistnej, twardej trawy. Pół przecznicy przed nimi, z zagłębienia między dwoma domami, lśniło tęczne światło. Zbliźali się do niego ostrożnie i stwierdzili, iż jest to fontanna bryzgająca światłem i wodą. Woda ta znikwała w głębokim basenie z wyszczerbieniem na krawędzi, przez które swobodnie wypływała na zewnątrz, wymywając wąski kanalik w zakurzonym chodniku, niknący w okratowanym otworze przy krawężniku.

- Nikogo tu nie ma - szepnął Kartr. Nie był w stanie wyjaśnić, dlaczego szeptał, jednak uczucie, iż byli obserwowani, przeważyło. Nawet w głębokim cieniu rzucanym przez otaczające ich budynki, skradali się chyłkiem pod murami, bojąc się zbudzić - co? - nie wiedzieli.

Przy fontannie pierwszy raz ośmielili się opuścić cień i podeszli do jej basenu. Przez rozbryzgiwaną wodę i jej blask zobaczyli centralną kolumnę fontanny. Na jej szczycie stała jakaś figura - większa od normalnych rozmiarów człowieka, chyba że mieszkańcy tej ziemi byli gigantami. Nie wykonano jej ze znanego im kamienia, lecz z białego, świetlistego materiału, na którym czas nie pozostawił swego śladu. Kiedy zobaczyli ją w całej okazałości, przystanąli zdumieni.

Była to postać dziewczyny. Uniosła ramiona nad głową, a grzywa gęstych włosów swobodnie opływała jej zgrabną sylwetkę. W dłoniach dzierżyła doskonale znany im symbol - pięcioramienną gwiazdę. To z jej wierzchołków tryskała woda. Dziewczyna nie była Bemmy - była równie ludzka jak oni.

- To Ionate - Duch Źródlanego Deszczu - Kartr wegnał w głąb swej pamięci przywołując starą legendę, zapamiętaną z dzieciństwa spędzonego na nie istniejącej już Planecie.

- Nie, to przecież Xyti Mrozu! - Rolth także miał swe wspomnienia wywodzące się z mroźnej i ciemnej planety.

Przez sekundę patrzyli sobie w oczy niemal z gniewem, aż roześmiali się.

- To mogą być obie naraz albo żadna z nich - zasugerował Rolth. - Ci ludzie mogli mieć swoje własne duchy piękna. Jedno jest pewne: sądząc po jej włosach i oczach, na pewno nie pochodzi z Falthar. Natomiast patrząc na jej uszy, nie można stwierdzić, że jest twoją krewną.

- Tylko dlaczego wydaje się tak znajoma? I ta gwiazda...

- To pospolity symbol - widziałeś go setki razy, na setkach najróżniejszych światów. Nie, to ja mam rację. Ona jest ideałem piękna, o czym sami możemy się przekonać, nawet jeśli to tylko wytwór wyobraźni jej twórcy.

Dość niechętnie opuszczali dziedziniec z fontanną i przeszli na szeroką aleję prowadzącą prosto do centrum miasta. Raz po raz trafiali na nieprzetłumaczalne napisy pojawiające się w powietrzu przed budynkami, które mijali. Przechodzili obok sklepów wypełnionych towarami, których przeznaczenia nie potrafili się domyślić. Nagle Kartr chwycił Roltha za ramię i szybko wciągnął go do jednego z przedsionków.

- Robot! - Wargi sierżanta niemal dotykały ucha towarzysza. - Chyba jest na patrolu!

- Możemy go rozpracować?

- To zależy od typu.

Musieli działać mając na uwadze przeszłe doświadczenia. Wiedzieli, że patrole robotów stanowiły śmiertelne zagrożenie. Te, które znali, nie dawały się opanować, o ile nie skróciło się im obwodów. W innym przypadku zmiotły z powierzchni wszystko, co stało na ich drodze lub nie zareagowało właściwie na zakodowane pytanie. Tego właśnie obawiali się na lądowisku, a teraz mogło stanowić jeszcze większe zagrożenie, kiedy nie mogli ratować się szybką ucieczką na szalupie.

- Zależy, czy to miejscowy typ, czy...

- Opanowany przez tego Arcturianina? - przerwał mu Rolth. - Tak, jeśli to on go tu sprowadził, wiemy jak sobie z nim poradzić. Ale jeżeli jest miejscowy...

Przerwał na dźwięk metalu uderzającego o kamień. Kartr wyprostował się i skierował światło latarki ponad ich głowami. Przedstonek, w którym się znajdowali, nie był zbyt wysoki, z niewielkim nawisem. Tuż nad nim widać było niewielkie okno. Na jego widok zaczął obmyślać plan.

- Do środka - powiedział Rolthowi. - Spróbuj dostać się na drugie piętro i wejdź przez parapet. Ja ściągnę na siebie uwagę robota i dopadnę go z góry.

Rolth zniknął w ciemnościach, które były jego żywiołem. Kartr oparł się o framugę drzwi. Uznał, że trzeba się przygotować na pogoń, więc starał się opanować skurcz w żołądku. Gdyby ten robot dotarł na parapet przed Rolthem, lub gdyby jemu, Kartrowi, nie udało się uniknąć pierwszego ataku... Na szczęście nie musiał czekać zbyt długo i rozważać najgorszych możliwości.

Widział robota. Dostrzegł go pod ścianą na końcu budynku. Migające światła odbijały się od jego metalowego korpusu. Sierżant był już pewien, że maszyna nie przypominała innych, poznanych w galaktycznych miastach. Półkolista kopuła osłony głowy, pajęcza szczupłość kończyn, pełna wdzięku płynność ruchów, doskonale pasowały do otaczającej go architektury.

Sunał pewnie i bez pośpiechu. Przystawał przy każdym wejściu oświetlając je cienkim snopem światła. Najwyraźniej wykonywał rutynowy przegląd bezpieczeństwa budynku.

Kartr odetchnął z ulgą. Rolth siedział już na parapecie, wysoko, poza zasięgiem wzroku robota. Gdyby tylko mógł mieć pewność, że konstrukcja maszyny odpowiadała generalnym zasadom i można go obezwładnić przez zwarcie obwodów głowy.

Jednak kiedy strażnik dotarł do następnego wejścia, zawahał się na moment. Kartr zeszywniał. Mogło być gorzej niż się spodziewał. Robot miał jakiś dodatkowy zmysł. Było pewne, że maszyna wyczuwa ich obecność. Nie błysnęło żadne światło. Stał nieruchomo, jakby zastanawiając się przed podjęciem decyzji.

Może przekazywał sygnał alarmowy do jakiejś zakurzonej kwatery? Poruszył ręką.

- Kartr!

Rolth nie musiał go ostrzegać. Sam dostrzegł znajomy kształt w dłoni strażnika. Rzucił się w tył na plecy ślizgając po gładkiej podłodze hallu. Kątem oka dostrzegł błysk ognia z płomiennej kuli w miejscu, gdzie stał jeszcze przed niecałą sekundą. Jedyne wytrenowane mięśnie i szósty zmysł zwiadowcy uchroniły go przed usmażeniem się w jej wnętrzu.

Roztrzęsiony, przewrócił się na brzuch i przeczołgał w głąb pomieszczenia. Ciekawe, czy robot ruszy za nim, żeby dokończyć dzieło zniszczenia? Usłyszał głuchy odgłos kroków.

- Kartr! Kartr!

Usiadł, kiedy Rolth wyłonił się zza narożnika i niemal wpadł na niego.

- Jesteś ranny? Dostał cię?

Kartr uśmiechnął się krzywo, ale żył. Skrzywił się, gdy palce Roltha dotknęły pozdieranej skóry na dłoniach.

- Co z...?

- Z tą puszką śrubek? Dałem mu popalić. Mała dziurka w osłonie głowy i leży jak betka. Na pewno cię nie trafił?

- Nie. Przynajmniej powiedział nam coś o tutejszej cywilizacji. Nadal używają atomu.

- Sierżant z niesmakiem przyglądał się pożarowi przy wejściu. - Wywalać taką dziurę w bloku, żeby zabić jedną osobę. Ciekawe, co by powiedzieli na pistolet obezwładniający. - Podniósł się na nogi przy pomocy Roltha. Miał nadzieję, że nie złamał ponownie nadgarstka, a potworny ból był tylko skutkiem wstrząsu przy upadku.

- Mam przecucie - zaczął i poczuł wdzięczność dla Roltha, że ten nie puścił jego ramienia, bo podłoga hallu zakołysała się niebezpiecznie - że najlepiej zrobimy więcej stąd i to zaraz.

Prześladowało go wspomnienie chwilowej pauzy przed atakiem robota. Był pewien, że przesłał wtedy jakąś wiadomość, tylko dokąd? Jeżeli maszyna wykonywała jedynie polecenie wydane pokolenia temu, taki sygnał nie był groźny, o ile nie aktywizował z kolei innych urządzeń. Z drugiej jednak strony, jeżeli ów tajemniczy Arcturianin kontrolował roboty, mogło to oznaczać, że wkrótce powinni się spodziewać kolejnych, gorszych ataków. Kiedy to powiedział, Rolth zgodził się z nim.

- Tędy się nie przedostaniemy - Faltharianin wskazał rozżarzoną jamę w miejscu, gdzie kiedyś były drzwi. - Może też przeszukują już ulice. Słuchaj, to miasto przypomina mi Stiltu.

Kartr potrząsnął głową. - Słyszałem o nim, ale nigdy tam nie byłem.

- Stolica Lydiasa I - rzucił Rolth niecierpliwie. - Są tacy staroświeccy, nadal mieszkają w wielkich miastach. Mają system podziemnych przejść, podróżują tunelami.

Kartr domyślił się, o co mu chodzi. - To może zejdziemy niżej i zobaczymy, co tam może być? W porządku. Nawet jeżeli strażnik zdołał powiadomić innych, zanim go unieszkodliwiłeś, minie trochę czasu, nim będą mogli tu wejść i sprawdzić, czy nas dopadli. Poszukajmy podziemnych korytarzy.

Jednak ku swemu zdumieniu nie trafili na żadne zejście Pod ziemię. Przeszukali niezliczone pokoje i halle wypełnione szczątkami wyposażenia i dziwnymi maszynami, które w normalnej sytuacji przyciągnęłyby ich uwagę i pobudzały do spekulacji nad pochodzeniem tutejszej cywilizacji, lecz znaleźli jedynie dwie klatki schodowe prowadzące w górę. W końcu jednak coś odkryli. W samym środku jednej z sal znajdowała się czarna studnia. Promień latarki Kartra nie sięgał jej dna. Choć jej światło niewiele im pomogło, lampa okazała się przydatna w zupełnie zaskakujący sposób, kiedy wypadła właścicielowi z dłoni. Kartr krzyknął ze złością i bezskutecznie starał się ją pochwycić, kiedy podniecony Rolth powiedział coś w swym rodzimym języku. Sierżant zażądał tłumaczenia.

- Ona nie spadła! Unosi się, łagodnie spływa w dół!

Sierżant pochylił się nad szybem. - Odwrócony spadek! Nadal działa! - Ledwo wierzył własnym oczom. Niewielkie przedmioty mogły się unosić w promieniach eliminujących grawitację, ale czy coś większego, na przykład człowiek, również?

Zanim zdołał zaprotestować, Rolth przeszedł przez krawędź otworu i zawisł na rękach.

- To działa! Chodzę w powietrzu. Popatrz.

Puścił się i zniknął w studni, lecz jego głos nie dobiegał z daleka.

- Cały czas chodzę w powietrzu! Wskakuj, zupełnie jakby się pływało!

Może i to było fajne dla Roltha, który widział w ciemnościach, ale zanurzyć się w czarną otchłań mając jedynie nadzieję, że anty grawitacja nie przestanie działać... Nie po raz pierwszy w karierze zwiadowcy, Kartr przeklinał swą wybujałą wyobraźnię podsuwającą mu najczarniejsze wizje, przełożył jednak nogi przez krawędź i wśliznął się do studni. Odruchowo zamknął oczy i wymamrotał błaganie do Ducha Kosmosu.

A jednak popłynął! Niemal całym ciałem czuł, że powietrze go unosi. Oczywiście sunął w dół, ale z lekkością ptasiego piórka tańczącego na lekkim wietrze. Głęboko pod sobą widział błękitny blask latarki Roltha, który dotarł już na dno. Kartr złożył stopy razem i kierował się na to światło.

- Szczęśliwego lądowania! - przywitał go towarzysz.

- Chodź, zobacz co znalazłem.

Znalezisko okazało się niewielką platformą, do której przycumowano mały, zaostrzony na obu końcach pojazd, z wyściełanym pojedynczym fotelem pośrodku. Kartr nie dostrzegł żadnych sterów. Pojazd nie opierał się o dno szybu, lecz unosił się stopę nad nim.

Przed fotelem, pod metalową pokrywą, znalazł jednak klawiaturę - stery. Tylko jak nimi operować, dokąd pojechać? Rozwahał wszelkie za i przeciw i musiał uznać, że próby

skorzystania z pojazdu wiązałyby się ze zbyt wielkim ryzykiem. Łatwiej stawić czoło batalionowi robotów, niż dać się uwięzić w nieznanym podziemiach.

- Do mnie!

Kartr zerwał się na wezwanie Roltha. Zwiadowca cofnął się na tył platformy i swą słabą latarką oświetlał ścianę. Kartr niewiele widział w jej blasku. Dopiero po chwili mógł docenić wagę odkrycia. Była to mapa systemu tuneli! Mając wprawę w odczytywaniu podobnych łamigłówek, błyskawicznie odkryli drogę do samego serca miasta.

Nie minęło dziesięć minut, kiedy stłoczyli się na wąskim fotelu. Rolth wcisnął dwa klawisze, a Kartr odrzucił cumę. Usłyszeli ciche sapnięcie i wilgotne powietrze tunelu wypełniło im nozdrza.

ROZDZIAŁ VI - LUDZIE Z MIASTA

- To będzie to - szepnął Rolth.

Pojazd zaczął zwalniać zbliżając się do prawej ściany tunelu. Od progu pojawiło się blade światło. Najwyraźniej zbliżali się do kolejnej platformy. Kartr spojrział na zegarek - jechali dokładnie pięć minut czasu planetarnego. Otwarta pozostawała odpowiedź na pytanie, czy miejsce, do którego dojeżdżali, było tym, gdzie chcieli się znaleźć. Nastawili kontrolki na punkt, który według ich obliczeń powinien znajdować się dokładnie pod centrum miasta. Jeżeli jakieś ludzkie siły lub Bemmy przejęli nad nim panowanie, powinni tam właśnie się znajdować.

- Wyczuwasz kogoś? - spytał Rolth, ufny w zdolności percepcyjne Kartra.

Sierżant sprawdził teren i potrząsnął przecząco głową.

- Ani śladu. Albo nic nie wiedzą o tych tunelach, albo nie interesują się nimi.

- Raczej nie wiedzą. Faltharianin chwycił metalowy pierścień cumowniczy i przyciągnął pojazd do platformy.

Kartr wysiadł i rozejrzał się dookoła. Nisza była trzy razy większa od tej, z której wystartowali. Kilka tuneli rozchodziło się począwszy od niej w różne strony. Była oświetlona, lecz nie na tyle mocno, by zmusić Roltha do założenia gogli.

Faltharianin stał z dłońmi na biodrach. - Jak się stąd wydostaniemy na górę?

Były tunele, lecz na pierwszy rzut oka, żaden nie przypominał wyjścia na powierzchnię. Mimo to Kartr był przekonany, że platforma musi mieć jakieś połączenie z górą.

Wskazywał na to zapach powietrza, świeższy, mniej wilgotny niż w głębi. Rolth musiał to również wyczuć, bo zwrócił się w stronę, skąd dochodził lekki powiew.

Ruszyli za tym nikłym śladem i znaleźli płaską, okrągłą płytę, na dnie kolejnej studni. Kartr zadarł głowę najbardziej jak potrafił. Miał wrażenie, że nad sobą dostrzega nikłe światło, ale wspinaczka po gładkich ścianach była wykluczona. Rozczarowany, zwrócił się do Roltha:

- I to by było na tyle. Możemy wracać.

Jednak uwagę Faltharianina zaprzętnęła tablica pełna kolorowych przycisków wbudowana w ścianę.

- To chyba nie będzie konieczne. Spróbujmy, czy to zadziała - przycisnął jeden z górnych guzików. Odskoczył natychmiast chwytając mocno Kartra, kiedy płyta nagle ożyła i pomknęła w górę.

Zwiadowcy instynktownie padli na gładki metal i objęli się. Kartr przełknął ślinę, żeby zniwelować ucisk w uszach.

Zdażył też stwierdzić z zadowoleniem, że studnia nie była zamknięta, więc nie zostaną zmiążdżeni przez ewentualny strop.

Dwukrotnie przemknęli obok otworów prowadzących do korytarzy na wyższych poziomach. Później sierżant zacisnął oczy. Wrażenia, jakich dostarczała im szaleńcza jazda windą bez ścian, nie były z gatunku tych, które chciałoby się powtórzyć. Było to nawet gorsze, choć trochę podobne, do ataku lęku, jaki przeżył w kosmosie, kiedy zerwała się lina wiążąca go ze statkiem i zaczął oddalać się od naprawianego właśnie kadłuba.

- Jesteśmy na miejscu.

Kartr otworzył oczy i ucieszył się słysząc drżenie w głosie Roltha. Najwyraźniej Faltharianin wyniósł podobne wrażenia z tej przejażdżki.

Cóż to było za „miejsce”? Sierżant wygramolił się z płyty niemal na czworakach i rozejrzał wokół siebie. Pomieszczenie, w którym się znaleźli, było dobrze oświetlone. Wysoko nad nim wznosiło się piętro za piętrem, każde z galeryjką przewieszoną nad centrum. Po chwili doszedł go pełen zdumienia okrzyk Roltha:

- Zniknęła! - Faltharianin wpatrywał się w miejsce, gdzie przed paroma sekundami znajdowała się winda. Metalowa płyta, która z zawrotną szybkością przywiozła ich w to miejsce zniknęła, nie pozostawiając śladu na kamiennej podłodze.

- Zapadła się, a z boku wysunęła się kamienna tafla - głos Roltha zabrzmiał już o wiele pewniej.

- To może tłumaczyć, dlaczego przejścia podziemne nie zostały znalezione - powiedział Kartr. - Być może studnia otwiera się tylko wtedy, gdy do platformy przybije jakiś pojazd, albo gdy niechcący uruchomi się jakiś tajny mechanizm.

- Od tej pory będę się trzymał z dala od środka wszystkich tutejszych budynków - stwierdził Rolth stanowczym tonem. - Co się stanie, jeśli będziesz na takiej zapadni, a ktoś pod tobą naciśnie odpowiedni guzik? Toż to idealna pułapka! - spojrzął na posadzkę z nieukrywana niechęcią i ostrożnie, badając stopą kamienne płyty, ruszył w kierunku najbliższych drzwi. Kartr miał ochotę zrobić dokładnie to samo. Naprawdę nie można było przewidzieć, jaką maszynę mogła uruchomić sama ich obecność w tym budynku. Zastanawiał się, czy to możliwe, aby lądowanie ich szalupy zaktywizowało roboty do ataku.

Jednak już po chwili, inne, groźniejsze od maszyn niebezpieczeństwo przykuło jego uwagę. Przed sobą wyczuł nieznane, żywe stworzenie. Arcturianin? Nie. Dziwny umysł, z którym się zetknął, nie był aż tak silny. Ktokolwiek to był, nie miał zdolności postrzegania umysłowego. Kartr nie musiał obawiać się, że zostaną dostrzeżeni, zanim nie znajdą się w zasięgu wzroku. Rolth zauważył sygnał sierżanta. Jego dłoń zawisła nad kolbą miotacza. Jednak hall nad pierwszym piętrzem pozostawał pusty.

Był kwadratowy, z ławami wykonanymi z substancji przypominającej mleczne szkło. Przyćmione światło wydostające się ze ścian wydobywało z niej różnobarwne błyski. Z całą pewnością był to rodzaj poczekalni, ponieważ w przeciwległej ścianie znajdowały się potężne drzwi, dwa razy wyższe od Kartra, ozdobione reliefem, pierwszym jaki zobaczyli w tym dziwnym mieście - symbolicznymi obrazami liści. Właśnie za tymi drzwiami czekał na nich ktoś.

Sierżant rozpoczął zmuszoną pracę nad wygaszaniem własnych myśli i skoncentrowaniem się wyłącznie na owej iskierce żywotnych sił. Miał szczęście, że nieznajomy nie był wrażliwy, że mógł wnikać w jego umysł nie zdradzając jednocześnie swej obecności.

Na pewno był to człowiek. Trzy i pół punkta, nie więcej. Ktoś, obdarzony czterema punktami skali czułości byłby w stanie niejasno wyczuć ich obecność, pięciopunktowiec wyczułby go natychmiast. Ten natomiast odczuwał jedynie pewne zniechęcenie, rodzaj zmęczenia. Nie był piratem, ani więźniem piratów, nie przejawiał oznak agresji.

Jak tylko Kartr dotknął wielkiej klamki, wyczuł, że ktoś dołączył do nieznajomego. Pierwsza mentalna sonda dała sierżantowi sygnał do natychmiastowego wycofania się. Arcturianin! Natychmiast pojął, że wszelkie próby ukrycia ich obecności spaliły na panewce. Arcturianin doskonale wiedział, gdzie są. Kartr odniósł nawet wrażenie, że Arcturianin celowo uchylił tarczę, żeby zachęcić ich do zdradzenia się. Jeśli tak, to... W zielonych oczach zwiadowcy pojawił się niebezpieczny, żółty ognik. Dał znak Rolthowi.

Dłoń Faltharianina niechętnie odsunęła się od kolby miotacza. Kartr przyglądał się mu krytycznie. Potem spojrzał na swój kombinezon. Buty i pasy ze skóry vlisa przetrwały przedzieranie się przez gęstwinę krzaków bez szwanku. Na piersi i hełmie nadal jarzyły się oznaki komety. Mimo że dodano do nich strzałę i liść zwiadowców, nadal pozostały insygniami patrolu. Każdy, kto je nosił, miał niekwestionowane prawo pojawiania się we wszelkich zakamarkach galaktyki i to on miał prawo zadawania pytań.

Kartr zajął się klamką. Drzwi otworzyły się tak, jak się spodziewał: oba skrzydła rozchyliły się jednocześnie, robiąc miejsce dla sześciu mężczyzn, a nie dwóch, którzy tam się znajdowali.

Światło promieniujące ze ścian było nieco silniejsze i koncentrowało się na owalnym stole stojącym dokładnie na środku pokoju. Stół był na tyle wielki, że mógł pomieścić całą załogę krążownika. Wykonano go z tego samego, mlecznoszklanego materiału, a otaczały go ławy przeznaczone dla ewentualnych gości.

Siedziały przy nim dwie osoby, nieruchome, choć, jak zauważył Kartr, z miotaczami gotowymi do strzału, szczególnie przy tym, który od razu robił wrażenie dowódcy. Arcturianin. Zobaczywszy insygnia patrolu, nie potrafił ukryć zdumienia i zerwał się na równe nogi. Jego towarzysz wpatrywał się w nich oblizując wargi, a Kartr natychmiast wyczuł ulgę, która nim owładnęła.

- Patrol! - krzyknął Arcturianin i trudno byłoby dopatrzeć się radości w tym okrzyku. Jednak dokładnie blokował swój umysł i Kartr nie miał szansy dotrzeć w głąb jego mózgu. Nie wiedział, co kryje się za tymi czarnymi, osłoniętymi kapturem oczami.

Z całą pewnością nie byli to piraci, przynajmniej tych dwoje. Ubrani byli w dobrze skrojone, kolorowe tuniki, ulubione przez dekadentów cywilów ze zbuntowanych światów galaktyki. Miotacz leżący na stole najwyraźniej był ich jedyną bronią. Kartr ruszył do przodu.

- Kim jesteście? - zażądał chłodno, wzorując głos i postawę na Jaksanie, który w tej sytuacji na pewno nie straciłby pewności siebie. Wiele czasu minęło, od kiedy zachowywał się jak członek patrolu, jednak żaden cywil nie mógł się tego domyślić widząc komętę.

- Joyd Cummi, wicekról Arcturusa - odpowiedział natychmiast wyższy z mężczyzn, z tupetem przynależnym jego rasie. - To mój sekretarz, Fortus Kan. Byliśmy pasażerami na statku *Capella X451*. Zostaliśmy zaatakowani przez piratów i wydostaliśmy się spod kontroli po uszkodzeniu statku. Kiedy sprawy się nieco ułożyły, dowiedzieliśmy się, że zepsuł się komputer i znaleźliśmy się w zupełnie obcej części galaktyki. Mieliśmy paliwo na nie więcej niż dwa tygodnie, a kiedy się skończyło, zostaliśmy zmuszeni do lądowania w tym miejscu. Staraliśmy się nawiązać kontakt z cywilizowanym światem, ale nie wiedzieliśmy, czy nam się to udało. Przylecieliście z...?

Wicekról sektora, co? W dodatku Arcturianin. Kartr stąpał po niepewnym gruncie. Zdecydował jednak nie informować Joyda Cummiego, że patrol nie przybył tu, żeby go uratować, lecz że sam ma poważne kłopoty. Coś mówiło mu, że nie jest tak, jak mu przekazano. Starał się wychwycić fale mózgowe, lecz nie mógł zrobić tego niepostrzeżenie.

- Jestem sierżantem zwiadu, zwał mnie Kartr, a to zwiadowca Rolth, obaj jesteśmy przydzieleni na *Starfire*. Musimy złożyć raport o waszej obecności naszemu dowódcy.

- A więc nie przybyliście tu w odpowiedzi na nasze sygnały? - rzucił Fortus Kan. Na jego okrągłej, niemal dziecięcej twarzy, malowało się szczere rozczarowanie.

- Odbywamy rutynowy lot zwiadowczy - odpowiedział Kartr tak spokojnie, jak potrafił. Wyczuwał narastającą niepewność. Tarcza Arcturianina mogła być dość silna, ale i tak me był w stanie opanować wszystkich emocji. Zresztą, może wcale mu na tym nie zależało.

Arcturianin miał co najmniej pięć i pięć dziesiątych punkta na skali wrażliwości. Jednak, o ile nie spotkał się przedtem z członkiem rodu Kartra, co było mało prawdopodobne, zważywszy, że niewielu z nich zgodziło się służyć w patrolu, nie mógł wiedzieć, że stoi wobec kogoś, ocenionego na sześć koma sześć!

- W takim razie - głos Fortusa Kana brzmiał niemal jak zawrodozenie - nie jesteście w stanie nas stąd wydostać. Mam jednak nadzieję, że uda się wam sprowadzić pomoc.

Kartr potrząsnął głową. - Zgłoszę waszą obecność naszemu dowódcy. Ilu was jest tutaj?

- Stu pięćdziesięciu pasażerów i dwudziestu pięciu członków załogi - odpowiedział mu sucho Cummi. - Czy mogę spytać jak udało się wam tu dostać? Uruchomiliśmy strażników jak tylko tu wylądowaliśmy.

Fortus Kan przerwał mu, nie zwracając uwagi na wyraźne niezadowolenie przywódcy.

- Czy to wy zniszczyliście strażnika? - zapytał odważnie. - Tego na ulicy Cummiego?

- Ulica Cummiego! Kartr natychmiast zrozumiał znaczenie tych słów. A więc to wicekról sektora opanował to miasto - i to do tego stopnia, że ośmielał się nazwać główną ulicę swym własnym imieniem.

- Unieruchomiliśmy robota w mieście, które wydało się nam opuszczone - odpowiedział. - Ponieważ wasza obecność tu wydaje się ważna, zakończymy badania i natychmiast wrócimy do naszego obozu.

- Oczywiście - głos Cummiego brzmiał teraz, jak głos odpowiedzialnego za wszystko szefa. - Udało się nam uruchomić kilka naziemnych pojazdów, które tu znaleźliśmy. Niech jeden z nich odwiezie was na miejsce.

- Mamy tu szalupę - odpowiedział mu szybko Kartr. - Zamierzamy wrócić w ten sam sposób, jak tu przybyliśmy. Życzę szczęścia, wicekrólu! - uniósł dłoń w tradycyjnym pożegnaniu, lecz nie było mu pisane tak szybko się wymigać.

- Proszę choć pozwolić się odwieźć na lądowisko, sierżancie. Są jeszcze inne roboty i uważam, że będzie lepiej, jeżeli ktoś, kto zna ich kody, odprowadzi was na miejsce. Nie pozwolę narażać życia jakiegokolwiek członka szacownego patrolu. Kartr nie mógł odmówić tak sformułowanej propozycji, choć wiedział, że nie była zbyt szczerą. Czuł dreszcz przebiegający po kręgosłupie, który wielokrotnie przestrzegał go przed niebezpieczeństwem. Gdyby tylko mógł dostać się do umysłu Fortusa Kana! Jednak bał się próbować w obecności Arcturianina.

- Myślę, że nie ma sensu podniecać naszych ludzi raportem o waszej obecności - ciągnął dalej król prowadząc zwiadowców przez poczekalnię. - Na pewno ucieszy ich wiadomość, że nawiązaliśmy kontakt z patroliem. Szczególnie w sytuacji, kiedy po pięciu miesiącach prób zaczęliśmy wierzyć, że osiedliliśmy się tu na zawsze. Wolałbym jednak najpierw przedyskutować sprawę z waszym dowódcą, zanim rozbudzę w nich nadzieję. Prawdopodobnie zauważył pan reakcję Kana na wasze pojawienie się. Uznał to za obietnicę natychmiastowego powrotu do wygod naszej cywilizacji. Ponieważ trudno się spodziewać, żeby statek patrolu od razu przeniósł nas w bezpieczne miejsce, musimy zastanowić się nad innym rozwiązaniem...

Mówiąc to, dwukrotnie Arcturianin próbował dostać się do umysłu Kartra, chcąc się dowiedzieć tego, czego nie wiedział, lub starając się nim zawładnąć. Sierżant jednak nie opuścił zasłony i pozwalał Cummiemu przypuszczać, że gdzieś niedaleko stacjonował statek patrolu, dowodzony przez gotowego na wszystko oficera, który nie dałby się łatwo podporządkować cywilnemu władcy.

- Uważam, że to bardzo rozsądne, wicekrólu. - Kartr wykorzystał pierwszą przerwę w przemowie. - Więc jesteście tu już od pięciu miesięcy. Cały czas w mieście?

- Nie. Lądowaliśmy awaryjnie parę mil stąd. Jednak dostrzeżliśmy to miasto na naszych ekranach i mogliśmy się tu dostać bez zbędnych komplikacji. Muszę przyznać, że mieliśmy niebywałe szczęście - wszystko tu jest w doskonałym stanie. Oczywiście, bardzo się nam przydał Tresor Vink ze swymi dwoma pomocnikami. Jest technikiem linii Capella. Tutejsze systemy szalenie go zainteresowały.

Uważa, że pod pewnymi względami, poprzedni mieszkańcy miasta byli bardziej zaawansowani od nas. Tak, naprawdę mieliśmy wiele szczęścia.

Przeszli przez salę z ukrytym szybem windy i znaleźli się na rozległym balkonie, wychodzącym na tak olbrzymie pomieszczenie, że Kartr poczuł się jak krasnoludek. Z balkonu schodziły w dół schody tak szerokie, że mogłyby służyć gigantom do zawodów. Sala otwierała się prosto na ulicę.

- Coombs!

Postać oparta niedbale o jeden z filarów przy wyjściu zerwała się na baczność.

- Weź pojazd drogowy i odwieź naszych gości do ich statku. Nie żegnam się z panem, sierzancie. - Wicekról zwrócił się do Kartra z uprzejmością, jaką możnawładcy rezerwowali zwykle dla ludzi zdecydowanie niższego stanu.

- Wkrótce znów się zobaczymy. Wykonaliście świetną robotę i jesteśmy wam za to niezmiernie wdzięczni. Proszę powiadomić swego dowódcę, że czekamy tu na niego z niecierpliwością.

Kartr zaszalutował. Dobrze, że Arcturianin nie upierał się, żeby odprowadzić ich do samej szalupy. Został przy wyjściu patrząc, jak wsiadają do niewielkiego pojazdu i ruszają.

Kiedy znaleźli się w pewnej odległości od budynku, Kartr zainteresował się kierowcą. Gęsta, czarna czupryna, z niezwykle brązowymi pasemkami oraz wydłużona szczęka zdradziły go od razu. Więc to dlatego Cummi pozwolił im samodzielnie odjechać! Nie dziwnego, że uznał własną obecność za zbędną. I tak się z nimi nie rozstał. Kierowca był Can-houndem, idealnym sługą, którego umysł był jedynie odbiornikiem reagującym na wszelkie polecenia pana.

Kartr poczuł gęsią skórkę, jak przy zetknięciu się z czymś nieprzyjemnie śliskim. Czuł wrodzony wstręt do tych stworzeń, których nie był w stanie zaliczyć ani do ludzi, ani do Bemmych. Teraz jednak będzie musiał..., aż wzdrygnął się na samą myśl o tym, będzie musiał wejść w ten umysł i to delikatnie, żeby nie wzbudzić podejrzeń odległego pana i wprowadzić tam fałszywe wspomnienia.

- Którędy? - samo brzmienie głosu kierowcy przyprawiało o mdłości.

- Prosto, tą ulicą - rozkazał przez zaciśnięte zęby.

Ścisnął dłoń Roltha, który nie ruszając się odwzajemnił sygnał.

Zacisnąwszy wargi, całym ciałem i duszą starając się przewyciężyć wszechogarniające obrzydzenie, przystąpił do dzieła. Było gorzej niż się spodziewał. Czuł się zdegradowany, zbrukany przez ten kontakt, jednak nie mógł przerwać. Nagle pojazd zjechał na skraj ulicy, skręcił w przestrzeń między dwoma budynkami i zatrzymał się na obszernym dziedzińcu. Kartr prowadził swą walkę do końca, czyli do momentu, kiedy głowa Can-hounda opadła do przodu, a bezwładne ciało zsunęło się z siedzenia.

Rolth wysiadł pierwszy. Kartr potrzebował chwili, żeby przyjść do siebie. Wysiadł na drżących nogach, chwiejnie podbiegł do najbliższej ściany i wsparty o parapet długo wymiotował. Rolth objął go i wyprowadził na ulicę.

- Dalej naprzód - wykrztusił między skurczami mdłości.

- Tak, wiem - uspokoił go Faltharianin.

Delikatna poświata poradycyjna była zdecydowanie łatwiej dostrzegalna dla wrażliwych oczu Roltha. Cztery przecznice dzieliły ich od miejsca, gdzie robot wysadził drzwi, a stamtąd, znaczoną szlakiem, łatwo będzie dotrzeć do szalupy.

Rolth nie zadawał żadnych pytań. Po prostu był przy nim, gotów do pomocy, promieniujący aurą czystej Przyjaźni. Czystej...! Kartr nie był pewien, czy kiedykolwiek znów poczuje się czysty. Jak ktoś wrażliwy, nawet Arcturianin, mógł zadawać się z taką kreaturą? Musi jak najprędzej zapomnieć o Can-houndzie.

Już pewnym krokiem minął pogorzeliśko, a dalej ruszyli regulaminowym truchtem, osłaniając się wzajemnie. Przy szalupie powiedziano:

- Wracaj kursem maskującym. Mogą tu mieć coś, żeby nas obserwować.

Rolth mruknął coś na znak zgody. Wzbili się w powietrze. Owionął ich chłodny wiatr - zwiastun poranka. Kartr pragnął się weń zanurzyć, zmyć z siebie brud po kontakcie z Can-houndem.

- Nie chcesz, żeby znali całą prawdę o nas? - było to na wpół pytanie, na wpół twierdzenie.

- To nie ode mnie zależy. Jaksan zdecyduje - odpowiedział Kartr. Czuł ogromne znużenie. Kontakt wyczerpał go nie tylko umysłowo, ale i fizycznie. Miał ochotę położyć się i spać, nic więcej. Nie mógł jednak sobie na to pozwolić. Zmusił się do wyjaśnienia Rolthowi, na co się natknęli i z czym muszą się liczyć w przyszłości.

- Ten kierowca był Can-houndem, a w mieście dzieje się coś niedobrego, naprawdę niedobrego.

Rolth nie był wrażliwcem, ale jako zwiadowca dużo wiedział. Rzucił pod nosem jakieś przekleństwo we własnym języku.

- Musiałem dostać się do jego umysłu, wprowadzić tam fałszywe wspomnienia. Powie, że zawiózł nas pod samą szalupę, powtórzy o czym rozmawialiśmy podczas jazdy i poda kierunek, w którym ruszyliśmy.

- Więc to ci się udało! - w ciemnych oczach Roltha mieszały się szacunek i pełne podziwu zdumienie.

Kartr odprężył się, oparł głowę o zagłówek fotela. Byli już poza zasięgiem świateł miasta, a gwiazdy jasno lśniły na niebie. Ciekawe, jak Jaksan sobie z tym poradzi? Czy każe im się przyłączyć do tłumu wyrzutków, którzy zawładnęli miastem? Jeżeli tak, to co zrobi Cummi, co teraz knuje?

- Nie ufasz temu Arcturianinowi? - spytał Rolth kierując pojazd na pomoc, kursem, który miałby zmylić ewentualnych obserwatorów.

- To przecież Arcturianin, znasz ich przecież. Jest wicekrólem sektora, nie ma wątpliwości, że całkowicie opanował miasto. Nie sądzę, że byłby gotów dzielić się tą władzą.

- Więc obecność patrolu nie bardzo mu się spodoba?

- Najprawdopodobniej. Królowie sektorów ostatnio żyli w stresie. Nieustannie muszą walczyć o wpływy. Ciekawe dlaczego zdecydował się na podróż zwykłym statkiem pasażerskim. Jeżeli...

- ...właśnie zwiął z miejsca, gdzie grunt zapalił mu się pod nogami, to trudno byłoby mu znaleźć lepszą okazję do założenia nowego królestwa właśnie tu? Tak, to wydaje się logiczne - powiedział Rolth. - A teraz wracamy do domu.

Szalupa zatoczyła szeroki łuk w prawo. Rolth wyłączył rakiety napędowe, pozostawiając jedynie ekrany anty grawitacyjne. Dryfowali powoli nowym kursem. Na pewno przedłuży to podróż o godzinę lub więcej, lecz, o ile w mieście nie było nie znanych im wynalazków, zniknęli z ekranów obserwacyjnych.

Niewiele rozmawiali. Kartr przysnął na moment i obudził się z koszmaru zlany zimnym potem. Nieprzewyciężona potrzeba prawdziwego odpoczynku opanowała jego umysł i na nic zdał się zamiar zaplanowania najbliższej przyszłości. Zda raport Jaksanowi. Oficer nie bardzo ufa wrażliwcom, więc niezbyt chętnie przyjmie do wiadomości opis niepokoju, jaki Kartr wyczuł w mieście. Sierżant natomiast nie miał żadnych dowodów potwierdzających przekonanie, że im dalej będą się trzymać od Cummiego, tym lepiej. Dlatego tak bardzo obawiał się Cummiego? Czy tylko dlatego, że był Arcturianinem o silnej wrażliwości? A może to przez tego Can-hounda? Dlaczego był pewien, że wicekról sektora jest niebezpiecznym wrogiem?

ROZDZIAŁ VII - ZWIADOWCY TRZYMAJĄ SIĘ RAZEM

- Sam przyznasz, że jego relacja jest wysoce prawdopodobna - Kartr patrzył na Jaksana siedzącego po drugiej stronie płaskiej skały, która w obozie służyła za stół.

- W dodatku miasto jest w doskonałym stanie - ciągnął oficer. - To nie wszystko, wśród ludzi podróżujących tym X451 są technicy, którzy potrafili uruchomić podstawowe systemy.

Sierżant pokiwał głową ze znużeniem. Powinien prowadzić ten spór z jasnym umysłem i wypoczętym ciałem. Nie był w stanie wykrzesać z siebie więcej energii. Z najwyższym wysiłkiem udawało mu się zachować własne zdanie w miażdżącym ogniu logiki przeciwnika.

- Jeżeli to wszystko jest prawdą - Jaksan zdawał się dochodzić do jedynie słusznej konkluzji - to naprawdę nie mogę pojąć twojej niechęci, Kartr. Chyba że - nie krył już swej wrogości - chyba że masz jakieś wyłącznie osobiste powody, żeby nie lubić tego Arcturianina. - Zamilkł i przez chwilę niechęć zastąpiło współczucie. - Czy to nie Arcturianin wydał rozkaz zniszczenia Ylene?

- O ile mi wiadomo, to całkiem możliwe, ale nie dlatego nie ufam Joydowi Cummiemu - zaczął Kartr z całą cierpliwością na jaką było go stać w tych okolicznościach. Nie było sensu tłumaczyć, że fakt wykorzystywania Canhouna źle wróżył. Jedynie ktoś wrażliwy mógłby to pojąć. Jaksan znalazł dla siebie satysfakcjonujące wyjaśnienie i twardo się go trzymał. Nie od dzisiaj Kartr doskonale zdawał sobie sprawę z niechęci, z jaką osoby pozbawione daru wrażliwości odnoszą się do spraw związanych z wnikaniem w cudze umysły. Niektórzy nawet nie dopuszczali do siebie myśli, że takie zdolności w ogóle istnieją. Jaksan był bliski tej właśnie grupy. Mógł w ostateczności uwierzyć, że Kartr docierał do zwierząt i dziwacznych nie-ludzi, ale wewnątrz nie mógł pogodzić się z myślą, że sierżant był zdolny wykonywać swe sztuczki w odniesieniu do członków własnego gatunku. W tym punkcie jego przekonania nie podlegały dyskusji. Kartr zrobił wszystko, co mógł, żeby zapobiec temu, co nieuchronnie będzie następnym krokiem oficera. Nie pozostawało mu nic innego, jak czekać, żeby zagrożenie, które niewątpliwie kryło się w mieście, ujawniło się w całej okazałości.

Tak więc odbyli podróż, żeby dołączyć do rozbitków z X451, i mimo błagań Kartra, przyznali się, że znajdują się w podobnej sytuacji. Joyd Cummi przyjął ich z dużą łaskawością. Znalazł się medyk, który natychmiast zaopiekował się Viborem. Przydzielono

im luksusowe kwatery, które, jak natychmiast zauważył Kartr, znajdowały się w bezpośrednim sąsiedztwie samego wicekróla. Zresztą dotyczyło to jedynie oficerów i załogi patrolu. Zwiadowcy zostali przywitani chłodniej. Jako ludzie, co dano im subtelnie do zrozumienia, Kartr i Rolth zostali zaakceptowani, lecz Zinga i Fylh najwidoczniej nie zasługiwali na nic więcej, niż chłodne skinienie głowy Cummiego. Nie dowiedzieli się też, gdzie mają zamieszkać. Kartr zebrał swój niewielki oddział w pozbawionym mebli pokoju, gdzie istniała szansa, że nikt ich nie podsłucha.

Kiedy zasiedli na skrzyżowanych nogach w samym centrum sali. Zinga odezwał się pierwszy:

- Jeżeli chcesz nam powiedzieć, że zapach emanujący z tych murów daleki jest od woni świeżych kwiatów, to muszę się z tobą całkowicie zgodzić. Jak długo jeszcze - tu zwrócił się bezpośrednio do Kartra - zamierzasz pozwalać swemu błędnemu poczuciu solidarności wciągać się w podobne sytuacje?

Szpony Fylha zaskrzypiały cicho na łuskach ramienia Zingi.

- Zwiadowcy powinni odzywać się tylko wtedy, kiedy ktoś ich o to poprosi. Zwiadowcy Bemmy muszą pozwolić swym przełożonym zdecydować, co dla nich będzie najlepsze. Tacy jak my, mamy być pokorni i posłuszni, mamy znać swoje miejsce w szeregu.

Opanowanie, jakie Kartr starał się zachować od chwili, kiedy zlekceważono jego podejrzenia i znalazł się w tej pułapce, opuściło go na moment.

- Mam już dość takiego gadania!

- Zinga ma rację - Rolth nie zwracał uwagi na wzburzenie sierżanta. - Mamy do wyboru: albo zgodzimy się na warunki, jakie tu panują, albo stąd odejdziemy, oczywiście o ile nam się to uda. Myślę też, że nie mamy zbyt wiele czasu na zastanawianie się nad tym, ani nie możemy chwycać się półśrodków.

- O ile nam się to uda - powtórzył Zinga z uśmiechem, który nie wyrażał wesołości, a tylko odstonił imponujące, ostre zęby. - To bardzo ciekawa propozycja, Rolth. Ciekawe, czy na pokładzie tego *X451* byli jacyś Bemmy. Zauważ, że używam tu czasu przeszłego. Wszelkie przesłanki wskazują na to, że inny czas byłby nieodpowiedni.

Kartr wpatrywał się w swe opalone dłonie. Jedna wystawała z przybrudzonego temblaka, druga spoczywała na kolanie. Obie były podrapane, pokryte odciskami, z połamanymi paznokciami. Jednak, mimo że maksymalnie długo wpatrywał się w każdą ranę, naprawdę pochłonięty był rozmyślaniami nad słowami Zingi. Nie, rzeczywiście nie musiał godzić się z tą sytuacją. Sam powinien poczynić szereg kroków.

- Gdzie są nasze plecaki? - spytał Zingę.

Obie pary powiek zbiegły się w porozumiewawczym mrugnięciu. - Mamy te stworzenia na oku. Jeśli będziemy musieli szybko się stąd wydostać, zrobimy to z całym naszym sprzętem.

- Zaproponuję Jaksanowi, żeby zwiadowcy zamieszkali razem, z dala od pozostałych - powiedział Kartr powoli.

- W zachodnim narożniku tego budynku jest trzypiętrowa wieża - wtrącił Fylh. - Gdyby pozwolono nam wspiąć się na tę wysoką grzędę... Może tak bardzo chcą się nas pozbyć, że nie zgłoszą sprzeciwu.

- Mamy się dać zamknąć? - syknął Zinga jadowicie.

Fylh nerwowo zastukał szponami o podłogę. - Nikt nas tam nie zamknie. Pamiętaj proszę, że mamy do czynienia z wysoce cywilizowanymi mieszkańcami wielkich miast, nie z traperami. Dla nich wejście lub wyjście z budynku musi odbywać się przez drzwi lub co najwyżej nisko położone okna.

- A więc ta wieża ma cechy nie umieszczone w twoim katalogu? - na bladej twarzy Roltha zagościł nieśmiały uśmiezek.

- Oczywiście. Inaczej w ogóle nie brałbym jej pod uwagę. Na ścianie jest seria niewielkich parapetów, umieszczonych w regularnych odstępach od siebie. To lepsze, niż klatka schodowa dla kogoś, kto potrafi korzystać ze swych palców.

- W dodatku robi to z zamkniętymi oczami - jęknął Zinga. - Czasami żałuję, że nie jestem cywilizowany i że nie prowadzę normalnego, spokojnego życia.

Fylh najwyraźniej odzyskał swój zwykły humor. - Będą myśleli, że mają nas pod kontrolą, że nie będziemy sprawiać kłopotów. Mogą nawet postawić straż przy jedynych schodach prowadzących w górę wieży.

Kartr skinął głową. - Porozmawiam z Jaksanem. Mimo że jesteśmy zwiadowcami, należymy do patrolu. Jeśli chcemy trzymać się razem, żaden cywil nie ma prawa się do nas wtrącać, nawet jeśli jest wicekrólem! Teraz postawcie się w nic nie wplątać. Wstał. Pozostali pokiwali głowami twierdząco. Nie byli wrażliwi, jednak podejrzewali, że Zinga posiadał zdolności mentalne, a było ich jedynie czterech w potencjalnie niebezpiecznym środowisku. Bardzo byłoby im na rękę wygnanie do wieży Fylha.

Kartr długo czekał na spotkanie z Jaksanem. Oficer towarzyszył Viborowi w gabinecie medyka. Kiedy jednak wrócił na kwaterę i zobaczył oczekującego zwiadowcę, nie mógł ukryć niechęci.

- Czego znów chcesz? wicekról cię szukał. Ma dla was jakieś rozkazy...

- Od kiedy to - przerwał mu Kartr - wicekrólowie mogą wydawać rozkazy członkom patrolu? Może nam doradzać lub o coś prosić, natomiast nie ma prawa niczego nakazywać osobie noszącej odznakę komety, bez różnicy: członkowi załogi czy zwiadowcy.

Jaksan podszedł do okna, nerwowo zastukał palcami w parapet i stał tak dłuższą chwilę zwrócony plecami do sierżanta. Nie odwracając się, odpowiedział:

- Nie wydaje mi się, żebyś prawidłowo oceniał naszą obecną sytuację, Kartr. Nie mamy już statku...

- A od kiedy to statek był nam niezbędny? - zawahał się. Może rzeczywiście nie miał racji. Dla Jaksana i załogi statek naprawdę był niezbędny. Bez niego czuli się nadzy i zagubieni. Już łagodniejszym tonem dodał: - Właśnie dlatego byłem przeciwny naszemu przybyciu. - Może nie zabrzmiało to zbyt dyplomatycznie, ale czuł, że musi to powiedzieć.

- W tych okolicznościach nie mieliśmy zbyt wielkiego wyboru! - tym razem Jaksan wykazał, że energia nie całkiem go jeszcze opuściła. - Człowieku! Chciałeś, żebyśmy walczyli o żywność i schronienie w dzikiej głuszy, kiedy tu czekało na nas coś takiego? A co z dowódcą? Musiał dostać opiekę medyczną. Jedynie... - przerwał w pół zdania.

- Dlaczego pan tego nie dokończy, sir? Jedynie barbarzyński zwiadowca mógł się temu sprzeciwiać. Czyż nie tak? Cóż, osobiście, jako zatwardziały barbarzyńca, nadal będę się upierał, że lepiej być wolnym w dzikiej głuszy, niż siedzieć tutaj. Jedno chciałbym teraz wiedzieć - czy mam rozumieć, że przekazał pan uprawnienia patrolu w ręce Joyda Cummiego?

- Podział władzy nie przynosi nic dobrego - Jaksan nadał stał przy oknie odwrócony plecami do Kartra. - Każdy musi wykorzystać swe zdolności dla dobra grupy. Joyd Cummi znalazł dowody świadczące o zbliżaniu się ostrej pory zimowej. Mamy obowiązek dobrze się do niej przygotować. Sądzę, że chciałby wysłać do puszczy grupy łowieckie, zanim zaczną się problemy z żywnością. Mamy tu też kobiety i dzieci do wyżywienia.

- Rozumiem. Zwiadowcy mają się zająć łowami. Dobrze, zaraz coś zaplanujemy. W tym czasie chcielibyśmy poszukać sobie kwatery.

- Tobie i Rolthowi przydzielono pokoje w tym budynku.

- Zwiadowcy wolą trzymać się razem. Jak doskonale wiesz, taka jest zasada w patrolu. Chyba, że patrol zupełnie się już rozleciał?

Głęboki niepokój zmusił Kartra do wypowiedzenia ostatnich słów.

- Posłuchaj mnie, Kartr. - Jaksan wreszcie odwrócił się od okna. - Nie sądzisz, że już najwyższy czas, abyś stawił czoło faktom? Wszystko wskazuje na to, że spędzimy tu resztę

życia. Jest nas siedmiu ludzi przeciw niemal dwom setkom dobrze zorganizowanej społeczności...

- Siedmiu ludzi? - zdziwił się Kartr. - Jeśli liczyć dowódcę jest nas dziewiątka.

- Ludzi - Jaksan położył szczególny nacisk na to słowo.

A więc to tak. Jasno powiedziane. Kartr był pewien, że prędzej czy później do tego dojdzie.

- Jest czterech w pełni wykwalifikowanych zwiadowców patrolu i was piątka - powtórzył z uporem. - Zwiadowcy zawsze trzymają się razem.

- Nie bądź głupcem!

- Dlaczego odmawiasz mi tego przywileju? wściekłość Kartra kryła się pod nieprzeniknionym, lodowatym brzmieniem głosu. - Zdaje się, że wy z ochotą z niego korzystacie.

- Jesteś człowiekiem! Należysz do naszego rodzaju. Tamci, to obcy. Oni...

- Jaksan - w tym momencie Kartr raz na zawsze odrzucił zwierzchnictwo oficera nad sobą i swymi ludźmi - doskonale znam te wszystkie wyświechtane argumenty. Nie musisz ich mi tu powtarzać. Tacy jak ty wbijali mi je do głowy od pierwszego dnia w służbie, kiedy poprosiłem o przydział do zwiadu...

- Ty młody idioto! Od pierwszego dnia w służbie, co? A jak dawno temu to było? Osiem lat temu? Dziesięć? Nadal jesteś głupim szczeniakiem. Od pierwszego dnia w służbie! Nie masz zielonego pojęcia o tym wszystkim, o problemie Bemmych. Jedynie barbarzyńca...

- Przyznajmy wreszcie, że jestem barbarzyńcą, że mam specyficzny sposób dobierania sobie przyjaciół, dobrze? Dogadajmy się co do tego i wreszcie zapomnijmy o tym - Kartr odzyskał panowanie nad sobą.

Jasne było, że Jaksan usiłuje usprawiedliwić nie tylko przed Kartrem, ale i przed samym sobą stanowisko, jakie przyjął lub do przyjęcia którego został w jakiś sposób zmuszony.

- Załóżmy, że nie masz nic przeciw temu, żebym udał się na zatracenie swoją własną drogą. Czy zasada: „Wszyscy ludzie trzymają tylko ze sobą” jest z repertuaru Cummiego?

Jaksan odwrócił wzrok, żeby uniknąć palącego spojrzenia sierżanta. - Jest pełen uprzedzeń. Pamiętaj, że jest Arcturianinem. Mieli w układzie poważne problemy z obcymi.

- Rozwiązali je czyściutko masakrując ich z zimną krwią.

- Przepraszam, zapomniałem o twoich własnych doświadczeniach z Arcturianami.

- To, co wobec nich czuję, a co jest, nawiasem mówiąc, czymś innym niż sądzisz, nie ma nic wspólnego z naszą sprawą. Po prostu teraz i zawsze bronię się przed uprzedzeniami

wobec wszystkich nieznajomych, obojętnie: ludzi i Bemmych. Jeśli wicekról chce, żebyśmy zapolowali - w porządku. Ale będziemy się trzymać razem. Jeżeli to z kolei miałyby oznaczać jakieś kłopoty, to nie będziemy ich unikać.

- Zastanów się nad tym - Jaksan w zamyśleniu kopnął śpiwór leżący na podłodze. - Nie zapominaj, że spędzimy tu resztę życia. Mieliśmy więcej szczęścia, niż można by się spodziewać. Cummi jest przekonany, że to miasto nadaje się do niemal całkowitej odbudowy. Możemy wszystko rozpocząć od nowa. Wiem, że go zbyt nie cenisz, ale jest na tyle zdolny, że potrafił przekształcić grupę rozhisteryzowanych rozbitków w zorganizowaną osadę. Siedmiu ludzi nie da rady mu się przeciwstawić. Na razie proszę cię o jedno: nie mów mu tego, co tu od ciebie usłyszałem. Najpierw dokładnie to przemyśl.

- Zgoda. W tym czasie zwiadowcy zajmą wspólną kwaterę.

- No, dobrze - wzruszył ramionami. - Znajdźcie coś sobie. Cokolwiek.

„O ile to nie przeszkodzi Cummiemu” pomyślał Kartr wychodząc z pokoju.

Zwiadowcy czekali na niego tam, gdzie ich zostawił. Zaczął wydawać własne rozkazy.

- Rolth, ty i Fylh pójdziecie na tę wieżę. Gdyby ktoś próbował was zatrzymać, postraszcie go oznaką patrolu. Może to jeszcze podziała na maluczkich. Zinga, gdzie zostawiłeś nasze plecaki?

Pięć minut później Kartr i Zacathanin ściągnęli w jedno miejsce cztery zasobniki z pionierskim wyposażeniem. - Wsuń pod nie płytkę antygravitacyjną - zarządził sierżant - i w drogę.

Pchając lekko bagaże unoszące się tuż nad podłogą, przeszli na tył budynku. Kiedy zbliżyli się do wąskich schodów, które, według Zingi, prowadziły na dach, natknęli się na Fortusa Kana. Widząc, że Kartr nie ma zamiaru się zatrzymać, przyłgnął do ściany, żeby ich przepuścić, lecz nie powstrzymał się przed pytaniem: - Dokąd idziecie?

- Zakładamy kwaterę zwiadowców - odpowiedział mu krótko sierżant.

- On nas śledzi przez cały czas - szepnął Zinga, gdy wspinali się w górę. - Nie wygląda na zbyt odważnego. Wystarczy porządnie wrzasnąć, a ucieknie gdzie pieprz rośnie.

- Nie próbuj tego. Jak na razie mamy dość kłopotów i bez tego.

- Ho! Więc i ty to nareszcie zauważyłeś. Jak mawiał mój brat z jednego łęgu: życie powinno być krótkie i wesołe. Ciekawe gdzie on teraz jest. O ile go znam, tarza się gdzieś w jedwabiach, jedząc brofidy trzy razy dziennie. Ten zawsze potrafił się urządzać! Nie byłoby źle zobaczyć znów tę jego wredną gębę na szczycie schodów. Świetnie sobie radził w walce wręcz, świetny szermierz. Jedno machnięcie i wróg leży z bebechami na podłodze.

Kartr pomyślał, że właśnie teraz przydałoby im się z pięćdziesięciu wojowników, albo choćby z dziesięciu.

- Witajcie w domu, wędrowcy! - to Rolth. Jego głowa wychylająca się zza barierki nad ich głowami przypominała, dzięki czarnym goglom, łeb olbrzymiej muchy. - Choć raz stare ptaszysko znalazło dla nas przytulną grzędę. Wejdźcie i odprężcie się, junacy!

- A niech to! - nawet Zinga był naprawdę zdumiony rozglądając się po sali, do której wkroczyli.

Ściany były jakby z ciemnozielonego szkła, za którym poruszały się barwne kształty - płynące stworzenia wodne! Dopiero po chwili Kartr zrozumiał, że to iluzja zrodzona ze światła rzucanego przez automatyczny projektor. Zinga przysiadł na plecach przygniatając je do ziemi.

- Przepyszne! Przepyszne! Zdolne podniecić najbardziej wybredne podniebienie. Stworzenie, które zaprojektowało ten pokój, to prawdziwy smakosz. Z dumą uściskałbym jego dłoń, płetwę czy mackę. Wspaniałe! Spójrzcie na tę czerwoną - czyż nie przypomina do ostatniej łuski soczystej brofidy? Co za wspaniałe, cudowny pokój!

- Co z żywnością? - spytał Kartr Roltha.

Brwi Faltharianina uniosły się tak wysoko, że można je było zobaczyć nad oprawkami gogli. - Rozważasz możliwość przetrwania oblężenia w tym miejscu? Mamy jeszcze kilka nie otwartych puszek podstawowych racji. Około pięciu dni pełnych posiłków, dwa razy tyle, jeśli zaciśniemy pasa.

- Chcesz powiedzieć, że sprowadziłeś mnie do tego miejsca będącego jedną wielką kulinarną obietnicą i chcesz, abym się zadowolił ekstraktem pożywienia? Pożywienie - cóż za okropne słowo! Nie wiesz, że i to, i jedzenie, nie są ze sobą w żaden sposób powiązane? Chcesz mnie karmić wyciągiem z grzybów i całym tym świństwem, które musi nam wystarczyć, gdy wspinamy się po gołych skałach, bez szansy na upolowanie czegokolwiek? To najdoskonalsza tortura! Zdecydowanie domagam się poszanowania mych praw, jako wolnego obywatela...

- Wolnego obywatela? - zaśmiał się Fylh. - Obywatela drugiej, czy, lepiej, trzeciej kategorii będzie bliższe prawdy. Nie masz żadnych praw.

Rolth przyglądał się minie Kartra i włączył do rozmowy.

- Czy to tak wygląda? Powiedz prawdę.

- Coś koło tego. - Kartr usiadł na jedynym meblu w sali - opalizującej ławie. - Poszedłem do Jaksana. Powiedział mi, że Cummi ma dla mnie rozkazy.

- Rozkazy? - brwi Faltharianina znów wyraziły jego zdumienie. - Cywil wydaje rozkazy patrolowi? Może i jesteśmy zwiadowcami, ale nadal należymy do patrolu!

- Czyżby? - zastanawiał się głośno Fylh. - Członek patrolu ma statki, siły gotowe go wesprzeć. Teraz jesteśmy jedynie rozbitkami i nie możemy skontaktować się z flotą, kiedy znajdziemy się w ciężkiej sytuacji.

- Jaksan tak właśnie myśli. Wydaje mi się, że jakby abdykował na korzyść Cummięgo. Idea jest taka, że wicekról prowadzi tu pożyteczną działalność.

- A my mamy się czuć szczęśliwi, jeśli uzna nas za przydatnych? - spytał Rolth. - Jasne, zaczynam pojmować. Ale Jaksan? Przecież to dowódca patrolu z krwi i kości. Takie poddanie się mi nie pasuje.

Fylh zrobił gest, jakby chciał odsunąć na bok rzeczy nieistotne. - Psychiczne reakcje Jaksana nie są tak ważne, jak coś zupełnie innego. Czy mam rację sądząc, że Bemmy są tu obywatelami drugiej kategorii?

- Tak - odpowiedź była ostra, ale Kartr nie czuł potrzeby łagodzenia rzeczywistości.

- Czy to znaczy, że zmuszano cię do opuszczenia oddziału? - Zinga oparł się o ścianę i położył szponiaste dłonie na kolanach.

- I do tego doszło.

- Gdzie jest kres ich głupoty? - zaciekał się Rolth.

- Jeśli chcą, żebyśmy dla nich polowali, to muszą potrzebować żywności. Banda mięczaków z wewnętrznych układów nie będzie w stanie wiele zdziałać biegając po lesie i waląc kijami w krzaki. Zamiast próbować nas skłócić ze sobą, powinni pójść na ustępstwa.

- Widziałeś kiedyś, żeby uprzedzeni działali zgodnie z logiką? Jaksan zgodził się z takim podejściem do Bemmych, nieprawdaż? - w oczach Fylha pojawiły się nieprzyjemne błyski.

- Nie mam pojęcia, co się stało z Jaksanem - wybuchnął Kartr - i nic mnie to nie obchodzi! Ważniejsze jest to, co się teraz stanie z nami!

- Ty i Rolth - zauważył Fylh - nie macie się o co martwić.

Kartr zerwał się na równe nogi i przeszedł na drugą stronę pokoju tak, żeby jego zielone oczy znalazły się tuż przed parą czerwonych.

- Niech to będzie ostatnia uwaga w tym stylu! Powiedziałem Jaksanowi i powiem Cummiemu, jeśli będzie trzeba, że zwiadowcy trzymają się razem.

Wąskie wargi Fylha zacisnęły się. Błyski w oczach złagodniały. Pazury uniośł w pojednawczym geście i kiedy się odezwał, jego głos znów brzmiał spokojnie.

- Jak na to zareagował?

- Dużo gadał, ale to dało mi szansę załatwienia naszej przewodniczki.

Zinga podniósł się z podłogi i zaczął krążyć po sali. - Rozejrzeliście się dobrze? Jaki jest układ pomieszczeń?

- Jeszcze jeden pokój za tymi łukami. Ma dwa okna wychodzące na zewnętrzne schody Fylha. Tuż nad nami jest spora sala, a nad nią trzeci pokój z łazienką. Możecie mi nie wierzyć, ale w łazience jest woda!

Kartr zignorował entuzjastyczny okrzyk Zingi. - Tylko jedno wejście, o ile nikt nie będzie się wspinał po ścianach? Jesteście pewni?

- Tak. Oczywiście mogą jeszcze spaść na nas z nieba. Osobiście nie obawiałbym się tego, a te drzwi można zamknąć, popatrz.

Rolth nadepnął niepozorny czerwony kamień wtopiony w podłogę. Z prawej ściany wysunęły się drzwi szczelnie zasłaniając otwór. Faltharianin na moment dotknął metalowej płytki na drzwiach.

Spróbuj to teraz otworzyć - zachęcił sierżanta. Nawet kiedy Zinga i Fylh go wspomogli, Kartr nie był w stanie ich ruszyć. Rolth ponownie nadepnął kamień i bez trudu wsunął drzwi z powrotem w ścianę.

- Fylh przypadkowo mnie odciął, kiedy się rozglądaliśmy i nieźle się napociliśmy, żeby je znowu otworzyć. Faceci, którzy to zbudowali byli cholernie pomysłowi, nawet jeśli uznamy ich za prymitywów używających energii atomowej. Potrzebny jest spory miotacz, żeby sobie z tym poradzić.

- Dlatego zastanawiam się teraz, czy ci na dole mają taki - Zinga na głos wyraził obawy Kartra.

Natychmiast musiał zablokować tę myśl, ponieważ wyczuł czyjaś obecność u podstawy schodów. Na sygnał sierżanta zwiadowcy rozstawili się w szyku obronnym. Zinga przylgnął do ściany obok wejścia, skąd mógł wskoczyć na plecy intruza, zanim ten zorientowałby się. Fylh rozciągnął się na podłodze, za stosem plecaków, a Rolth wyciągnął miotacz z kabury i stanął tuż za sierżantem czekającym na wprost wejścia bez broni w sprawnej ręce.

- Kartr!

Poznali właściciela głosu, lecz nie zmienili pozycji.

- Wejdz.

Smitt wykonał polecenie. Drgnął, kiedy Zinga bezszelestnie zmaterializował mu się za plecami. Na twarzy przybysza malowało się zmartwienie i Kartr wiedział, że nie stanowi dla

nich zagrożenia. Po raz drugi technik łączności przyszedł do nich nie dlatego, że miałby być wrogiem, lecz ponieważ miał kłopoty.

- O co chodzi? - spytał sierżant, nie starając się być uprzejmy. W końcu Smitt należał do grupy Jaksana.

- Gadają o was. Dużo. Powiedzieli, że jesteście zbyt obcy, żeby wam ufać.

- No cóż - wargi Kartra rozsunęły się leciutko w wyrazie, który ani trochę nie przypominał uśmiechu - słyszałem to już wiele razy i nie widzę, żebyśmy stali się gorsi od tego gadania.

- Przedtem było inaczej. Ale teraz... ten Arcturianin musi być szalony! - Smitt przestawał panować nad sobą.

- Mówię wam - głos mu się lekko załamał - on jest zupełnie szalony!

- Może byś tak usiadł - syknął Zinga - i opowiedział nam o tym.

ROZDZIAŁ VIII - PRZEWRÓT PAŁACOWY

- O to właśnie chodzi - praktycznie niewiele mam wam do powiedzenia. To jakieś przeczcucia - sposób, w jaki stara się nas odseparować od wszystkich, z wyjątkiem swoich zaufanych. Ma przy sobie strażnika, tego Can-hounda, kilku pilotów z X451, jednego oficera i trzech zawodowych najemników. Wszyscy chodzą uzbrojeni. Mają miotacze z przydziału i miecze. Jednak, ani nie widziałem, ani nawet nie słyszałem nic o pozostałych oficerach z X451. W dodatku Cummi całkowicie przejął władzę. Nawet nam wydaje rozkazy! Dalgre i Ssyn zostali oddelegowani do grupy jego techników, żeby pomagali przy uruchomieniu miasta. Dostali taki rozkaz, oni, członkowie patrolu! Jaksan wcale się nie sprzeciwił.

- A co z tobą? Ciebie nie zwerbował? - spytał Rolth.

- Na szczęście nie było mnie tam, kiedy szukali techników. Posłuchajcie, jakim prawem on śmie wydawać nam rozkazy? - w głosie Smitta wyczuwało się szczere zdumienie.

Drugi raz Kartr wyjaśniał ich sytuację. - Lepiej wbij to sobie do głowy, Smitt, jeśli chodzi o ciebie, o Cummiego, o nas wszystkich, patrol przestał istnieć. Nie mamy żadnego wsparcia, a Cummi ma. Właśnie dlatego...

- To ty nie chciałeś, żebyśmy tu przychodzili? - Smitt zacisnął usta. Kartr wyczuwał jego gniew. - Miałeś rację! Wiem, że wy, zwiadowcy, macie nieco inny stosunek do służby niż my. Zawsze byliście niezależnymi facetami. Ale mój ojciec zginął na barykadzie, przy służbie powietrznej Altry, członek tylnej straży, która utrzymywała pozycje na tyle długo, żeby umożliwić odlot statków z tymi, co przeżyli. Moi dziadek był drugim oficerem na pancerniku Proximia, gdy próbowali się przebić do drugiej galaktyki. Pięć pokoleń mojej rodziny należało do patrolu. Prędzej dam się spalić, zanim przyjmę rozkaz od Cummiego nosząc tę odznakę! - jego dłoń zakryła srebrną komętę na piersi.

- To wszystko bardzo pięknie, dopóki prywatna policja Cummiego nie zacznie cię szukać - zauważył Zinga. - Ale czy przywiodła cię do nas wrodzona niechęć do wykonywania rozkazów władz cywilnych?

- Nie musisz starać się być tak dowcipny - naskoczył na niego Smitt. - Nasłuchałem się dość, by się dowiedzieć, że Cummi szczerze nienawidzi Bemmych i że ta niechęć rozciąga się na wszystkich zwiadowców. - Wyciągnął palec w stronę Kartra. - Chodzą plotki, szerzone przez jego przybocznych, że ma już paru na sumieniu.

- O kogo chodzi? - spytał Fylh, którego grzebień wyraźnie się powiększał. - Paru Bemmych? Z jakiego gatunku?

Smitt bezradnie potrząsnął głową. - Nie wiem, plotki są niejasne. To oczywiste, że nie możecie się po nim spodziewać walki fair. Ja mu się nie podporządkuję. To prawda, że nie zawsze było nam po drodze, ale teraz mamy przed sobą wspólny problem.

- I co z tego? - pazury Fylha dotknęły grzebienia.

- Wydaje się, że w tej sytuacji ty odniesiesz największe korzyści. Co możesz nam zaofiarować?

- Ma coś, co może nam się przydać - włączył się Kartr.

Postawa technika wydała mu się szczerą. Naprawdę pragnął się do nich przyłączyć.

- Wszystko w twoich rękach, Smitt. Ciekawe, czy zdołasz Połknąć zniewagę i postarać się nawiązać współpracę z grupą Cummiego? Musiałbyś się ich trzymać na tyle długo, by dowiedzieć się czegoś o ich planach, o tym, ile władzy naprawdę należy do Cummiego, czy wśród pasażerów są jacyś rebelianci. Nie chcemy - zwrócił się do zwiadowców - uderzać na ślepo. Wy dwaj, Fylh i Zinga, musicie trzymać się w cieniu, dopóki nie dowiemy się na czym stoimy. Nie ma sensu zwracać na siebie uwagę. Jeśli chodzi o mnie, po rozmowie z Jaksanem, na pewno jestem na ich czarnej liście i to dwa razy podkreślony. Rolth nie nadaje się do pracy w dzień. Tak więc, Smitt, jeżeli naprawdę chcesz do nas dołączyć, musisz trzymać blokadę swoich odczuć. To musi być solidna blokada. Arcturianin jest wrażliwy i czego sam nie wydobędzie z nic nie podejrzewającego umysłu, Can-hound zdobędzie dla niego. To będzie niełatwe zadanie, Smitt. Musisz dołączyć do antybemiego, a procummiego tłumy z choćby letnim entuzjazmem. Niewielki bunt na początku nie zaszkodzi. Tego się będą spodziewali po członku patrolu z twoją biografią. Jednak, czy potrafisz prowadzić podwójną grę, Smitt, i czy masz na to ochotę?

Technik słuchał go spokojnie. Teraz podniósł głowę i skinął potakująco.

- Postaram się. Tylko nie znam się na tym bloku. Nie jestem wrażliwy. - Zawahał się. - Co Cummi może ze mną zrobić?

- On sięga pięć i dziewięć dziesiątych na skali. Nie może tobą zawładnąć, jeśli tego się obawiasz. Jesteś z Lugi? Twoja rodzina stamtąd pochodzi, nieprawdaż?

- Ojciec był Lugińczykiem. Matka pochodzi z Desart.

- Luga, Desart... - Kartr spojrzał na Zingę.

- Duża odporność - poinformował go Zacathanin natychmiast. - Z wyobraźnią, ale i doskonałym opanowaniem. Percepcja: zero, zero, osiem. Nie, żaden Arcturianin nad nim nie zapanuje. Na pewno masz blokadę, Smitt, choćbyś nigdy nie próbował jej używać. Kiedy będziesz w pobliżu wrażliwego, myśl o jakimś urządzeniu komunikacyjnym. Skoncentruj się na pracy, jaką masz wykonać.

- Jak teraz? - spytał Smitt niecierpliwie.

To było, jakby dotknął jakiegoś przełącznika. W miejscu, gdzie siedział pojawiła się umysłowa próżnia. Kartr stłumił okrzyk radości i powiedział:

- Tak trzymaj, Smitt! Zinga...

Skierował strumień własnej energii na technika i wówczas poczuł drugi strumień, który połączył się z jego własnym, wyczuwając pustkę, obmacując ją jak płomień miotacza. A więc miał rację! Zinga również był wrażliwy i to w stopniu, którego nie był w stanie zmierzyć. Połączone siły woli uderzyły w Smitta druzgocąc barierę, którą ten utrzymywał dzielnie, niczym kadłub statku kosmicznego.

Na czole Kartra pojawiły się perełki potu. Zbierały się pod krawędzią hełmu i spływały po policzkach i brodzie. Potem wolną ręką dał znak poddania się i odprężył się.

- Nie musisz się martwić o inwazję do twego umysłu, Smitt. Chyba, że dasz się złapać.

Technik zerwał się na równe nogi. - Więc jesteśmy sojusznikami? - spytał z pewną nieśmiałością.

- Jesteśmy. Kręć się przy nich i postaraj się czegoś dowiedzieć. Jeśli to będzie możliwe, postaraj się, żeby nie wysłali cię gdzieś stąd, gdzie nie będziemy mogli cię dosięgnąć. Może będziemy musieli się spieszyć, jeśli będą jakieś kłopoty.

- Postaram się - Smitt wyszedł z sali. Zawahał się i odwrócił do nich. Zanim zniknął na schodach, uniósł dłoń w geście, który obejmował ich wszystkich, ludzi i Bemmych, w pełnym salucie członka patrolu pozdrawiającego równych sobie.

- Na wszelki wypadek... - Fylh przebiegł przez pokój i nadepnął kamień zamykający drzwi.

Jasne - zgodził się z nim Zinga. - Lepiej, kiedy nie trzeba pilnować własnych pleców. Zadzowimy się tu? Kartr wysunął lewy nadgarstek z temblaka i uważnie go masował.

- Mają tu medyka. Ciekawe, czy...

Rolth przysunął się do niego. - Masz zamiar sam udać się do jaskini zła?

- Dobrze wyposażony szpital na statku powinien posiadać promienie odnawiające tkankę. Chciałbym brać udział w walce, jeżeli będziemy musieli ją stoczyć, to z dwoma zdrowymi rękami - nie jedną. To również może mi dać uzasadnioną wymówkę, żeby się rozejrzeć. Przecież mam chyba prawo się pytać.

- W porządku. Tylko nie myśl, że puścimy cię samego - zgodził się Roth. - Jakoś nie wyobrażam sobie któregoś z nas wałęsającego się samotnie po tym budynku. Dwoje to niezłe towarzystwo, zwłaszcza, że dwa miotacze mogą otworzyć szersze przejście niż jeden.

- Nic z tego! Jestem cierpiący, poszukujący medyka. Nie zapomnij o tym, proszę cię. - Jednak usta Kartra wykrzywił grymas, dawno u niego nie widziany, który nie mógł być niczym innym, jak uśmiechem. - Czy będziecie mieli jakieś rozrywki, kiedy my wyjdziemy?

- Tym się nie martw - Zinga uśmiechnął się szeroko odsłaniając zabójcze kły. - Zajmiemy się gospodarstwem. Chyba pozwolicie nam zamknąć za sobą drzwi?

- Jasne. Otwierajcie je jedynie, kiedy wyczujecie wzory naszych umysłów.

Zinga ani mrugnął. Wiedział już, że zdradził swą moc pomagając Kartrowi zaatakować blok Smitta. Jednak, przejawiając zwykły dla siebie brak respektu dla ludzkich emocji, nie miał najmniejszej ochoty omawiać powodów, dla których tak długo się ukrywał.

Fylh otworzył drzwi i spojrzał w dół schodów. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Dopiero kiedy wchodzili w korytarz, dodatkowy zmysł Kartra ostrzegł go przed zbliżającym się nieznanym. Był to dość młody mężczyzna, ubrany w galowy mundur oficera statku pasażerskiego, pewnie maszerujący w ich kierunku.

- Pan jest sierżantem Kartrem?

- Tak.

- Wicekról życzy sobie spotkania z panem.

Kartr zatrzymał się i spojrzał na niego z łagodnym zaciekawieniem. Chociaż, uwzględniając różnice planetarne i rasowe, był nieco młodszy od oficera, nagle poczuł się dziadkiem.

- Nie dostałem od swojego dowódcy rozkazów oddelegowujących mnie do służby w sekcji cywilnej Centralnej Kontroli.

Pompatyczność tej wypowiedzi na chwilę zbiła z tropu niefortunnego posłańca. Być może zadziałała stara magia patrolu. Kartr i Rolth ruszyli dalej mijając oficera, aż zdołali przejść kawałek, zanim do nich dołączył.

- Słuchajcie! - próbował powiedzieć to rozkazującym tonem, ale zrezygnował, kiedy obaj zwiadowcy odwrócili się i spojrzeli na niego z poważną uprzejmością. - Lord Cummi... on tu rządzi, przecież wiecie - dokończył niezbyt pewnym głosem.

- Rozdział szósty, paragraf ósmy, rozkazy ogólne - odpowiedział Rolth. - Patrol jest strażnikiem praw Centralnej Kontroli. Może wspomagać służby cywilne, jeżeli zostanie o to poproszony. Jednak w żadnym przypadku i w żaden sposób nie może oddawać swej władzy żadnemu planetarnemu lub sekcijnemu doradcy czy władcy, chyba że dostanie taki rozkaz bezpośrednio z Centralnej Kontroli.

Oficer stał z lekko otwartymi ustami. Ostatnią rzeczą, jakiej mógł się po nich spodziewać, był cytat z kodeksu praw - pomyślał Kartr z rozbawieniem, które potrafił ukryć. Szkoda, że Zinga tego nie widzi, a może śledzi ich mentalnie i bawi się tak samo?

- Ale... - protest zamarł w ustach oficera, kiedy na uprzejmie patrzących na niego twarzach pojawił się cień niecierpliwienia.

- A teraz - powiedział Kartr po chwili milczenia - może byłby pan tak miły i zaprowadził nas do kwatery waszego medyka. Tym ktoś się musi zająć - wskazał na zraniony nadgarstek.

Oficer ożywił się wyraźnie. - Dwa piętra niżej, na prawo. Medyk Tre zajmuje cztery pierwsze pokoje.

Nie ruszył się z miejsca, patrząc za nimi, aż zniknęli mu z oczu.

- Jak sądzisz, jaki raport złoży wielkiemu Cummiemu? - zastanawiał się głośno Rolth.
- Chyba nie chciałbym być na jego miejscu. Czy uważasz...

- Że słusznie postąpiłem przeciwstawiając się mu już teraz? Może i niesłusznie, ale i tak wiedzą od Jaksana, że jestem do nich wrogo nastawiony. Ponadto - wyraz twarzy Kartra nie zmienił się - musiałem to zrobić. On nasłał na nas Can-hounda!

Pamiętając pierwszą walkę z Can-houndem i jej efekt na twarzy Kartra, Rolth postanowił już się nie odzywać.

Nie spotkali nikogo na schodach. Najwidoczniej ta część twierdzy Cummiego była nie zamieszkana. Zbliżyli się do pierwszych drzwi na korytarzu kwatery medyka, gdy doszedł ich cichy szept. Wysokie okna w tym miejscu umieszczono w głębokich niszach. Wezwanie pochodziło z jednej z nich.

- Kobieta...

Kartr wiedział już o tym natknąwszy się na blokadę, która zawsze uniemożliwiała wrażliwcom interpretację uczuć osób płci przeciwnej. Wychyliła się z niszy i kiwała na nich jedną ręką. Rolth ruszył bokiem tuż pod ścianą w jej kierunku, a Kartr skinął głową z aprobatą. Faltharianin skontaktuje się z kobietą, a sierżant będzie szedł do medyka. Jeżeli ktokolwiek oprócz Zingi śledził pracę ich umysłów, teraz na pewno straci orientację.

Rolth dotarł do wnęki, wsunął się pod okno i pociągnął za sobą kobietę. Z głębi korytarza nikt nie mógł ich dojrzeć. Kartr skreślił z korytarza w pierwsze otwarte drzwi. Pomieszczenie rzeczywiście wyglądało na gabinet medyka.

Natychmiast też pojawił się wysoki mężczyzna. Sierżant spróbował kontaktu i odprężył się nieco. Nie był to żaden Arcturianin czy wróg. Wyczuwał jedynie życzliwość i dobrą wolę.

- Ma pan promienie odnawiające? - spytał wyciągając rękę z temblaka.

- Mam. Pozostaje pytanie, jak długo aparat będzie działał podłączony do prądów stosowanych w tym mieście. Nie można być niczego pewnym. Jestem medyk Lasilo Tre. Złamanie? - obmacywał palcami nadgarstek Kartra, po czym zdjął opatrunek, który rankiem założył Zinga.

- Nie wiem. Ach... - syknął z bólu, kiedy palce medyka dotknęły purpurowego siniaka.

Następnie zwiadowca został popchnięty w kierunku stołka przy aparacie z promieniami odnawiającymi, jego ramię umieszczono pod skoncentrowanym promieniem i znów poczuł w swoim ciele przepływ gojących drobinek. Dwukrotnie Tre wyłączył urządzenie i badał zranienie delikatnymi koniuszkami palców, po czym kiwał głową i znów je uruchamiał. Dopiero za trzecim razem wydawał się usatysfakcjonowany. Kartr natychmiast uniósł rękę i zgiął najpierw palce, potem nadgarstek. Choć był już kiedyś poddany takiej kuracji, kiedy leczono mu poszarpaną nogę, znów odczuł niesamowite zdumienie cudownym działaniem aparatu. Zdjął temblak z szyi i uśmiechnął się szeroko do medyka.

- Lepszy, niż nowy - skomentował kurację Tre. - Chciałbym, żeby to tak podziałało na waszego dowódcę, sierżancie.

Vibor! Kartr niemal o nim zapomniał. - Co z nim? Tre skrzywił się. - Ranę fizycznie dało się wygoić, ale reszta... Nie jestem psychowrażliwy. Potrzebuje takiej terapii, której w obecnych warunkach nie jesteśmy w stanie mu zapewnić, chyba że stanie się jakiś cud i wszyscy zostaniemy uratowani.

- Trudno jednak na to liczyć - powiedział Kartr.

- Nikt rozsądny nie może mieć nadziei - zawtórował mu medyk. Jednak w tej wypowiedzi kryły się jakieś tajone uczucia. - Ta planeta, nawet ten układ słoneczny, nie występowały na mapach X451.

- Jednak budowniczy tego miasta byli na wysokim stopniu rozwoju cywilizacji - wskazał Kartr. - Ciekawe dokąd odlecieli?

- I tak i nie. Jeśli chodzi o mechanikę, to oczywiście byli dość zaawansowani. Jednak wciąż napotykamy na niewytłumaczalne luki. Wy, zwiadowcy, jesteście specjalnie szkoleni, żeby móc ocenić nieznaną cywilizację. Chętnie usłyszałbym, co o tym myślicie, kiedy już poznacie to miasto. Ja zdołałem jedynie dostrzec, że nie ma tu portu kosmicznego i chyba nigdy go nie było. Być może mieszkańcy tego świata nie znali podróży kosmicznych.

- Więc co się z nimi stało?

Tre wzdrygnął ramionami. - Przynajmniej nie jest to drugi Tantor. Upewniliśmy się co do tego, zanim weszliśmy do miasta. Nie znaleźliśmy żadnych szczątków ludzkich. Wygląda na to, że pewnego pięknego dnia wszyscy po prostu stąd wyszli, zostawiając miasto w jak najlepszym porządku, na wypadek, gdyby zechcieli tu powrócić. Są tu pewne oznaki działania czasu, np. erozja, jednak cała maszyna została starannie zakonserwowana, naoliwiona i tak przygotowana, żeby inżynierowie nie mogli się nadziwić doskonałym stanem urządzeń.

- Więc chyba planowali powrót tutaj - Kartr zastanowił się nad tym wnioskiem. Może, na którymś kontynencie tego nieznanego świata, znajdowały się inne szczątki dawnej cywilizacji?

- Jeśli nawet, to coś im w tym przeszkodziło. Odjechali stąd dawno, dawno temu. Nadgarstek w porządku, sierzancie?

Kartra nie zdumiała tak nagle zmiana tematu. Wiedział, że Rolth stoi na progu.

- Medyk Tre, zwiadowca Rolth - przed tym formalnym przedstawieniem sobie nieznajomych, rozejrzał się dookoła. Nie widział potrzeby informowania Tre, że jest wrażliwcem.

Medyk skinął głową w odpowiedzi na salutowanie Roltha. - Miło mi pana poznać, zwiadowco. Czy coś panu dolega? Uniósł pan gogle? Może przyda się krem na oparzenia? Przecież jest pan Faltharianinem, nieprawdaż?

Wargi Roltha wykrzywiły się w uśmiechu pod goglami. Pozytywnie zareagował na troskę medyka. - Więc zna się pan na wszystkich moich problemach?

- Kiedyś miałem pacjenta z pańskiej rasy. Cierpiał na ciężkie poparzenia skóry. Dlatego zainteresowałem się różnymi kremami. Nawet udało mi się znaleźć jeden, który naprawdę pomagał. Proszę zaczekać...

Pospieszył do szafki z lekami stojącej w rogu gabinetu i zaczął przeglądać zapasy w najróżniejszych tubkach. - Niech pan spróbuje tego - wyciągnął jedną z nich. - Niech pan ją stosuje tuż przed narażeniem się na bezpośrednie światło słoneczne. Powinna złagodzić podrażnienie.

- Dziękuję - Rolth wsunął tubkę do zasobnika przy pasie. - Jak dotąd na szczęście nic mi nie dolega. Jedynie sierżant miał dla pana robotę.

Kartr pomachał uzdrowioną dłońią. - Jest lepsza od poprzedniej. Ile panu płacę?

Tre roześmiał się szeroko. - Karty kredytowe nie mają tu zbyt wielkiej wartości, nieprawdaż? Jeśli trafi pan w swoich poszukiwaniach na coś, co mogłoby mnie zainteresować, proszę mi o tym powiedzieć. Dla mnie to wystarczy. Zresztą, cieszę się, że

mogłem pomóc patrolowi. Zastługujecie na wszystko, co cywile mają najlepszego. Słyszałem, że macie polować, może zabralibyście mnie kiedyś na wyprawę?

Kartr był zdumiony. Wyczuł w tej prośbie jakiś nacisk. Oczy Tre wpatrywały się w niego tak intensywnie, jakby rozpaczliwie chciały mu coś powiedzieć, przekazać wiadomość o pierwszorzędym znaczeniu dla obojga.

- Czemu nie - odpowiedział. - Jeżeli naprawdę otrzymamy takie zadanie. Na razie nic o tym nie wiem. Jeszcze raz dziękuję.

- Nie ma sprawy. Cieszę się, że mogłem się na coś przydać. Do zobaczenia.

Wciąż ta niema prośba. Oczy Kartra rozszerzyły się w zdumieniu. Trzymane w dłoni palce prawej ręki medyka poruszyły się w znajomy sposób. Skąd Tre mógł znać ten tajemny sygnał? Automatycznie zareagował dając odpowiedź palcem wskazującym i głośno powiedział:

- Powiadomimy pana, kiedy będziemy wyruszać. Życzę czystego nieba.

- Czystego nieba - odwzajemnił się medyk.

Za drzwiami Kartr lekko ścisnął ramię Roltha. Faltharianin natychmiast rozpoczął gadkę o polowaniu.

- Te rogate stwory, które widzieliśmy na polanie - powiedział wchodząc na schody - powinny być doskonałym prowiantem. Można by zasolić ich mięso, oczywiście o ile znajdziemy pokłady soli. Podobnie z tymi rzeczonymi stworzeniami, o których tyle mówił Zinga. Chyba nie powinniśmy go posyłać na łowy - Faltharianin roześmiał się tak beztrosko, jakby nie dotarł do niego sygnał i nie zdawał sobie sprawy, że mówi do śledzących ich uszu. - Zje więcej niż przyniesie.

- Lepiej, żebyśmy nie używali miotaczy - włączył się Kartr, jakby nie przestawał zastanawiać się nad tym problemem. - Niszczą zbyt wiele mięsa. Lepsze będą miecze.

- Ale wtedy trzeba się do nich bardzo zbliżyć, nie sądzisz? - zaniepokoił się Rolth.

Oboje szybciej ruszyli w górę. Ktoś szedł za nimi. Umysł Kartra dotknął go leciutko i natychmiast wycofał się. Zrobiło mu się niedobrze. Śledził ich Can-hound. Jednak udało im się nie biec, choć oboje ciężko dyszeli osiągając ostatni podest. Drzwi do pomieszczeń na szczycie stały otworem na tyle, żeby mogli prześliznąć się przez szczelinę. Kiedy tylko znaleźli się za progiem, Zinga zatrzasnęła je donośnie. Nie mógł powstrzymać gniewnego pomruku.

- Więc takiego szpiega wysłali!

- Tylko po to, żeby nie stracił nas z oka. Niech się teraz pieni za drzwiami. Rolth, o co chodziło tej kobiecie? Czego od nas chce?

- Miała nadzieję, że jesteśmy bohaterami, którzy przyszli im wszystkim na ratunek. Cummi ukrywał przed rozbitkami naszą obecność, jednak wieści się rozniosły - nasze mundury są zbyt dobrze znane. Przyszła prosić o pomoc. Sytuacja tu jest dokładnie taka, jak przewidywałeś. Cummi odgrywa tu kieszonkową Kontrolę Centralną. Albo go posłuchasz, albo zginesz z głodu. Jeśli zbyt głośno protestujesz - znikasz...

- Ilu dotąd zniknęło - spytał Fylh stanowczo.

- Kapitan *X451* i trzech lub czterech innych. Było też czterech pasażerów Bemmych. Oni również zniknęli. W trochę inny sposób. Wydaje się, że zorientowali się po położeniu gwiazd na niebie, gdzie się znajdują i zdecydowali się na samotną podróż.

- Bemmy? Z jakiego gatunku? - grzebień Zingi rozpostarł się za jego szyją. Stał przy drzwiach nasłuchując, co dzieje się za nimi.

- Tego się od niej nie dowiedziałem. Nie widziała ich, zanim statek nie wylądował. To był liniowiec dwuklasowy. Mniejsza z tym, obecnie mamy do czynienia z grupą Cummięgo, niewielką, lecz uzbrojoną i dobrze zorganizowaną oraz z grupą przeciwną Cummięmu, źle zorganizowaną i miotającą się bez większego sensu, szepczącą po kątach, tak żeby nikt ich nie podsłuchał. Cummi trzyma władzę, a jego ludzie patrolują miasto. Opanował wszystkich, którzy mają coś do powiedzenia - techników, medyka. Wszystkich kontroluje. Can-hound stanowi jedno z większych zagrożeń.

Czy zaproszono nas do uczestnictwa w grupie przeciwnej Cummięmu? - spytał Fylh.

- Nie sądzę, żeby do tego doszło. Wydaje im się, że patrol chce przejąć władzę. Sam wiesz, że mogłoby do tego dojść, gdybyśmy cię posłuchali, gdyby uwierzyli, że mamy do dyspozycji nie uszkodzony statek i że jesteśmy wciąż na służbie. Musiałem powiedzieć tej kobiecie, że nie mamy żadnej władzy. Ale powiedziałem jej też, że zwiadowcy trzymają się razem.

- Chyba zaplanujemy jakąś rewolucję pałacową - zastanawiał się głośno Kartr. - No cóż, musimy się tu trzymać, dopóki się więcej nie dowiemy.

- Ciekawe, skąd medyk zna sygnały zwiadowców? - spytał Rolth.

- Spytam go, kiedy tylko będę miał szansę. On również sugerował przeczekanie, trzymanie otwartych oczu i zamkniętych ust.

- Nasze oczy i inne organy pozostają otwarte - Zinga przycisnął głowę do zamkniętych drzwi. - Can-hound chce coś tu wywęszyć. Nasyćcie go rozkosznymi myślami. Natychmiast!

ROZDZIAŁ IX - PRÓBA SIŁ

- Potem naciskasz tę małą gałkę i... Sprytnie, nie?

Kartr musiał zgodzić się z Zacathaninem, że wynik naciśnięcia tej małej gałki był sprytny. Woda, czysta, chłodna tryskała z kranu zakamuflowanego jako głowa potwora i wpadała wprost do miski w podłodze, na tyle dużej, żeby wygodnie zmieścić całego zwiadowcę.

- Dalej, wypróbuj to! - pilił Zinga. - Sam już kąpałem się dwa razy. Sam widzisz, że mi nie zaszkodziło - odwrócił się powoli napinając mięśnie i uśmiechając się szeroko.

Rolth wychylił się zza drzwi i przyglądał im podejrzliwie.

- A co z kontrolą dopływu wody. Czy nasi przyjaciele z dołu mogą ją nam odciąć?

Kartr rozpiął pasy i zdejmował tunikę. Zawahał się. Może lepiej od razu zacząć oszczędzać wodę, zamiast marnować ją na kąpiele? Jednak Zacathanin potrząsnął głową.

- Rury doprowadzające bieżną w ścianach. Gdyby chcieli nas odciąć, musieliby wyłączyć wodę u siebie też. Zresztą, gdybyśmy musieli stawić czoła oblężeniu, byłibyśmy idiotami pozostając tu dłużej niż trzeba, żeby uciec po zewnętrznej ścianie. Nie psuj zabawy, dobrze? A może lubisz swój brudek?

Kartr ściągnął resztę ubrania i kopnął je w odległy kąt pokoju. Miał w plecaku świeżą zmianę i już cieszył się na myśl o jej założeniu.

- Ciekawe, jak wyglądali? - palcem u nogi sprawdził temperaturę wody w misie i z przyjemnością stwierdził, że była ciepła, w dodatku dużo miłsza w dotyku, niż woda w strumieniu.

- Kto? Aha, chodzi ci o budowniczych tego wspaniałego miejsca? No, cóż - Zinga wskazał na wyłożone lustrami ściany - przynajmniej nie wstydziła się patrzeć na siebie. Ciekawe, czy te lustra kiedykolwiek widziały równie wstrętne postaci jak wasze.

Kartr roześmiał się i prysnął Zacathanina wodą. - Mów za siebie, Zinga. Na pewno wiesz, że moja twarz nie została uznana za odpowiednią do straszenia niegrzecznych dzieci.

A może to już nieaktualne? - pomyślał nagle krytycznie przyglądając się własnemu odbiciu w lustrze okrywającym całą ścianę za wanną.

Ciemnobrązowa skóra zdradzająca pracę w kosmosie nie była jeszcze zbyt pomarszczona. Oczywiście, barwy jego włosów mogły wydawać się dziwne. Jednak łagodny kolor kremu, poprzedzielany rdzawym brązem na gęstych falach - było to zupełnie naturalne

u syna planety Ylene. Zielone, nieco skośne oczy, ale prosty nos, centralnie położone usta - wszystko odpowiednie dla człowieka.

- Zbyt małe zęby...

Kartr zaczerwienił się po końcu wystających kości policzkowych.

- Niech cię szlag, Zinga! Nie możesz przestać dobierać się do cudzych myśli?

- Podobasz się sobie, co? Jednak niezupełnie zgadzam się co do zębów. Duże nie są uznawane za piękne u twego gatunku. Sam wiesz.

Zinga stanął na wprost własnego odbicia. - Zresztą, czemu nie? Pożyteczne i ładne. Chciałbym kiedyś zobaczyć was, ludzi, w pojedynku naszych wojowników. Żadnych szponów, czy odpowiednich zębów. Nie przetrwalibyście ani minuty!

- Piękno zależy od gustu obserwatora i jest warunkowane przez jego wychowanie - ogłosił Faltharianin. - Ludzie z gatunku Kartra mają dwukolorowe włosy, więc to właśnie taki jest ich ideał piękności. Moja rasa - mówiąc to zdejmował z siebie hełm i kurtkę - ma siwe włosy, białą skórę i jasnoszare oczy. Stąd, właśnie takie cechy uznajemy za oznaki urody.

- Och, ty możesz uznawać się za nieustający obiekt dziewczęcych westchnień - głos Fylha dobiegł ich już zza futryny. - A może zakończylibyście już to kąpienie się w cieczech i przyszli coś zjeść. Marnujecie tylko czas.

Kartr jednak nie dał się pogonić, a i Rolth rozkoszował się odkryciem Zingi. Kiedy wreszcie ubrali się w świeże mundury i weszli za Fylhem do sali, zauważyli Trystianina wychylonego przez okno i rozmawiającego piskliwie z kilkoma wielkimi ptakami.

- Znów plotkujecie - skomentował to Zinga. - A gdzie to jedzonko, na które byliśmy tak gorąco zapraszani? Założę się o dwa kredyty, że nakarmił nim to ptactwo.

- I dobrze ci tak. Macie je przed samym nosem.

Skoncentrowane racje żywnościowe były podwójnie niesmaczne dla kogoś, kto niedawno jadł pieczone i świeże owoce puszczy. Kartr przeżuwał je powoli, marząc o powrocie do przeszłości.

Chyba mi się cofa. - Zinga beknął po przełknięciu ostatniej kostki. - Odwołuję to, co powiedziałem. Fylh nie dałby tych odpadków ptakom - zbyt je kocha.

- Co my tu w ogóle robimy? - usłyszeli łopot skrzydeł, kiedy Fylh zeskoczył z parapetu na podłogę, zamykając za sobą okno. - Nie powinniśmy się tu zatrzymywać. To martwe miejsce i nie ma sensu próbować go ożywić!

- Nic się nie martw. Najprawdopodobniej zostaniemy stąd wykurzeni prędzej, niż się spodziewamy. Zejdźmy teraz na dół i wyrażmy zgodę na polowanie, jak przystoi dobrym zwiadowcom, a potem zmykajmy stąd i nigdy nie Macajmy.

Kartr podniósł wzrok. Doskonale rozumiał pragnienie Zingi i jakaś jego część pragnęła jak najprędzej wykonać życzenie Zacathanina. Podobnie jak Fylh, również uważał to miejsce za martwe. A jednak, były tu kobiety i dzieci, zbliżała się pora zimowa, chyba że Cummi znów kłamał. Być może niektórzy pasażerowie mieli jakieś pojęcie o polowaniu, lecz czy będą w stanie zaspokoić wszystkie potrzeby tej małej społeczności? Ta kobieta dziś rano zwróciła się do Roltha o pomoc, wciąż wierząc w ludzi z odznaką komety.

- Sprawy mają się następująco - zaczął powoli, starając się przekuć rozbiegane uczucia na najważniejsze słowa, uświadamiające pozostałym dwuznaczność ich sytuacji.

- Czy mamy prawo odejść, kiedy naprawdę możemy być potrzebni? Z drugiej jednak strony, jeżeli rasistowska polityka Cummiego stawia was dwóch w niebezpiecznym położeniu, wówczas musicie odejść.

- Dlaczego?

Zinga przerwał Fylhowi. - Jeszcze nie odchodzimy, ale wiem o co ci chodzi. Pamiętaj jednak, Kartr, że nadchodzą takie chwile, kiedy człowiek lub Bemmy musi zapomnieć o dobroci. Nie musimy podejmować decyzji dziś wieczór. Odpoczniemy sobie...

- Bez względu na to, czy te drzwi się zamykają, czy nie, radzę wystawić wartę - oświadczył Fylh.

- Nie będą próbowali dobrać się do nas, przynajmniej nie tą drogą - zaprotestował Kartr.

- Myślisz o mentalnym zawładnięciu - Rolth aż gwizdnął. - W takim razie Fylh i ja niewiele się przydamy.

- To prawda. Wobec tego Zinga i ja będziemy stać na straży.

Nastąpiły godziny pełne niepokoju. Trójka zawinięta w śpiwory, czwarty bezszelestnie przemierzający na bosaka pomieszczenia, nasłuchując uszami i umysłem. Zmieniali się co dwie godziny. Kartr ledwie zdążył wyciągnąć się po raz drugi, kiedy przywołał go cichy świst Zingi. Z westchnieniem podszedł do okna, przy którym stał Zacathanin.

- Smitt idzie do nas. Tam, na dachu Zinga miał rację; rozpoznali go po wzorcu fal mózgowych. Tylko doświadczony zwiadowca był w stanie wypatrzeć go gołym okiem. Poruszał się w ciemnościach z niezwykłym kunsztem, wykorzystując każdy cień i osłonę.

- Wyjdę mu naprzeciw. - Zanim Zinga zdołał zaprotestować, Kartr wyszedł na żłobkowaną ścianę wieży. Noc była pochmurna, kolor munduru był niemal identyczny z barwą muru, więc jedynie ktoś obserwujący wieżę przez noktowizor mógłby go dostrzec.

Gdy znalazł się o stopę lub dwie od dachu, po którym sunął Smitt, cichutko gwizdnął sygnał patrolu. Po chwili ciszy usłyszał odzew i szybkie kroki technika.

- Tu Kartr.

- Dzięki Bogom Kosmosu! Od paru godzin staram się do ciebie dotrzeć!

- Ci ludzie, przeciwnicy Cummiego. Uznali nasze zjawienie się za sygnał do walki. Idioci! Poustawiał miotacze na każdym korytarzu, a ten jego Can-hound dopadł dwóch ich przywódców. Uśpił ich tak samo jak ty Sny na statku.

Jeśli zaatakują kwaterę Cummiego dojdzie do jatki! Już zamknął Jaksana z medykiem i pilnuje techników. Zmiecie każdą opozycję.

- Jakie są jego plany wobec nas?

- Podłożył minę przy wyjściu z wieży. Jeśli spróbujecie wyjść - bum! - i po was. Razem z Can-houndem przygotowują coś specjalnego, żeby was stąd wykurzyć.

- Coś specjalnego! Jeżeli Arcturianin sądził, że ma do czynienia z równym sobie wrażliwcem, mógł próbować wielu sztuczek. Jednak przeciw sile sześć koma sześć oraz Zindze, taki atak może obrócić się przeciw niemu.

- Muszę już wracać - Smitt nie wypuszczał z dłoni miotacza. - Muszę powstrzymać tych głupców przed beznadziejną walką. Jesteś w stanie coś z tym zrobić?

- Jeszcze nie wiem, ale na pewno spróbujemy. Wstrzymuj ich tak długo, jak się da. Może będziemy mogli zamienić się miejscami.

Smitt wtopił się w mrok nocy. Jeżeli zdoła utrzymać swą mentalną osłonę będzie dobrze służył rebeliantom. Ani Arcturianin, ani Can-hound nie dopadną go. Kartr wspiął się do okna, gdzie czekali pozostali zwiadowcy, najwidoczniej zbudzeni przez Zingę.

- Widziałem Smitt - oczywiście ciemności nie stanowiły najmniejszej przeszkody dla Roltha. - Czego chciał?

- Szykuje się powstanie przeciw Cummiemu. Uznali nasze przybycie za sygnał do walki.

- Oczywiście Cummi nie marnował czasu czekając na to wydarzenie. Cóż ten wesolek przygotował dla nas?

- Tak - Rolth uzupełnił pytanie Fylha - co nas czeka?

- Smitt wspomniał coś o minie u podnóża schodów, gotowej wybuchnąć, kiedy spróbujemy zejść.

- Ostro gra. Wiesz, uważam, że ktoś powinien ożywić stary, zdrowy lęk przed patrolem u tych panów.

- Gdzie jest Zinga?

- Zszedł niżej, żeby, jak on to nazywa - „posłuchać”. - Fylh położył latarkę na podłodze, nasunął na nią róg śpiwora i pod tą osłoną liczył ładunki do miotaczy, jakie im jeszcze zostały. Niestety, nie potrzebował zbyt wiele czasu na wykonanie tego zadania.

- To wszystko, co mamy? - spytał ponuro Kartr. - Broń jest załadowana i mamy jeszcze zapasowe magazynki w pasach, oczywiście jeżeli wszyscy trzymali się regulaminu. Tu jest reszta.

- W porządku. Wypada po trzy na głowę i dodatkowy dla Roltha. Jeżeli to ma być nocna walka, lepiej dać więcej temu, kto najlepiej czuje się w tych warunkach.

Faltharianin pracowicie pakował plecaki. Jeżeli nie zostaną zmuszeni do panicznej ucieczki, lepiej mieć sprzęt przy sobie.

- Przenieśli naszą szalupę do hallu i prawdopodobnie dobrze jej strzegą. Jeśli zdołamy się przedrzeć...

- Jeśli zwyciężymy - włączył się Fylh - zdobędziemy ją bez trudności. Dlaczego nie? Co trzyma na dole tę starą jaszczurkę?

Kartr również zastanawiał się nad tym na tyle intensywnie, żeby wysłać mentalne pytanie, które spotkało się natychmiast z reakcją wyrażającą silny strach. Sierżant chwycił swój przydział ładunków, wetknął je za pas i pospiesznie zszedł do sali z wizerunkiem akwarium. Zinga przytulił się do drzwi prowadzących na schody, jakby chciał się w nie wtopić. Kartr dołączył do niego „nasłuchując”.

Wyczuwał jakieś ruchy, niezbyt daleko, chyba tuż pod podstawą schodów. Dwie osoby wycofały się, trzecia została - Can-hound. Dlaczego zostawili tylko jednego strażnika? A może...?

Może, Zinga natychmiast podsunął odpowiedź, podejrzewając, że ty lub ja nie jesteśmy tymi, za kogo pragniemy uchodzić. Jednak nie mogli domyślić się całej prawdy, inaczej nie pozostawiliby Can-hounda. Przecież wiedzieli, jak sobie z nim poradziłeś. Nie możemy dopuścić, żeby kiedykolwiek poznali całą prawdę.

A może to rodzaj przynęty? - odpowiedział w myślach Kartr, ciesząc się taką konwersacją, której nieczęsto mógł doświadczać.

Sprawdzimy to. Tym razem, bracie, to moje zadanie. Kartr skoncentrował się na wyczuwaniu zbliżania się kogoś, kto mógłby przerwać barierę Zingi. Widział napięcie Zingi i zdawał sobie sprawę z bólu, jaki odczuwał.

Mieli wrażenie, jakby wyzwolili się spod władzy czasu, czasu planetarnego. Kartr nie miał pojęcia, jak długo trwała ta bezgłośna walka, zanim nie został zmuszony do ostrzeżenia partnera.

- Nadchodzi - powiedział to głośno, nie mając śmiałości w takiej sytuacji skorzystać z kanału mentalnego.

Zinga wydał z siebie długie westchnienie ulgi. - To był pewien rodzaj zasadzki - powiedział, uznając swą moc mentalną za niemal wyczerpaną. - Jednak nie tak mocnej, jak się obawialiśmy. Cały czas był pod kontrolą. Gdyby wycofał się wbrew otrzymanym rozkazom, mogliby przypuszczać, że jesteśmy na tyle mocni, żeby nad nim zapanować. Teraz mogą jedynie podejrzewać, ale nic nie wiedzą na pewno.

- Mówisz, że mamy do czynienia z czymś więcej niż Cummi i jego Can-hound?

- Cummi nauczył się panować nad energią umysłową innych, nie wiem jak wielu umysłów. - Jeżeli pięć koma dziewięć jest w stanie to osiągnąć, to do jakiego poziomu będzie mógł się wznieść? - spora część pewności siebie Kartra została w ten sposób unicestwiona. Czy będzie w stanie stawić czoło tak wzmocnionemu Cummiemu, nawet z pomocą Zingi?

- Proponuję - głos Zingi brzmiał sucho, jakby sam był wstrząśnięty tym odkryciem - żebyśmy zachowali miotacze, jako ostatni dostępny nam środek obrony. W ten sposób łatwiej będzie nam przechylić szalę korzyści na naszą stronę.

- Nie zapominaj, że będziemy musieli się stąd wydostać, żeby mieć jakąś szansę. Jeśli stąd uciekniemy, to owo stworzenie na dole od razu się zorientuje.

- Wobec tego nie pozostaje nam nic innego, niż natychmiast się rozdzielić. Ty z Rolthem zejdziecie po murze i postaracie się zrobić jak najlepsze wrażenie w ogólnym bałaganie. Ja i Fylh postaramy się utrzymać nasz fort robiąc wrażenie, że jest nas czterech.

Kartr dostrzegł w tym planie pewną mądrość. Będąc ludźmi, on sam i Rolth mieli większą szansę nawiązania współpracy z rebeliantami. Jednocześnie zaoszczędzi to kłopotów zwiadowcom z grupy Bemmych.

Zejsście na dach, gdzie pojawił się Smitt, było śmiesznie łatwe. Zatrzymali się na nim na tyle długo, żeby wciągnąć buty i ruszyli po nim, chowając się w cieniu. Kiedy dotarli do parapetu, Rolth zajrzał na dół. Wycofał się natychmiast i przyłożył wargi do ucha Kartra.

- Piętro niżej jest spory występ. Prowadzi do jasno oświetlonego okna. Spadek jest dość stromy. Nie sądzę, żeby ktoś w pokoju czuł się zagrożony inwazją z tej strony.

- Jak można się tam dostać?

- Moglibyśmy połączyć swoje pasy i zawiązać je wokół tego - Faltharianin wskazał na zębiasty ornament parapetu.

Jeśli nawet Kartr zdawał sobie sprawę z tego, co oznacza zawiśnięcie nad przepaścią, nie dał tego po sobie poznać.

- Dobrze, że jesteśmy wysocy. - Rolth przyczepił własny pas do podanego mu przez sierżanta. - Niscy ludzie nie mieliby żadnych szans.

Faltharianin zarzucił pętlę zaimprovizowanej liny na występ muru i wspiął się na parapet. Utrzymując swe ciało pod pewnym kątem względem muru, na wpół prześlizgnął się, na wpół przeszedł po kamieniach. Kartr przytulił się do krawędzi i zmusił do obserwowania kolegi. Wkrótce Rolth zatrzymał się i odrzucił wolny koniec liny.

Nie tak sprawnie jak Rolth, jednak Kartr pokonał tę samą drogę. Nie spuszczał z oczu kamieni, po których się wspinał i starał zapomnieć o rozciągającej się pod nim ciemności. Całą wieczność pokonywał przestrzeń poniżej, aż poczuł występ pod stopami. Z przyjemnością stwierdził, że jest szerszy niż się wydawał i że mógł postawić na nim niemal całą stopę.

- Czy ktoś jest w tym pokoju? - spytał Rolth, kiedy zbliżyli się do okna.

Kartr wysunął mentalną sondę. - W samym pokoju, nie, ale obok. Faltharianin niemal się roześmiał. - Jesteśmy niemal tak dobrzy, jak pierzaści przyjaciele Fylha. Naprzód! - chwycił okienną ramę i pchnął ją z całej siły otwierając okno. Nie obyło się bez zgrzytu, lecz Rolth miękko wylądował na podłodze, gdzie po chwili dołączył Kartr.

Znajdowali się w komnacie, najwyraźniej przez kogoś zamieszkaney. Na pryczy pod ścianą piętrzyła się pościel. Wszystko musiało pochodzić z rozbitego statku. Pod ścianą stały dwie drogie valcunitowe walizy, a stół, również ze statku, zavalony był osobistymi drobiazgami. Rolth zmarszczył nos. - Cóż za smród! Kartr starał się przypomnieć sobie, gdzie wcześniej czuł ten zbyt słodki odór kwiatów.

- Fortus Kan! - przypomnieli sobie. Kiedy trafili na sekretarza w przejściu dziś rano, niósł bukiet lilii.

Ta identyfikacja mogła być jakimś wezwaniem, czy innym sygnałem, ponieważ człowiek wicekróla właśnie szedł do nich. Kartr wyczuł to na tyle wcześnie, żeby móc przykleić się do ściany za drzwiami. Widząc to Rolth uczynił to samo z drugiej strony.

W umyśle człowieka, który niezgrabnie manipulował przy staroświeckim zamku, czaiła się obawa. Fortus Kan bał się czegoś. Denerwowały go kłopoty z zamkiem tak, że na moment złość stłumiła lęk. Wkurzył się na tyle, że w końcu otworzył drzwi kopniakiem. Przy takim wybuchu emocji Kartr czuł, że nie będzie miał trudności z...

Pozwolił mu zrobić cztery kroki w głąb pokoju, zanim zatrzęsnął drzwi. Fortus Kan odwrócił się błyskawicznie stając naprzeciw dwóch miotaczy wymierzonych prosto w jego twarz. Na ten widok porzucił myśl o stawianiu oporu.

- Proszę! - podniósł dłonie do ust. Cofał się nie patrząc gdzie idzie, aż znalazł się przy łóżku i podcięty, bezwładnie opadł na nie.

Gdy Kartr zbliżał się do niego, mały człowieczek kurczył się, jakby chciał się schować w zakamarkach pościeli.

- Można by pomyśleć, Kartr, że ten facet ma coś na sumieniu.

Te słowa Roltha podziały na Fortusa Kana, jak uderzenie biczem. Przestał wciskać się w pościel i siedział nieruchomo jak kamienny posąg. Jedynie wargi mu drżały, a w załzawionych oczach Kartr dostrzegał czysty strach.

- Proszę... - sekretarz miał poważne trudności z wykrztuszeniem z siebie jednego słowa, lecz kiedy zdołał je wreszcie wypowiedzieć, można było odnieść wrażenie, że był to korek zatykający przepelnioną butelkę. - Proszę... Ja nie miałem z tym nic wspólnego, zupełnie nic! Radziłem mu, żeby nie antagonizował patrolu. Znam prawo. Mam nawet kuzyna, który pracuje w waszej administracji na Sexti. Nigdy, przenigdy nie występowałem przeciw patrolowi. Naprawdę nie mam z tym absolutnie nic wspólnego!

Bał się tak bardzo, że niemal wyczuwało się ten lęk nosem. Co go tak przerażało - zastawienie miny, sztuczki z Can-houndem? Był tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Drugi raz w życiu Kartr bezlitośnie wszedł w ludzki umysł rozbijając cienką osłonę, badając dogłębnie, aż doszedł do tego, o co mu chodziło. Przynajmniej po części. Fortus Kan pisnął cienko i umilkł. Szkoda, że Cummi nie darzył małego człowieczka większym zaufaniem. Miał spore luki informacyjne, luki, które mogły okazać się fatalne, o ile zwiadowcy nie zachowają ostrożności.

Sierzant cofnął się do Roltha. - Pod schodami wieży naprawdę czeka na nas mina. Can-hound ma nas jakoś wywabić i wysadzić w powietrze. Zanim do tego dojdzie, wszyscy opuszczą wyższe piętra budynku. Kan wrócił tu po jakieś cenne pamiątki. Schody są pod stałą obserwacją.

- Możemy spróbować się przebić, narobimy huku.

- Tak. Zastanawiam się nad jednym - dlaczego robią tyle zamieszania wokół klatek schodowych, kiedy mają studnie grawitacyjne. To dość dziwne, a może i ważne.

- To był budynek rządowy - przypomniał mu Rolth. - Mogli używać schodów przy różnych ceremoniach. Zupełnie jak ci Opolti, którzy latają wszędzie, oprócz kwatery Affida. Nie sądzę, żeby było stąd bezpieczne zejście. Co z chłopakami? Jeśli Can-hound znudzi się czekaniem, może odpalić minę i zdać się na szczęście.

- Racja.

Kartr stanął nieruchomo. Wygaszał w swoim umyśle obrazy - najpierw korytarze i ten pokój, potem świadomość obecności Roltha, Fortusa Kana, siebie samego. Udało się!

Dotknął umysłu Zingi! Przekazał ostrzeżenie. Wrócił do zabałaganionego pokoju potrząsając głową, jak po głębokim śnie i zobaczył Roltha na czworakach przy drzwiach. Jacyś ludzie, dwóch lub trzech, szli korytarzem prosto do nich!

ROZDZIAŁ X - BITWA

Ostre pukanie do drzwi zmroziło zwiadowców.

- Kan! Wyprowadzamy się. Chodź z nami! Jednak Fortus Kan trwał głęboko pogrążony we własnym świecie.

- Kan! Ty głupcze, chodź!

Kartr wysłał mentalną sondę. Za drzwiami stał młody oficer ze statku, którego spotkał rano oraz dwóch innych - ludzie, bez wrażliwości. Niecierpliwili się, a niecierpliwość ta była podszyta lękiem. Strach zwyciężył. Po krótkiej, przyciszzonej rozmowie, ruszyli dalej. Rolth podszedł do okna i wyjrzał na dół.

- Rozumiem, że musimy się spieszyć? - rzucił nie odwracając się.

- Oni byli za bardzo wystraszeni, żeby tu się zbyt długo kręcić. Co na dole?

- Jeszcze jeden występ dachu, ale zbyt daleko, żebyśmy mogli się tam dostać bez ssawek wspinaczkowych.

- Mamy tu coś zamiast nich - Kartr zrzucił Fortusa Kana z pryczy i zaczął drzeć kape w pasy, które Rolth pospiesznie, lecz dokładnie wiązał ze sobą. Wkrótce znaleźli się w posiadaniu sporej długości liny.

- Ty pierwszy - rozkazał sierżant. - Potem to - trącił Kana butem. - Ja wyjdę ostatni. Ruszaj, musimy mieć naprawdę niewiele czasu, inaczej tamtym tak by się nie spieszyło.

Rolth znalazł się za parapetem, zanim jeszcze skończył mówić. Kartr wychylił się, ale Faltharianin tak szybko zniknął w mroku, że jedynie ruchy liny dały mu znać, kiedy dotarł na występ. Kartr wciągnął linę na górę. Pracował najszybciej jak potrafił. Zawiązał pętlę pod pachami Kana i przerzucił bezwładne ciało sekretarza przez parapet. Opuszczał go ostrożnie, aż szarpnięcie Roltha zasygnalizowało mu, że przesyłka dotarła na miejsce. Nie czekając, aż Rolth odwiąże Kana, sierżant pospiesznie zjechał na dół.

W momencie, kiedy dotknął stopami dachu, nastąpiło to, czego się obawiał. Nawet nic nie usłyszał, lecz poczuł drżenie budowli. Padł płasko na brzuch chowając głowę w ramionach, nie mając odwagi spojrzeć w górę. Mina. Kiedyś znalazł się już w jej zasięgu. Czy Zinga i Fylh zdołali uciec? Wygasił obawę rodzącą się w głębi mózgu. Kan jęknął cicho. Rolth?

Niemal natychmiast go usłyszał.

- Dla mnie bomba! Cummi lubi ostro powalczyć, nie?

Sierżant usiadł. Drżał - być może ze zmęczenia zjazdem - ale, co bardziej prawdopodobne, chyba jednak z wściekłości, jaka ogarniała go na myśl o Arcturianinie. Będzie musiał nauczyć się nad nią panować, inaczej przeciwnik wykorzysta ją przeciw niemu.

- Jak się stąd wydostaniemy? - Musi polegać na umiejętności widzenia w ciemności przez Roltha. To, co teraz ich otaczało, było zupełnie nieprzeniknione dla zwykłego oka.

Migotliwe światła miasta zgasły w momencie wybuchu.

- Jesteśmy blisko okna. Można go osiągnąć. A co z naszym przyjacielem? Musimy go wlec ze sobą?

- Rano się obudzi. Wniesiemy go do jakiegoś pokoju i zostawimy. Nie sędzę, żeby odpalili jeszcze jedną bombę.

- Chyba, że będą chcieli rozwalić własną siedzibę. Ruszamy. Chwyć go za nogi, a ja się zajmę głową. Kartr zdał się całkowicie na wzrok Roltha. Dotarli do okna, otworzyli je silnym uderzeniem w ramę i wciągnęli bezwładny balast do wnętrza.

- Nie pomyliliśmy czasem budynków? - spytał sierżant. - Myślałem, że po prostu zejdziemy niżej.

- Masz rację. Jesteśmy w innym, ale to była najszybsza droga ucieczki. Czy chłopcom się udało?

Drugi raz Kartr usiłował skontaktować się z Zingą. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że to mu się udało, ale łączność została natychmiast przerwana. Nie chciał zbyt długo wysyłać sygnałów - Can-hound, o ile przeżył eksplozję, lub Cummi, mogli je przechwycić.

- Niezłego - powiedział Rolthowi. - Nie mogę nawiązać kontaktu. To jeszcze o niczym nie świadczy. Po prostu mogą być zbyt daleko. Nie wiemy jeszcze na pewno, co rządzi komunikacją między mózgami, ani na jaką odległość sięgają sygnały. Sami mogą się bać odezwać, bo są w pobliżu Arcturianina. Udało mi się jednak znaleźć Zingę przed wybuchem.

Mieli trochę więcej czasu na ucieczkę niż my.

Kartr doskonale zdawał sobie sprawę, że niewielka to pociecha, jednak przy takich wiarusach jak Fylh i Zinga, nadzieja była dobrze uzasadniona.

- Spróbujemy znaleźć Smitta?

- Chyba tak. Albo chociaż postaramy dostać się do buntowników.

Kartr chwycił pas Roltha i dał się ciągnąć przez ciemne pokoje i korytarze, starając się nie tracić zupełnie orientacji.

- Jesteśmy na poziomie ulicy - szepnął wreszcie przewodnik.

- To powinna być ulica przebiegająca przed wejściem do kwatery Cummiego.

Zanim jednak Rolth miał szansę potwierdzić przypuszczenia sierżanta, ciemności przecięła oślepiająca smuga światła. Oboje odruchowo przywarli do podłogi.

Strzał z miotacza! W dole ulicy dostrzegali następnego. Trzeci trafił w cel, sądząc po urwanym, przeraźliwym okrzyku.

- Wojna ruszyła! - Rolth nie musiał potwierdzać oczywistego. - Gdzie jest nasza strona?

- Na razie nigdzie. Nie będę ryzykował pomyłki i nie mam sił zastrzelić - odpowiedział Kartr ponuro. - Jeden siedzi na lewo, jakieś pięć stóp stąd. Czołga się. Spróbuję kontaktu, żeby się przekonać kto to taki.

Ogniste błyski przecinały ulicę. Nie było słyhać żadnych krzyków, co mogło znaczyć, że snajperzy byli słabi, albo - bardzo dobrzy.

Dostrzegli czołgającą się sylwetkę przed sobą.

- Nie ma munduru - zgłosił Rolth. - Dla mnie, wygląda na cywila, ale zna się na miotaczach. Może jakiś weteran wojen sektorowych?

- Nie jest z bandy Cummiego, ale... - Kartr nie miał czasu na ostrzeżenia.

Z całą pewnością nie był to zwolennik Cummiego, ale natychmiast wyczuł, że sierżant go sonduje. Było to coś niezwykłego. Kartr pierwszy raz zetknął się z czymś takim.

Miotacz skierował się na zwiadowców.

- Patrol! - wrzasnął Rolth.

Lufa zakołysała się lekko i zatrzymała dokładnie na nich.

- Wychodźcie, z rękami w górze! - rozkazał im zdecydowany głos. - Jest ustawiony na rozrzut. Jeden ruch i spalę was obu jednocześnie!

Kartr i Rolth posłusznie wykonali rozkaz. Raz po raz pochylali się lekko, żeby nie dać się postrzelić snajperom z drugiej strony ulicy.

- Kim jesteście?

- Zwiadowcami patrolu. Próbujemy skontaktować się ze Smittem, naszym technikiem.

- Tak? - nie był to głos kogoś, kto łatwo ufa nieznanym. - No, dobrze. Macie szansę go zaraz spotkać. Idźcie w tę stronę i nie zapominajcie, że jestem tuż za wami.

Ruszyli w kierunku ciemnej bramy.

- Uważaj na schody - powiedział Rolth.

- Jasne - rzucił mężczyzna z tyłu. - Schodźcie w dół i zamknijcie się!

Po pięciu stopniach trafili na jakąś barierę.

- Zapukajcie szybko cztery razy, odczekajcie sekundę i znów pukajcie - rozkazał strażnik.

Rolth zrobił, co mu kazano, a drzwi rozsunęły się. Przeszli przez otwór w grubej kotarze i znaleźli się w słabo oświetlonym hallu, gdzie dwóch mężczyzn spojrzeli na nich bez cienia przyjaznych uczuć. Kolejne miotacze obrały ich sobie za cel. Kiedy jednak światło odbiło się w kometach na piersiach zwiadowców, nadszedł czas rozpoznania i ulgi.

Jeden ze strażników zbliżył się do nich.

- Zdejmijcie hełmy - rozkazał.

Zmrużyli oczy w blasku latarki omiatającej ich twarze.

- W porządku. Oni nie są od Cummiego. To musi być patrol. Zabierz ich do Krowliego. Co tam na górze?

- Leżymy na brzuchach i strzelamy. Tamci robią dokładnie to samo. Udało nam się poprzecinać kable robotów, więc z tej strony mamy już spokój. Jak dla mnie - sytuacja patowa - powiedział ich pierwszy strażnik. - W porządku. Wypuście mnie, chłopcy. Wracam na linię ognia.

- Złap dla mnie jednego z tych ptaszków. Poi!

- Jasne. Usmażę go dla ciebie. Powodzenia!

- Powodzenia! - Jeden ze strażników zamknął za nim drzwi i starannie poprawił kotarę. Drugi skinął na zwiadowców.

- Tędy.

Korytarzem przeszli do obszernego pomieszczenia, gdzie wszyscy byli czymś zajęci. Kilka osób przykucnęło wokół skrzyń wyciągając z nich części maszynarii. Dwóch mężczyzn siedziało za prymitywnym stołem, trzech przygotowywało posiłek w dalszej części sali. Wskazano im tych dwóch za stołem. Jeden z nich uniósł głowę i zerwał się na równe nogi. To był Smitt.

- Mamy tu patrol - technik przecesał włosy palcami.

Kartr i Rolth przyjrzeni się mapie na stole.

- Zablockowaliśmy ich w kwaterze głównej. Aha, wysadzili wieżę? Odczuliśmy tu jakiś wstrząs.

Sierżant skinął głową. - Jeżeli Cummi ma niszczyciele, nie rozumiem, dlaczego dał się zablokować paru snajperom. Może się przebić, kiedy tylko zechce.

- No cóż - szczerzył mężczyzna w średnim wieku siedzący obok Smitta przeciągnął się i uśmiechnął szeroko. - Cummi nie chce robić dziur w tym pięknym mieście, dopóki nie zostanie do tego zmuszony, a snajperów trudno zlokalizować.

- Nie wrażliwcowi - zauważył Kartr. - Daj mi pięć minut, a powystrzelam wszystkich twoich ludzi. Wystarczy, że Cummi wyśle Can-hounda i...

Uśmiech znikł z twarzy Krowliego, jakby zmieciony brutalnym uderzeniem.- Ma pan rację, sierzancie - zgodził się spokojnie, choć niełatwo mu było ukryć miotające nim uczucia.

- Czy można przypuścić, że w zbrojowni Cummiego nie ma zbyt wielu niszczących pocisków? - włączył się Rolth.

- Też tak pomyśleliśmy - odpowiedział Krowli. - Tyle, że trudno to udowodnić. Cummi przejął całkowitą kontrolę nad uzbrojeniem już drugiego dnia po wylądowaniu. Mamy jedynie broń ręczną, której nie mógł nas pozbawić pod żadnym logicznym pozorem. Cały ten bałagan powstał z faktu, że potrafił myśleć szybciej niż większość z nas. Nie przeoczył żadnej okazji, żeby zaważnąć wszystkim, co strzela czy wybucha. Jasne, możemy zaatakować kwaterę Cummiego, ale jeżeli użyje niszczycieli - to będzie po nas. Ma dwóch wrażliwców, a my...

- Także dwóch, jeśli zdołam skontaktować się z Zingą. A może wśród was jest jeszcze ktoś?

Krowli potrząsnął przecząco głową. - Jesteśmy - byliśmy - najzwyczajszą grupą przeciętnych obywateli terytorium Kontroli. Cummi przyciągnął do siebie wszystkich, którzy mogli mu się przydać, tak jak broń.

Rolth przyglądał się mapie, po czym stuknął paznokciem w środek kwadratu reprezentującego twierdzę Cummiego.

- Nie zaznaczyliście tunelu.

- Jakiego tunelu? - zdziwił się Krowli.

Smitt walnął pięścią w stół, skrzywił się z bólu. - Ależ ze mnie dureń!

Kartr powstrzymał jego dalsze słowa.

- Wszystko zależy od tego, czy Cummi odkrył te podziemne przejścia.

- Nie wie o nich, jestem tego niemal zupełnie pewien! Nikt z nas wcześniej o nich nie słyszał. Chyba że technicy je znaleźli i nie ogłosili tego wszystkim.

Rolth podniósł głowę. - Jeżeli tak się stało to pakujemy głowy prosto do gniazda szerszeni.

- Ale jeżeli o nich nie wiedzą - Smitt ledwie panował nad podnieceniem - wejdziemy między nich, zanim się spostrzegą!

- Trzeba będzie wybrać odpowiednich ludzi. - Kartr nie podzielał tego entuzjazmu. - Ty, Smitt, będziesz się nadawał. Nie przebiją twojej bariery mentalnej, ale reszta? Potrzebni są tacy, nad którymi Cummi i Can-hound nie zdołają zapanować. Weźmy tego faceta, który nas tu przyprowadził - nie jest wrażliwcem, przynajmniej tak mi się wydaje, ale natychmiast wyczuł moją sondę i skoczył na nas.

- To pewnie Norgot. Miał powody nauczyć się obrony przed inwazją umysłu. Był jednym z zakładników Statsati.

- Ach tak! - włączył się Rolth. - Więc nic dziwnego, że się tak wkurzył, kiedy próbowałeś go przeniknąć, Kartr. Powinien się przydać w grupie desantowej.

Grupa desantowa - pomyślał Kartr. To dziwne, jak kosmiczna terminologia nadal panowała w ich języku, nawet teraz, kiedy zostali na zawsze uziemieni.

- Tak - powiedział na głos. - Jest tu jeszcze ktoś tego kalibru?

Krowli przywołał gestem jednego z mężczyzn, którzy właśnie kończyli się posilać. - Pan jest wrażliwy, sierżancie. Wybór pozostawiamy panu.

W sumie udało im się znaleźć ośmiu mężczyzn z na tyle silnymi barierami, by można ich wypróbować w walce. Kartr tęsknił za Zingą i Fylhem, ale jak dotąd, mimo że patrole rebeliantów dostały rozkaz, aby ich wypatrywać, nikt ich nie zauważył.

Całą dziesiątką zjechali w dół pierwszą odkrytą studnią grawitacyjną. Na platformie był tylko jeden wózek mieszczący co najwyżej trzy osoby. Przeprawili się w pięciu nawrotach, z Rolthem za sterami. W końcu wszyscy znaleźli się pod kwaterą Cummięgo. Kartr nie znalazł żadnego śladu, który mógłby świadczyć, że od czasu ostatniego pobytu, ktoś trafił w to miejsce.

Tym razem nie mijali pośpiesznie dwóch postojów, które poprzednio nie wzbudziły ich zainteresowania. Jeżeli założyć, że na samej górze może ich oczekiwać nieprzyjemny komitet powitalny, trzeba zatrzymać się wcześniej. Dlatego najpierw wcisnął najniższy przycisk w ścianie windy. Tylko pięć osób zmieściło się w pojeździe. Na pierwszej platformie Kartr wypchnął ich do ciemnej niszy, pozwolił windzie zjechać w dół i dopiero wtedy odważył się zapalić latarkę.

Przed sobą mieli długi, mroczny korytarz. Pod stopami chrobotał gruboziarnisty kurz, po którym od lat nikt nie chodził. Nie wyczuwał śladów życia, oczywiście nie biorąc pod uwagę ich samych. Cummi na pewno nie zdaje sobie sprawy z tego wyłomu w systemie obrony.

Świsł powietrza powiadomił ich o przybyciu drugiej grupy. Rolth wychylił się poza krawędź platformy i zbadał przestrzeń nad nią.

- W porządku. Wyjście zamknęło się jak tylko winda dotarła na dno. Jeżeli akurat w tym momencie nikogo tam nie było, nie mają o niczym pojęcia.

Kartr wyłączył latarkę, a Rolth ruszył do przodu. Szli za nim gęsiego, trzymając się za pasy. Początkowo korytarz wznosił się stromo do góry, później wyrównał się, aż weszli do wielkiej sali. Środek sali zajmowała ściana działowa w kształcie walca, za którą monotonnie

pomrukiwały jakieś maszyny. Wejście, którym dostali się do środka było na tyle dobrze zamaskowane, że Kartr przestał się dziwić, dlaczego nie odkryto wejścia do szybu windy. W tej samej chwili nie tylko wyczuł obecność jakiegoś człowieka przed sobą, ale mógł go natychmiast zidentyfikować.

- Dalgre!

Sierżant przywołał Smitta. - Przed nami jest Dalgre. Ma towarzystwo, może to strażnik, jeśli nie przyłączył się do Cummiego. Może ty prędzej się z nim skontaktujesz. Będę cię osłaniał.

Technik odpowiedział krótkim skinieniem głowy i dał znak swym towarzyszom, żeby pozostali na miejscu. Następnie, wspólnie z Kartrem, przebiegali od cienia do cienia, aż znaleźli się w jaśniejszej części maszynowni. Przy pulpicie sterowniczym siedział Dalgre, a obok niego, w niedbałej pozie, z miotaczem w zagłębieniu łokcia, ten drugi, w wymiętym mundurze lotnika.

Kartr dotknął ramienia Smitta, wskazał najpierw na siebie, potem w lewo na drogę, która przy odrobinie szczęścia, mogła doprowadzić go do strażnika. Ruszył niczym delikatny obłoczek mgiełki przesuwający się między maszynami, których przeznaczenia nawet się nie domyślał, aż znalazł się tuż za lotnikiem. Z miejsca, gdzie przycupnął dostrzegł tylko grzebień na hełmie Smitta.

Kiedy technik śmiało wyszedł z ukrycia, Kartr zerwał się bezgłośnie i z całych sił uderzył w prawą rękę strażnika ręką miotacza. Mężczyzna krzyknął z bólu upuszczając własną broń. Dalgre chwycił ją momentalnie i wymierzył w Smitta, dostrzegłszy jednak znajomy mundur, nie pociągnął za spust.

- Bardzo ładnie - powiedział technik. - Można by przypuszczać, że trenowałeś to całe życie. Zakładam, że nie dałeś się przekabacić Cummiemu, Dalgre?

Ten wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Myślałeś, że to możliwe? Potrzebują mnie, dlatego jeszcze żyję. Ale zabili już Snyra i dowódcę, i o ile mi wiadomo, także Jaksana.

- Co? spytali niemal jednym głosem.

- Zrobili to jakąś godzinę temu. Ostatnie wieści głosiły, że Jaksan z medykiem zabarykadowali się w zachodnim skrzydle. To czysty dom wariatów. Najwyższy czas, abyśmy tym szaleńcom wbili trochę respektu dla komety. Gdyby nie to, że ten Can-hound jest w stanie wykryć, gdzie każdy jest i co robi, dawno bym się im urwał.

Przywiązali lotnika jego własnym pasem do ławy, tuż przed pulpitem sterowniczym. Kartr spojrzął na mnogość wskaźników.

- Można coś tu zrobić, żeby dać im popalić?

Dalgre uśmiechnął się z rozmarzeniem, ale pokręcił głową. - Boję się próbować. Nie jestem specem od tych rzeczy. Szkolili mnie tylko przez pół godziny. Gdybym coś pokręcił, wszyscy moglibyśmy wylecieć w powietrze. Szkoda. Gdybyśmy wiedzieli jak to wszystko działa, wykurzylibyśmy ich z budynku.

- Jak się stąd wydostać? - spytał jeden z buntowników.

- Windą antygravitacyjną. - Dalgre zaprowadził ich do niszy za pulpitem. - Problem w tym, że pewnie postawili strażnika na górze, który może coś podejrzewać, jeśli ją ruszymy przed końcem mojej zmiany.

- Kiedy to będzie?

Dalgre spojrzął na zegarek. - Pełne pół godziny czasu planetarnego.

- Nie możemy tyle czekać - zdecydował Kartr. - Czy są jakieś pośrednie przystanki?

- Nie.

- Jest jednak coś innego. - Rolth badał ściany szybu.

- Są tu uchwyty, chyba na wypadek awarii. Możemy się po nich wspiąć.

Tak też zrobili. Kartr wyczuł obecność na górze - strażnik, którego spodziewał się Dalgre. Technik miał pomysł, jak wybrnąć z tej sytuacji.

- Ja z nim pogadam.

Sierżant przywarł do ściany szybu i przepuścił go przed sobą. Po chwili usłyszeli, jak Dalgre zwraca się do niewidocznego wartownika.

- Pomóż nam.

- O co chodzi?

- Nie jestem mechanikiem, poślij po jednego z nich.

Jedna z maszyn na dole zwariowała. Wygląda, jakby miała zamiar wybuchnąć, czy coś takiego.

Dalgre wyszedł z szybu i odsunął się do otworu.

- Gdzie jest Taleng? Dlaczego to on nie wyszedł z wiadomością? - Strażnik nie krył podejrzliwości.

- Ponieważ... - zaczął Dalgre i Kartr usłyszał odgłosy walki.

Wyskoczył z szybu. Dalgre usiłował wyrzucić broń z ręki strażnika. Kartr podciął walczących, którzy padli na niego z siłą, która zapała mu dech w piersiach i oszołomiła na moment.

Kiedy przyszedł do siebie, strażnik leżał na podłodze starannie związany i zakneblowany, a Rolth masował żebra sierżanta, starając się przywrócić mu oddech. Smitt, Dalgre i pozostali buntownicy gdzieś zniknęli. Rolth odpowiedział na nieme pytanie.

- Nie mogłem ich powstrzymać.

- Ale... - słowa z trudem wydobywały się gardła Kartra - Cummi... Can-hound...

- Szczerze mówiąc, nie bardzo są przekonani o mocy wrażliwców - przypomniał mu Rolth. - Nawet jeżeli wisiele, jak działa, po prostu nie mogą w to uwierzyć. To dotyczy większości ludzi.

- Prawda. W sumie to dobrze dla nas...

Kartr przerwał i nie dokończył zdania. Odwrócił się do Roltha i wskazał mu korytarz.

- Biegnij tam szybko i powstrzymaj tych głupców. Jak nie, to powystrzelają ich jak kaczki!

Patrzył, jak Rolth zrywa się i znika w ciemnościach. Powiedział mu, że niebezpieczeństwo zagraża z tamtej strony, w rzeczywistości było jednak inaczej. Zbliżało się od tyłu i z każdą sekundą narastało.

Nadchodził Cummi. Kartr miał świadomość, że tym razem była to sprawa między nimi - walka o wszystko, bez pomocników, bez pola bitwy. Walka o niewyobrażalne zwycięstwo.

ROZDZIAŁ XI - WYRZUTEK

Kartr leżał na plecach wpatrując się w niebo pokryte ołowianymi chmurami. Drobne igielki deszczu kłuły jego oczy i skórę. Było przeraźliwie zimno. Skądś dochodziło go ciche pojękiwanie. Dopiero po jakimś czasie zorientował się, że to on sam wydaje te dźwięki. Nie potrafił tego powstrzymać, ani też opanować dreszczy, które raz po raz wstrząsały obolałym ciałem. Całą siłą woli zmusił ręce do ruchu i ciężko przeciągnął dłońmi po poszarpanym mundurze i prześwitujących przez dziury ranach.

Później spróbował usiąść. W głowie mu się kręciło i miał wrażenie, że cały świat wiruje razem z nim. Umysł zaczął porządkować widoki dostarczane przez oczy. Dostrzegł krew ściekającą powoli z długiej rany na żebrach. Zaczął odczuwać ból, widział kamienną półkę, na której się znalazł i krzewy. Wszystko to należało do realnego świata. Tego świata? Cóż to był za świat?

To pytanie rozbudziło rozżarzony do białości ogień w umyśle. Skurczył się pod jego wpływem, próbował przestać myśleć i pozwolić deszczowi obmywać rany. Nie myśląc, czuł się niemal zadowolony. Kolejna fala potwornego bólu zalała go wraz z pojawieniem się świadomości, że w pobliżu kryje się żywa istota. Brązowy pyszczek wyłonił się z krzaków, żółte, zwierzęce oczka obserwowały go bez emocji, z zimnym zainteresowaniem. Wysłał ciche wezwanie o pomoc i główka zniknęła.

Jęknął głośniejszym głosem i niezgrabnie chwycił się za głowę. Wiedział, że nie ma dla niego pomocy. Minał barierę oddzielającą go od przeszłości. Skrzywił się z bólu, jaki sprawiło mu mgnienie wspomnień.

Jednak głębiej niż pamięć, leżały pokłady twardej woli oporu. Zmusiły go do dalszych wysiłków. Dysząc ciężko i pojękując podciągnął nogi i wbijając palce w skałę, wspiął się wpierw na kolana, potem wstał.

Natychmiast stracił równowagę i po stromym stoku stoczył się do strumienia. Wyciągnął się ponad powierzchnię wody i przeczołgał pod wysoką skałę. Zaczął przypominać sobie niedawne wydarzenia.

Obrazy wróciły, wyraźne, jak film na wideo. Nawet były zbyt wyraźne, zbyt żywe.

Był w dziwnym budynku, otoczony wysokimi ścianami i czekał, czekał na niewyobrażalne zagrożenie. Zbliżało się powoli, z namysłem, nieuchronnie. Czuł puls siły, która się z nim wiązała. Musi walczyć. Mimo, że znał każdy ruch w nadchodzącej bitwie, wiedział, że stoi na przegranej pozycji.

Nastąpiło zderzenie woli, fala siły mentalnej uderzyła w drugą. Nagle stracił wiarę we własną moc.

Drugi umysł wsparł jego przeciwnika, przebiegły, zły, pozostawiający za sobą zbrukany ślad. Jednak, nawet te połączone siły nie były w stanie przeniknąć jego obrony. Schronił się za nią przez chwilę, po czym uderzył. Pod tym ciosem zły umysł zdrzął, cofnął się. Nie śmiał jednak iść dalej za nim, czując moc głównego przeciwnika. Ten zaczął nagle błagać, obiecywać.

Dołącz do nas. Jesteśmy z tego samego rodzaju. Połączmy siły i zapanujmy nad tymi bydłętami, wtedy nikt nam się nie przeciwstawi!

Udawał, że tego słucha, lecz nie opuszczał osłony. Miał w zanadrzu jeszcze jeden, bardzo niebezpieczny ruch, którego dotąd nie wypróbował. Był to jednak ruch ostatni, jakim dysponował.

Opuścił osłonę, na mgnienie oka. Z triumfalnym pomrukiem zły umysł ruszył naprzód. Pozwolił mu na to. Kiedy zaszedł zbyt głęboko, by móc szybko się wycofać, zaatakował, okrążył go, osaczył i zmiażdżył. Rozległ się mentalny krzyk i zło zniknęło, jakby nigdy nie istniało.

Pozostał ten drugi, ten, który prosił i obiecywał. Nadal czekał na jego odpowiedź. W momencie zwycięstwa ruszył na Kartra. Uderzył ze zdwojoną siłą, wykorzystując ostatnie rezerwy. Sierżant wiedział, co będzie dalej.

Walczył rozpaczliwie, choć wynik tego starcia był z góry przesądzony. Bariera załamała się, a przeciwnik pijany zwycięstwem wdarł się do jego woli i opanował ją całkowicie.

Ciało Kartra stało mu się posłuszne.

Sierżant maszerował sztywno ciemnym korytarzem z miotaczem w dłoni i palcem na spuście. Wiedząc do czego będzie zmuszony, jęczał z bólu w głębi duszy.

Kąśliwe płomienie omiatały przedpole. Szedł tam, gdzie mu kazano - do szalupy zwiadowców. Wbrew własnej woli przedzierał się do niej, kryjąc za naturalnymi osłonami.

Widział padających buntowników i słyszał chrapliwe okrzyki radości tych, którzy szli za nim. Rebelia upadała, a on strzelał do swoich przyjaciół.

Od szalupy dzielił go jeden sus. Ten, w którego władzy się znalazł, nakazał mu go wykonać. Dwaj wojownicy ukrywający się za nią patrzeli na Kartra oczami szeroko rozwartymi ze zdumienia. Znał ich, ale musiał opuścić ramię i strzelić. Kiedy wdrapał się za stery, ciągle słyszał przepełniony zawodem i rozpaczą jęk, który wyrwał się z potężnych kłóć bliższego z nich.

Czując w głowie wirowanie, ochłonął nieco pod wpływem wstrząsu, jaki wgniół go w fotel przy zbyt raptownym starcie. Ten, kto zawładnął jego umysłem, sam ustalił kurs. Szalupa spiralnie wzbijała się wysoko, coraz wyżej, wleciała w mroczną kopułę i dotknęła balustrady balkonu zawieszzonego ponad głowami walczących, skąd ten drugi wskoczył na tylne siedzenie.

Opuścili kopułę i na maksymalnej szybkości pruli nad miastem, w kierunku horyzontu widocznego jako szara smuga, zwiastując zbliżający się poranek. Choć wykonywał rozkazy, nie zaprzestał oporu. Był to bezgłówny pojedynek nieruchomych postaci, prowadzony ponad starożytnym miastem; wola przeciw woli, moc przeciw mocy. Kartr zaczął odnosić wrażenie, że pewność siebie zaczynała opuszczać przeciwnika, że bronił się jedynie pragnąc zachować to, co dotąd osiągnął, zamiast wzmacniać swą władzę.

Jak to się zakończyło? Kto wygrał tę podniebną walkę? Kartr oparł obolałą głowę o głaz na brzegu potoku i usiłował to sobie przypomnieć. Na próżno. Pamiętał tylko, że... zastrzelił Zingę! Że bezpiecznie wywiózł Cummiego z miasta. Przez zbytnią wiarę we własne siły zdradził tych, którzy mu tak ufali. Uświadomiwszy to sobie, zamknął oczy i spróbował wszystko wymazać - wszystko!

Wyczerpany wspomnieniami musiał znów usnąć, bo kiedy ponownie rozwarł powieki, oślepił go blask słońca odbity od powierzchni wody. Poczłł głód. Właśnie to uczucie obudziło instynkt samozachowawczy, który wcześniej ściągnął go nad wodę. Ręce miał nadal powolne i niezgrabne, ale zdołał chwycić stworzenie, które nieostrożnie wyszło spod kamienia. Kiedy je odwrócił, znalazł jeszcze kilka podobnych.

Pod wieczór wstał i na chwiejnych nogach ruszył wzdłuż strumienia. Kiedy znów upadł, nie próbował się podnieść. Może to był sen, ale głos Zingi przywrócił mu przytomność umysłu. Zbudzony, boleśnie odczuł swe osamotnienie. Zinga zniknęła. Wbił palce w powieki, lecz nie był w stanie zetrzeć wspomnienia twarzy Zacathanina padającego po strzale z miotacza.

Najlepiej nigdzie się stąd nie ruszać. Zostać tu, aż do przejścia do świata, gdzie wspomnienia przestaną go ścigać. Był tak zmęczony!

Jednak ciało nie godziło się na takie rozwiązanie; czołgając się na łokciach, ruszał w dalszą drogę. Strumień wyprowadził go na rozległą równinę, gdzie wysoka, pożółkła trawa czepiała się jego nóg, a małe bezimienne zwierzęta z piskiem ustępowały mu miejsca. W końcu, strumień połączył się z rzeką, szeroką i płytką na tyle, że zachodzące słońce oświetlało suche wierzchołki głazów zalegających w jej nurcie.

Na brzegu zaczęły pojawiać się podmyte stromizny. Wszedł na nie i ześlizgiwał w dół, aż stracił wszelką rachubę czasu. Nie śmiał jednak porzucić wodnego traktu; był zbyt dobrym źródłem pożywienia.

Leżał rozciągnięty na skale, przy zakolu, próbując wyłowić jedno z wodnych stworzeń, kiedy coś usłyszał. Krzyknął. Ktoś lub coś próbowało nawiązać kontakt mentalny! Uniósł dłonie do głowy, jakby chroniąc ją przed drugim wezwaniem.

Nie udało mu się to jednak - wezwanie powtórzyło się. Nie mógł obronić się przed obcym, który wszedł w niego, zadając pytania, stawiając żądania - Cummi! Cummi znów próbował nim zawładnąć, wykorzystać!

Kartr zsunął się ze skały zdzierając do krwi skórę z ramienia i nie zastanawiając się ani chwili zaczął biec. Uciec! Uciec jak najdalej od Cummiego!

Jednak umysł nie przestawał go śledzić, nie był w stanie od niego się uwolnić. Znalazł wąski jar odchodzący od rzeki, porośnięty dziką różą i podsypyany piaskiem naniesionym przez deszcze. Nie zważając na kolczaste krzewy rzucił się w gąszcz. U szczytu znalazł niewielką jamę zakrytą od góry płatem darni. Bez namysłu wczołgał się pod tę osłonę, jak dziecko chowające się przed bajkowym potworem. Zwinął się w kłębek i zakrył głowę ramionami, starając się wyłączyć swój mózg i postawić osłonę, której łowca nie przeniknie.

Z początku słyszał jedynie rozpaczliwe bicie własnego serca, później doszedł jeszcze jakiś dźwięk - świst statku powietrznego. Kontaktujący umysł znajdował się coraz bliżej. Sam nie wiedział czego się aż tak boi - chyba że było to wspomnienie siły, która zmuszała go do zabijania własnych ludzi. To, co raz udało się Cummiemu, może powieść się raz jeszcze.

Ten strach był najlepszym sprzymierzeńcem przeciwnika. Lęk osłabiał kontrolę. Lęk...

Z twarzą zakrytą rękami i ustami spoczywającymi na zwirowym podłożu kryjówki Kartr przestał walczyć i skupił się na wyciszeniu własnego strachu.

Doszedł do niego słaby odgłos czyjegoś krzyku, trzask łamanych gałązek. Cummi zbliżał się do jamy!

Zza zaciśniętych warg zwiadowcy wyrwał się głuchy pomruk. Delikatnie wysunął się z ukrycia. Dłonią wymacał poszarpany okruch skalny. Był tropiony jak zwierzę, lecz to zwierzę nie zamierza poddać się bez walki! Acturianin może nie spodziewać się fizycznego oporu, może wciąż sądzić, że jego ofiara kuli się gdzieś czekając na swego pana.

Kartr ostrożnie usadowił się tak, żeby poczuć za plecami oparcie skał jaru. Jego kamienna broń wyglądała dość solidnie. Podrzucił ją lekko w dłoń. Była odpowiedniej wagi i rozmiarów, z groźnie wyglądającymi, postrzępionymi występami.

- Kartr!

Jedyną odpowiedzią, na jaką się zdobył, było warknięcie osaczonego zwierzęcia.

Jego imię! Cummi śmiał wołać go po imieniu! Arcturianin starał się także nadać swojemu głosowi inne brzmienie. Chce go zmylić. Cóż to za przemyślane zagranie! Jedyne zupełnie spaczony umysł mógłby wymyślić coś takiego.

Dwie postaci przedarły się przez krzewy tuż przed nim. Kamień wypadł mu z dłoni.

Czyżby Arcturianin zdołał zapanować nad jego wzrokiem? Czy mógł sprawić, żeby widział...

- Kartr!

Wtulił się w skałę. Uciekać, uciekać za wszelką cenę... Jednak droga ucieczki była zamknięta.

- Cummi...? - Niemal pragnął wierzyć, że był to kolejny trick Arcturianina, że tak naprawdę nie widział tej dwójki zbliżającej się ku niemu, uśmiechniętej dwójki w szarych mundurach patrolu. - Kartr! Nareszcie cię znaleźliśmy!

Oczywiście, znaleźli go. Dlaczego nie wyciągną miotaczy i nie zastrzelą go na miejscu? Na co czekają?

- Strzelajcie! - Wydawało mu się, że krzyknął to na głos. Jednak ich twarze nie zmieniły się ani na jotę. Zbliżali się coraz bardziej. Czuł, że nie zniesie dotyku ich dłoni.

- Kartr? - spytał kolejny głos gdzieś z góry.

Drgnął na jego brzmienie jak rażony sztyletem. Trzecia postać w stroju zwiadowcy przedarła się przez krzaki. Na widok jej twarzy sierżant wydał z siebie rozpaczliwy okrzyk. Coś wybuchło w czaszce Kartra, zapadł się w ciemność, w dawno oczekiwaną, chroniącą ciemność, gdzie martwy człowiek nie mógł się poruszać ani witać innych z uśmiechem. Pogrzeżył się w nią z uczuciem prawdziwej ulgi.

- Kartr?

Nieżywy wzywał go nadal, lecz on czuł się bezpieczny w mroku i nie odpowiadał. Nikt nie mógł go wyciągnąć ze schronienia i zmusić do stawienia czoła szaleństwu.

- Co się z nim dzieje? - spytał ktoś.

Leżał cicho w ciemności, bezpieczny i spokojny.

- Musimy sprawdzić. Weźmiemy go do obozu. Uważaj, Smitt. Trzeba go przypiąć do noszy, może się z nich wyrwać.

- Kartr! - szarpano go, szturchano. Z wysiłkiem zacisnął wargi, rozluźnił ciało, by stało się ciężkie i bezwładne. Ten upór zapewnił mu w końcu pewną ochronę. Pozwolono mu spoczywać w ciemnościach.

Powoli zaczynał zdawać sobie sprawę z ogarniającego go ciepła, kojącego komfortu. Tak, jak przy pierwszym przebudzeniu w głuszy, leżał spokojnie i czuł, jak życie wraca do umęczonego ciała. Czuł na nim poruszające się ręce, omijające na wpół wygojone rany i pozostawiające za sobą odświeżający chłód i ulgę.

- Myślisz, że zwariował?

Te słowa przebiły się przez ciemną zasłonę. Nie chciał sprawdzić, kto je wypowiedział.

- Nie. To coś innego. Możemy jedynie się domyślać, co ten szatan z nim zrobił. Może wszczepił mu jakieś fałszywe wspomnienia, kto wie? Sam widziałeś jak się zachowywał, kiedy zaczęli walczyć. Jest cała masa sztuczek, jakie jeden wrażliwiec może przygotować dla drugiego. W pewnym sensie jesteśmy o wiele bardziej narażeni na niebezpieczeństwo niż wy, którzy nie próbujecie wyjść poza granice zdrowego rozsądku.

- Gdzie jest Cummi? Chciałbym... - w tych słowach mieściła się zimna, śmiertelna obietnica i coś jeszcze, z czym Kartr zgadzał się na tyle, żeby opuścić bezpieczny mrok.

- Wszyscy byśmy chcieli! Zrobimy to, wcześniej czy później!

Jego wargi zacisnęły się w zdecydowanym grymasie. Poczuł, jak ślina napływa mu do ust, aż musiał ją przełknąć. Oparzyła mu przetyk i rozlała się ogniem po żołądku.

- Więc udało ci się go odnaleźć? - nowy przybysz zareagował na jego okrzyk.

- Haga Zicti! Czekaliśmy na pana, sir. Może pan zaproponuje jakąś kurację?

- No dobrze, cóż my tu mamy? Nie widzę poważnych ran.

- Problem mieści się tutaj. - Czyjeś palce dotknęły czoła sierżanta. Skurczył się pod tym dotykiem. W pewnym sensie poczuł się zagrożony.

- O to więc chodzi, co? Można było się tego spodziewać. Fałszywe wspomnienia, albo też...

Uciekał, uciekał przez mrok, lecz pościg był tuż, tuż, próbowali nad nim zapanować, zmusić go... Z jękiem bólu Kartr ponownie znalazł się w hallu, naprzeciw Cummiemu i Canhouna i znów przeżył upokarzającą porażkę i morderczy zamach na własnych przyjaciół.

- A więc Cummi go opanował! Musiał skorzystać z innych umysłów, żeby osiągnąć taką moc.

Cummi! W głębi duszy Kartra rozgorzał gniew, przewyciężył pokłady wstydu i rozpacz - Cummi! Trzeba stawić czoło Arcturianinowi - stawić czoło i wreszcie go pokonać. Jeśli tego nie osiągnie, już nigdy nie będzie mógł czuć się czysty. Zresztą, czy nawet to przyniesie mu jakąś ulgę? Zawsze pozostanie to wspomnienie, kiedy strzelił Zindze prosto w twarz.

- Przejął władzę. - Nie wiedział, czy rzeczywiście wypowiedział te słowa, czy też pobrzmiwały nieustannie w obolałej głowie. - Zabiłem, zabiłem Zingę...

- Kartr! Wielkie nieba, o czym on gada? Ty zabiłeś...

- Opisz moment zabójstwa. - Nie mógł przeciwstawić się ostro wypowiedzianej komendzie.

Zaczął mówić, powoli, z trudem, coraz szybciej, jakby chciał poddać się leczniczemu działaniu słów. Walka o szalupę, ucieczka, przebudzenie w dzikiej głuszy, opowiedział wszystko.

- Ależ... to czyste szaleństwo! On tego nie zrobił! - zaprotestował nieznajomy głos. - Widziałem to, a także ty i ty! Przeszedł przez pole bitwy, jakby nikogo z nas nie dostrzegał; wsiadł do szalupy i odleciał. Może to i prawda, że zabrał Cummiego, jeśli tak twierdzi, jednak reszta... to szalone!

- Fałszywe wspomnienia - powiedział ktoś z przekonaniem. - Cummi wszczepił je do jego pamięci. Chciał wytworzyć poczucie winy, żeby Kartr trzymał się z dala od nas, nawet jeżeli wymknie się spod jego kontroli. To proste...

- Proste! Ale przecież Kartr sam jest wrażliwy, sam potrafi coś takiego zrobić. Jak mógł się dać na to nabrać?

- Właśnie dlatego, że jest wrażliwy. Oni są wrażliwi w obie strony - wysyłają i przyjmują sygnały. Zresztą, mniejsza z tym. Kiedy już wiemy, co mu jest...

- Możesz go wyleczyć?

- Spróbujemy. Jakies blizny mogą pozostać na zawsze. Wszystko zależy od tego, jak dobry był Cummi.

- Cummi! - To słowo zostało niemal wypłute, jak najgorsze przekleństwo.

- Tak, Cummi. Jeżeli uda nam się skierować wolę Kartra na spotkanie... Cóż, zobaczymy. Czyjaś dłoń dotknęła jego czoła, łagodnie, kojąco.

- Spij - zasypiasz - śpisz.

Rzeczywiście poczuł pewną ulgę i senność, jakby ktoś zdjął z niego część ciężaru. Zasnął.

Przebudzenie było gwałtowne. Zobaczył nad sobą pochyły strop ze splecionych gałęzi i liści. Musiał leżeć w szałasie, jaki zwiadowcy budowali na tymczasowym biwaku. Ciało okrywał mu koc z przędzy uzakiańskiego pająka, będący standardowym wyposażeniem. Odwrócił głowę w stronę płonącego ognia. W powietrzu wisiała wilgotna mgiełka zamazująca kontury drzew za ogniskiem.

Ktoś wyłonił się z mgły i dorzucił do ognia naręcze drew.

- Zinga!

- W całej okazałości! odpowiedział mu Zacathanin wesoło.

- Więc to naprawdę były fałszywe wspomnienia. - Kartr wciągnął powietrze i wypuścił je z westchnieniem niewymownej ulgi.

- To było największe kłamstwo, jakie kiedykolwiek ci się przyśniło, przyjacielu. Jak się teraz czujesz?

Kartr przeciągnął się leniwie. - Wspaniale. Mam do was masę pytań...

- Na które odpowiemy sobie później. - Zinga wrócił do ogniska i wziął kubek stojący na płaskim kamieniu tuż przy ogniu. - Najpierw wypij to.

Kartr skosztował napoju. Był to pożywny, smacznie przyprawiony bulion. Uśmiechnął się. Poczul naprężenie mięśni, których dawno już nie używał. - Znakomite. Chyba wyczuwam tu delikatną rękę kucharza imieniem Fylh.

- Faktycznie coś przy tym kombinował, mieszał i dorzucił jakieś zielsko. Wypij do końca.

Kartr trzymał kubek w dłoniach popijając małymi łydkami, kiedy w blasku ognia pojawiła się inna postać. Sierżant otworzył usta ze zdumienia. Przecież Zinga siedział obok niego. Na tarnuzjańskie diabły, kto to był?

Zinga dostrzegł zdumienie dowódcy i uśmiechnął się szeroko. - Nie, nie sklonowałem się - powiedział. - To Zicti, oczywiście również z Zacan. Jest historykiem, nie zwiadowcą.

Gadokształtny człowiek podszedł do szalasu. - A więc obudziłeś się wreszcie, mój młody przyjacielu?

- Obudziłem się - Kartr uśmiechnął się - i znów jestem przy zdrowych zmysłach. Przynajmniej tak mi się wydaje. Będę jeszcze potrzebował nieco czasu, żeby wszystko sobie poukładać, oddzielić fałszywe wspomnienia od prawdziwych. Wszystko się trochę poplątało.

Zinga pokręcił głową. - Nie zajmuj się tym zbyttnio, dopóki nie odzyskasz pełni sił.

- Tylko jedno pytanie: skąd się tu wzięłeś?

- Och, byłem pasażerem X451, razem z moją rodziną.

Wczoraj dołączyliśmy do waszych sił, a właściwie, to zwiadowcy znaleźli nas wcześniej rano.

- Co się stało z miastem, kiedy je opuściłem?

Pazur Zingi poskrobał łuskowatą szczękę. - Postanowiliśmy je zostawić, gdy walki się skończyły.

- Żeby mnie odnaleźć?

- To też, ale mieliśmy również inne powody. Smitt i Dalgre trafili na statek zbudowany przez dawnych mieszkańców. Dowiózł nas dotąd i wysiadł. Ciągłe nad nim pracują, łudząc się, że zdołają go ponownie poskładać do kupy.

- Smitt i Dalgre?

- Tak. Patrol wycofał się w całości. Wydawało się, że to najlepsze rozwiązanie.

- Hmm - Kartr zastanawiał się nad znaczeniem słów Zingi. Więc jednak nastąpiły jakieś zmiany. Nagle zapragnął dowiedzieć się jakie i ile.

ROZDZIAŁ XII - KARTR RUSZA W POŚCIG

Trzy osoby w mundurach patrolu siedziały przykucnięte przy ognisku. Kartr podniósł się nieco i siedział wyprostowany, oparty o zwinięte śpiwory. Obserwował uważnie całą resztę.

- Nie powiedzieliście mi jeszcze - zdecydował się wreszcie przerwać niemal grobową ciszę - dlaczego opuściliście miasto.

Nikt z całej trójki nie podniósł głowy. W końcu Smitt zdecydował się na odpowiedź. Zabrzmiiała niemal wyzywająco.

- Byli wdzięczni za usunięcie Cummiego i jego ludzi. Kartr czekał dłuższą chwilę na dalsze wyjaśnienia, ale technik najwidoczniej uznał, że to musi mu wystarczyć.

- Bardzo ładnie z ich strony - dodał Dalgre po długiej pauzie, z wyraźną goryczą w głosie.

- Uznali - Zinga podjął się dalszych wyjaśnień - że nie chcą zamieniać jednego oficjalnego władcy na drugiego. Dali nam wyraźnie do zrozumienia, że patrol nie powinien próbować zająć miejsca Cummiego. Tak więc staliśmy się niepożądanymi, szczególnie zwiadowcy.

- Tak, postawili sprawę jasno - Smitt nie potrafił ukryć ogarniającego go gniewu. - Wojna skończona, żołnierze mogą odejść - oto zwykłe myślenie cywili. W ich oczach staliśmy się elementem niosącym zagrożenie. Więc Cięliśmy jeden z pojazdów z miasta i odlecieliśmy.

- Co z Jaksanem?

- Gonił lotnika, który spalił Dowódcę. Kiedy ich Później znaleźliśmy, obaj nie żyli. Jesteśmy ostatnimi przedstawicielami patrolu, nie licząc Roltha i Fylha, którzy badają teren.

Nie rozwodzili się dłużej nad tą historią i Kartr rozumiał tę niechęć. Może dla rozbitków z miasta, którzy zakosztowali twardej ręki Cummiego, patrol stał się zbyt potężnym symbolem starego porządku. Dlatego musieli odejść zaraz po władcy, przeciw któremu się zbuntowali. Wyłoniła się z tego jedna niezaprzeczalna korzyść - przestali się dzielić na załogę i zwiadowców. Wszyscy stanowili patrol, a drugie wygnanie scementowało więzi między nimi.

- Wracają nasi rybacy! - Zicti, ogrzewający się dotąd przy ogniu wstał, żeby przywitać trzy postacie wychodzące z lasu. - Dopisało wam szczęście, kochani?

- Położyliśmy niebieską lampę Roltha na brzegu, a stworzenia się nią zainteresowały, dlatego wracamy obładowani - odpowiedział nieco wyższy głos zacathańskiej samicy. - To naprawdę przebogaty świat. Zor, pokaż ojcu to uzbrojone zwierzę, które znalazłeś pod skałą.

Najniższy z trójki wbiegł w krąg światła ogniska trzymając w jednej ręce wierzgające stworzonko z wieloma nogami i potężnymi szczypcami. Zicti chwycił je uważając, żeby nie dać się złapać szczypcom i obejrzał je dokładnie.

- Strasznie dziwne! Wygląda na odległego kuzyna Poltorian, ale nie jest inteligentne.

- Chyba żadne z wodnych zwierząt nie jest - zgodziła się z nim żona. - Ale powinniśmy raczej się z tego cieszyć - to świetne jedzonko!

Kartr widział dotąd niewiele zacathańskich kobiet, lecz długa przyjaźń z Zingą przyzwyczaiła go do różnic w wyglądzie między mieszkańcami tej planety a ludźmi. Mógł się też domyślać, że zarówno Zacita, jak i jej młoda córka, uchodziły za piękności wśród współplemieńców. Natomiast Zor był takim samym dzieciakiem jak wszystkie w jego wieku i cieszył się każdą chwilą obozowego życia w tym dzikim zakątku.

Zacita wdzięcznym gestem poprosiła wszystkich, by usiedli. Kartr zauważył, że Smitt i Dalgre wstali na powitanie zacathańskich dam równie szybko jak pozostali. Ich odczucia na temat Bemmych z całą pewnością uległy zmianie.

Następnego ranka Kartr zbudził się wcześniej. Leżał przez dłuższą chwilę utkwivszy wzrok w liściastym dachu nad głową. Coś nie dawało mu spokoju. Zacisnął usta w wąską, prostą linię. Wiedział już, co musi zrobić i to jak najszybciej. Przedtem jednak wysunął się ze śpiworu. W ciszy uśpionego obozu słyszał nieodległy pomruk rzeki.

Początkowo nieco chwiejnie, potem już coraz pewniejszym krokiem przeszedł na jej brzeg. Woda była na tyle chłodna, że na chwilę zaparła mu dech w piersiach, lecz szedł po piaszczystym dnie, aż nurt porwał go w swe objęcia.

- Młodzi mają niesamowitą energię i zdolności regeneracyjne!

Basowy głos został zagłuszony przez głośny plusk. Kartr wynurzył się w momencie, kiedy Zor minął go na pełnej szybkości. Zicti ostrożnie zsuwał się po stromej skale do rzeki.

Dostojny Zacathanin puścił oczko do sierżanta. Dwoma ruchami ramion Kartr dopłynął do niego.

- To dość prymitywne, proszę pana.

Dawny profesor historii Galaktycznego Uniwersytetu Zovanty zadrzał, lecz odpowiedział mu spokojnie:

- Czasami to dobrze robi wyrwać się z wygodnej rutyny cywilizowanego życia. My Zacathanie, nie jesteśmy tak fizycznie delikatni, jak wy, ludzie. Moja rodzina traktuje obecną

sytuację jak najwspanialsze wakacje. Odkryli, że mają większą wyobraźnię, niż się sami po sobie spodziewali. Na przykład Zor - nigdy nie widziałem go tak szczęśliwego - uśmiechnął się szeroko spoglądając na małe, pokryte łuskami ciało przecinające nurt rzeki w pogoni za jakimś stworzonkiem.

- A jednak to nie są wakacje, proszę pana.

Duże, poważne oczy Zictiego spotkały wzrok Kartra. - Tak, trzeba brać to pod uwagę. Wyznanie na stałe...

Spojrzał w bok, ponad skały, za spienioną wodę rzeki, na splątaną zieleń dzikiej puszczy. - Cóż, przynajmniej jest to bogaty świat, wielki i pusty - dużo w nim miejsca...

- Jest też miasto, częściowo działające - przypomniał mu Kartr.

W tej samej chwili poczuł ciepłą falę spokoju, mentalnego bezpieczeństwa, którego nie czuł niewiadome już od jak dawna. Zicti nie odpowiedział mu prawdziwą mową umysłu, lecz w inny, sobie specyficzny sposób.

- Sądzę, że ci, co pozostali w mieście, muszą mieć prawo samodzielnie wypracować swój los - powiedział wreszcie historyk. - Myśląc racjonalnie, ten wybór jest obecnie ucieczką. Chcą, aby życie pozostało takim, jakie zawsze było. Tak jednak nigdy się nie dzieje. Życie ma swoje wznosy, wówczas następuje postęp, i upadki, a wtedy się cofamy, uciekamy. Jeśli natomiast ktoś próbuje zatrzymać się w miejscu, to również jest to cofanie się. Wybrali drogę, którą teraz podąża nasze całe imperium. Przez ostatnie stulecie powoli cofaliśmy się w przeszłość.

- Dekadencja?

- Właśnie. Weźmy na przykład coraz silniejszą niechęć do tych z nas, którzy nie są ludźmi. I ta niechęć stale wzrasta. Na szczęście my, Zacathanie, jesteśmy wrażliwcami, jesteśmy przygotowani na sytuację, jak ta, kiedy X451 spadł na tę planetę.

- A co wtedy zrobiliście? - spytał Kartr wyrwawszy się z zamyślenia.

Zicti zaśmiał się cicho. - Wylądowaliśmy tak, jak wy - w szalupie. Dostrzegliśmy obiecujący fragment dzikiego terenu i zwialiśmy. Zanim ochłonęli, widząc jak wylatujemy lukiem ratunkowym, znaleźliśmy się poza ich zasięgiem. Jednak, gdybyśmy w porę nie wyczuli intencji Cummiego, sprawy mogłyby potoczyć się zupełnie inaczej.

Ruszyliśmy ku temu miejscu i założyliśmy obóz. Muszę się panu przyznać, sierzancie, że nic na tej planecie nie zdumiało mnie tak, jak przypadkowy kontakt z Zingą. Nie wyobrażałem sobie, że spotkam tu jakiegoś Zacathanina! To było, jakbym stanął twarzą w twarz z sootaclem, w dodatku nieuzbrojony! Jednak, kiedy połączyliśmy się z pańskim

oddziałem, wszystko się wyjaśniło. Właśnie pana szukali. Muszę przyznać, że cieszy się pan wielkim szacunkiem, Kartr.

Po raz drugi fala ukojenia i bezpieczeństwa ogarnęła umysł sierżanta. Zacerwienił się. - A potem, kiedy mnie znaleźli...

- Tak, kiedy pana znaleźli, to cóż, załadowali na szalupę i przywieźli tutaj. Pańska przygoda nauczyła nas wszystkich jednego - zawsze trzeba doceniać przeciwnika. Nigdy bym nie uwierzył, że Cummi jest zdolny przeprowadzić taki atak. Na szczęście nie był na tyle silny, jak sądził, inaczej nie byłby pan w stanie uciec spod jego władzy po opuszczeniu miasta.

- Ale czy rzeczywiście to zrobiłem? - twarz Kartra była posępna. - Pomimo pańskiej terapii nie pamiętam co się stało od wylotu z miasta. Ocknąłem się sam w puszczy.

- Uważam, że uciekł mu pan - powiedział Zicti. - Dlatego zastosowałem kompulsywne myślenie. Ale rozważmy wszelkie fakty - wy, ludzie z Ylene, osiągnięcie sześć koma sześć na skali wrażliwości, nieprawdaż?

- Tak. Ale Arcturianie nie powinni przekraczać pięć koma dziewięć.

- To prawda. Jednak ostatnio coraz częściej pojawiają się mutanty. Wydaje się, że nadszedł ich czas. Szkoda, że niewiele wiemy o pochodzeniu Cummiego. Jeżeli naprawdę jest mutantem, wiele spraw by się wyjaśniło.

Czy mógłby mi pan powiedzieć - poprosił Kartr Jakie wartości osiągają na skali Zacathanie? Wielkie oczy skierowały się ku niemu. - Celowo nigdy nie poddawaliśmy się klasyfikacji, młodzieńcze. Najlepiej zachować pewne sprawy w tajemnicy, szczególnie w kontaktach z niewrażliwymi. Umieściłbym nas gdzieś między osiem a dziewięć. Mamy wśród nas paru Telów - kombinację telepatów i teleporterów. Ponadto, wielu z nas zbliża się do tej granicy w ostatnich pokoleniach. Dlatego jestem pewien, że jeśli ilość mutacji wzrosła wśród moich ziomków, inne rasy muszą podlegać podobnym przemianom.

- Mutanci - powtórzył Kartr i zadrżał mimo woli.

- Byłem na Kablo, kiedy Pertavar rozpoczął bunt mutantów.

- Więc zdaje pan sobie sprawę do czego może prowadzić taki przyrost ich liczby. Wszelkie zmiany mają swoje dobre i złe strony. Proszę mi powiedzieć, gdy był pan dzieckiem, wiedział pan, że należy do wrażliwców?

Kartr potrząsnął głową. - Nie. Nie zdawałem sobie sprawy z moich możliwości, dopóki nie wstąpiłem do szkoły zwiadowców. Jeden z instruktorów odkrył je i przeszedłem specjalne szkolenie.

- Był pan więc uśpionym wrażliwcem. Ylene była planetą z pogranicza. Jej mieszkańcy znajdowali się zbyt blisko barbarzyńców, żeby znać swą pełną moc. Jaka szkoda, że tak żywotny świat został bezpowrotnie utracony! Grzechy wojny. Właśnie przez to, że takie tragedie jak zniszczenie Ylene zdarzają się teraz zbyt często, jestem przekonany, że nasza cywilizacja zbliża się do końca. My tu, w obozie, stanowimy dziwną mieszankę. - Wyszedł z wody i wytarł się do sucha. - Zor, czas wracać! - krzyknął do syna.

- Tak, jesteśmy dziwną mieszanką, zbiorem skrajności naszego imperium. Pan, Rolth, Smitt i Dalgre jesteście ludźmi, a jednak należycie do znacznie różniących się między sobą ras. Fylh, Zinga i moja rodzina, nie jesteśmy ludźmi. Ci, co pozostali w mieście to ludzie i to wysoce cywilizowani. Poza tym, kto wie, może są tu gdzieś istoty od początku zamieszkujące ten świat. Można by niemal nabrać przekonania, że Ktoś lub Coś, zamierza przeprowadzić tu jakiś eksperyment. - Zaśmiał się łagodnie i pociągnął nosem. - Czuję jedzonko, a jestem naprawdę głodny! Pójdziemy sprawdzić zawartość kociołka?

Zanim doszli do ogniska, Zicti dotknął ramienia Kartra.

- Chciałbym jeszcze coś dać panu do przemyślenia. Niewiele wiem o pańskiej rasie, może nie jest pan mistykiem, choć większość wrażliwych jest skłonna spoglądać w głąb i poza ciałem dostrzegać i ducha, może być pan pozbawiony uczuć religijnych. Jednak mimo to, jeżeli rzeczywiście zostaliśmy wybrani do wykonania jakiegoś zadania, od nas tylko zależy udowodnienie, że wybór był słuszny.

- Zgadzam się z tym całkowicie. - Kartr był pewien, że stary Zacathanin wierzył w szczerą deklarację.

Historyk pokiwał głową. - Świetnie. Mam zamiar cieszyć się życiem, jakie mi jeszcze pozostało. Pomyśleć, że zdarzyło się to akurat, kiedy już myślałem, że nic ciekawego mnie nie czeka. Kochanie - krzyknął na widok żony - ten zapach jest cudowny. Czuję się coraz bardziej głodny!

Kartr jadł bez apetytu. Zictiemu łatwo postrzegać ich sytuację w tak jasnych kolorach. Historycy byli szkoleni, żeby widzieć całokształt sytuacji, nie zajmować się detalami. Zwiadowców przygotowywano w dokładnie odwrotny sposób, najważniejsze były drobne szczegóły - staranne zbadanie nowej planety, długie godziny obserwacji dziwnych istot i zwierząt, spekulatywne odbudowywanie zaginionych cywilizacji na podstawie kilku pozostałości. Tu i teraz stali wobec szczegółu, z którym sam musi sobie poradzić.

Musi unieszkodliwić Cummiego!

Ta myśl prześladowała go od przebudzenia, majaczyła w snach, a teraz skryształizowała się ostatecznie w silne postanowienie. Musi odnaleźć Arcturianina, żywego

czy marnego. Jeżeli Joyd Cummi nadal przebywał wśród żywych, stanowił śmiertelne zagrożenie dla wszystkich.

To dziwne, Kartr potrząsnął głową jakby chciał odzyskać Jasność umysłu, że ta myśl tak bardzo go prześladowała.

Cummi stanowił niebezpieczeństwo. Tylko on mógł sobie z nim poradzić. Na szczęście Arcturianin nie był przygotowany do życia w dziczy. Musi zostawiać za sobą ślady, które nawet dziecko mogłoby odczytać. Byli razem po wyjeździe z miasta. W nocy gdzieś się rozdzielili. Czy Cummi wyrzucił go z szalupy w ciemnościach, mając nadzieję, że upadek go zabije? Gdyby tak było, trudno będzie go zlokalizować, na niebie nie pozostają ślady. Trzeba wrócić na skalną półkę, gdzie odzyskał przytomność.

- To dziesięć, może piętnaście mil na północ.

Sierżant drgnął na dźwięk słów wydobywających się z cienkich ust Zingi.

- Nie pójdziesz tam sam, Kartr.

Zesztywniał, lecz Zinga wiedział, co chciał powiedzieć zanim zdążył przełożyć myśli na słowa.

- To moje zadanie.

- Jasne. Ale nie wyruszysz sam. Mamy szalupę - zaoszczędzi nam masę czasu. Można też z niej szukać śladów Cummiego.

Brzmiało to rozsądnie i logicznie, tym trudniej było się sprzeciwić. Kartr wolałby samodzielnie opuścić obóz i iść pieszo. Czuł, że Cummi był sam i że nie zazna spokoju, dopóki go nie dopadnie i zwycięży.

- Odpocznij jeszcze j eden dzień - poradził Zinga - wtedy, obiecuję, ruszymy. To bardzo ważna sprawa.

- Nie wszyscy mogą tak uważać. Jest sam w puszczy, o której niewiele wie. Dzikie zwierzęta mogły już za nas go załatwić.

- Ale to jednak Cummi. Zagrożenie będzie nad nami wisiało, aż nie przekonamy się na własne oczy, co się z nim stało. Czy Zicti ci powiedział, że uważa go za mutantą? Pamiętasz przecież Pertavara, do czego był zdolny. Cummi nie ma szans w drugim starciu z tobą!

Kartr uśmiechnął się do Zacathanina uśmiechem, w którym było nie więcej niż dziesięć procent humoru. - Wiesz, przyjacielu, chyba masz rację w tym punkcie. Tym razem nie sędzę, żebym przecenił własne siły, jak poprzednio. Nie ma też przy nim Can-hounda ani innych pomocników.

- I bardzo dobrze. - Zinga wstał. - Pójdę przejrzeć warsztacik Dalgre'a. Dobrze będzie wiedzieć, ile mocy zachowało się w szalupie.

Wyruszyli rankiem następnego dnia. Nikt ich o nic nie pytał, choć Kartr był pewien, że wszyscy wiedzieli, po co wylatują z obozu. Szalupa ze statku pasażerskiego nie była tak zrywna jak ich własna, więc posuwali się wolniej. Zinga siedzący za sterami łagodnie prowadził ją w podmuchach wiatru nad rzekę, aż dotarli do strumienia, którego brzegiem posuwał się Kartr po odzyskaniu świadomości.

Raz po raz Zacathanin spoglądał z niepokojem na ciężkie chmury gromadzące się nad horyzontem. Zbliżała się burza i dobrze byłoby znaleźć jakieś schronienie, zanim ruszy się wichur. Nie uśmiechało mu się latanie leciutkim pojazdem podczas nawałnicy.

- Czy coś na dole wydaje ci się znajome?

- Tak. Jestem pewien, że przechodziłem przez tamtą łąkę. Pamiętam, jak przedzierałem się przez wysokie trawy. Te drzewa przed nami wyglądają obiecująco. Myślisz, że moglibyśmy się tam schować?

Zinga spojrzął raz jeszcze na chmury. - Wolałbym najpierw dotrzeć do półki, na której się ocknąłeś. Cholerny świat! Robi się coraz ciemniej. Szkoda, że nie mam oczu Jak Rolth.

Ściemniało się błyskawicznie, a pierwsze, gwałtowne podmuchy rzuciły pojazdem jak łodzią na wzburzonym morzu. Kartr wbił palce w krawędzie siedzenia.

- Zaczekaj! - krzyknął ryzykując przygryzienie języka przy kolejnym wstrząsie. W mroku dostrzegł ślad po świeżej lawinie na zboczu obok strumienia. - Chyba tu właśnie spadłem!

Przelecieli już nad tym miejscem, lecz Zinga zatoczył koło, a Kartr starał się przebić wzrokiem ciemności i jednocześnie wyobrazić sobie, jak może wyglądać okolica z punktu widzenia człowieka leżącego na skalnej półce na wzniesieniu.

Szalupa nagle skręciła w prawo i przeleciała na drugą stronę wzgórza. Zanim Kartr zdążył zaprotestować, sam dostrzegł co przyciągnęło uwagę Zingi. Wierzchołek jednego z drzew został gwałtownie ścięty, świeża rana połyskiwała trupa bielą. Zinga precyzyjnie wylądował na stoku. W innych okolicznościach taki manewr wywołałby falę pochwał ze strony sierżanta, tym razem jednak Kartr był zbyt pochłonięty myślą o tym, co może znajdować się pod strzaskanym drzewem.

Znalazł stertę połamanych gałęzi i wrak szalupy. Nikt, nawet najlepszy ekspert, nie byłby w stanie kiedykolwiek go wyremontować. Dziób pojazdu wbił się niemal pionowo w ziemię. Smutne szczątki pokrywały zwiędłe liście. Szalupa była pusta.

Zinga głośno wciągnął powietrze, oświetlając latarką roztrzaskane siedzenie.

- Nawet nie ma śladów krwi. Powstaje pytanie, czy któryś z was, albo obaj, byliście na pokładzie w czasie upadku.

Kartr potrząsnął głową wciąż oszołomiony rozmiarami katastrofy.

- Nie sądzę, chyba nikt by tego nie przeżył. Najprawdopodobniej wyrzucił mnie, a potem...

- Tak, pewnie broniłeś się, walczyłeś, aż stracił panowanie nad pojazdem i wtedy to się stało. To nam jednak nie wyjaśnia gdzie jest Cummi lub jego ciało. Żadnych śladów. Coś musiałyby pozostać, nawet jeżeli dopadłoby go jakieś mięsożerne stworzenie.

- Mógł wyskoczyć tuż przed zderzeniem - zasugerował sierżant. - Jeśli miał antygravitator przy pasie, mogłoby mu się udać.

- A więc musimy poszukać jego śladu? - Podniósł oczy ku niebu. - Obawiam się, że deszcz wszystko zaraz zmyje.

Zaczęło lać jak z cebra. Zwiadowcy wślizgnęli się pod niewielki występ skalny, dający złudzenie schronienia przed ciężkimi kroplami bombardującymi listowie. Wicher wyginał gałęzie, więc drzewa nie stanowiły żadnej ochrony przed kąśliwymi kroplami. Siedzieli skuleni, zdyszani, czując jak wilgoć wciska się pod ubranie każdym szewkiem munduru.

- To nie może trwać wiecznie - nie ma tyle wody - powiedział Kartr, lecz szum wody zagłuszył jego słowa.

Psikał i trzął się na całym ciele z zimna. Zinga pewnie miał rację - taka ulewa zmyje wszystkie ślady Cummięgo.

Nagle, jednocześnie, obaj zerwali się na równe nogi.

Doszło ich ciche, ledwie słyszalne wołanie o pomoc. Cummi? Kartr nie wierzył, że to może być on. Jednak błaganie pochodziło z ludzkiego, lub raczej inteligentnego umysłu. Wysłał je ktoś, kto z całą pewnością żył, potrafił rozumieć i znalazł się w tarapatach. Sierżant odwracał się powoli, pragnąc zlokalizować źródło wezwania. Nie można zlekceważyć wołania tak przesiąkniętego lękiem i bólem!

ROZDZIAŁ XIII - KRÓLESTWO CUMMIEGO

- Na północ - powiedział Zinga i miał rację.

- Czy szalupa to wytrzyma? Doświadczenie Kartra w posługiwaniu się lekkimi pojazdami było ograniczone w stosunku do używanych przez patrol, zaprojektowanych do lotów w ciężkich warunkach. Nie miał zbytniego zaufania do maszyny, z której musieli teraz korzystać.

Zinga wzruszył ramionami. - Nie ma to, jak nasze. Ale wiatr słabnie i na pewno nie dotrzemy tam pieszo.

W strugach deszczu przebiegli do szalupy. Dobrze było znaleźć się w jej kabinie, gdzie nie docierał deszcz. Niewielki pojazd kołysał się pod uderzeniami wichury. Wzniesć się w jej główny nurt oznaczało pozwolić dać się porwać i miotać jak zeschnięty liść.

Mimo to, nie wahali się. Zinga uruchomił promienie napędowe, Kartr próbował skontaktować się z istotą wzywającą pomocy.

Mieli trochę szczęścia. Warstwa chmur była już cieńsza i zaczęła przepuszczać nieco światła. Wiatr też jakby słabł. Pojazd zmagał się z jego podmuchami skacząc w górę, w dół i na boki, mimo rozpaczliwych wysiłków Zingi, który starał się utrzymać go na kursie. Jednak byli już na tyle wysoko, że nie musieli obawiać się uderzenia o wierzchołki drzew i podzielenia losu szalupy patrolu.

- Mam krążyć? - spytał Zinga bezgłośnie.

- Wystarczy paliwa? - Kartr pochylił się, żeby zerknąć na wskazania instrumentu na konsoli.

- Masz rację. Nie możemy sobie na to pozwolić - zgodził się Zinga. - Ćwierć tala przy tym wietrze i będziemy musieli maszerować.

Kartr nawet nie próbował przeliczyć „tala” na znajome jednostki miar. Miał pomysł.

- Znajdź jakiś charakterystyczny punkt przed nami i ląduj.

- A dalej pieszo? To może się udać. Nawet na pewno się uda, o ile przestanie padać. Masz tam swój punkt, zgoda? Zaraz tam siądziemy.

„Punkt” znajdował się o milę przed nimi - spore koło wypalanej ziemi, pokryte szerniałymi pniami drzew, spośród których nieśmiało wyrastały zielone samosiejki. Niezbyt dawno temu ten fragment lasu został wypalony. Zinga wylądował w miejscu, gdzie pni było mniej.

Jak tylko wyszli z pojazdu, wołanie o pomoc znów ich doszło. Lęk w nim zawarty stał się lepiej słyszalny. Kartr wyczuł jeszcze coś. Nie tylko oni usłyszeli wołanie. Gdzieś niedaleko znajdował się łowca, czworonogi, wygłodniały. Nie jadł już od dwóch, trzech dni. Pogorzeliśko przecinała ścieżka od lat wydeptywana kopytami i łapami, doskonale widoczna. Kartr biegł nią w stronę niemal pionowej, nagiej skały. Kamienna ściana, która kiedyś powstrzymała pożar, miała w sobie pęknięcie. Przez nie właśnie wiódł zwierzęcy szlak, prowadzący w samo serce puszczy.

Łowca coraz bardziej zbliżał się do upatrzonej ofiary. Kartr nawiązał kontakt z umysłem wzywającym pomocy. Był to człowiek, lecz nie Cummi. Obcy, ranny, osamotniony i bardzo przestraszony. Odmienny umysł.

Łowca zorientował się, że jest śledzony. Zawahał się. Kartr dosłyszał stłumiony krzyk, niewiele głośniejszy od jęku. Przedzierał się przez gęstwinę krzewów, aż stanął przed drobną, skuloną postacią przywaloną konarem złamanym przez wicher. Wpatrywała się w niego wykrzywiona bólem twarz, na pewno nie należąca do uciekiniera z miasta. Kartr rzucił się w błoto, usiłując barkiem podważyć zwalona gałąź. Nie udało mu się jednak unieść jej na tyle, by uwolnić przywalonego. Łowca czekał cierpliwie w sąsiedniej kępie krzaków.

- Jaaa... - ten narastający, przeraźliwy wrzask był wojennym okrzykiem zacathańskiego wojownika. Nad głową sierżanta błysnął promień miotacza.

Płowe, pokryte futrem ciało trafiło w połowie skoku w płomienny snop w powietrzu. Moc promienia odrzuciła go z powrotem. Napastnik był już martwy. W powietrzu rozszedł się wstrętny zapach osmalonej skóry i ciała.

Kartr nie ustawał w wysiłkach. Wygrzebywał miękką ziemię spod konaru, kiedy rozległ się chrapliwy krzyk czystego, niewytłumaczalnego strachu. Odskoczył instynktownie.

Na twarzy uwięzionego malował się wyraz czystego lęku, wykrzywając ją tak, że straciła ludzkie cechy.

Jednak co wywołało ten lęk? Wielki kot leżał martwy. Obok stał jedynie Zinga, chowający miotacz do kabury. Tylko Zinga, ależ to Zacathanin był źródłem przerażenia! Kartr nie musiał nic mówić. Zinga od razu zorientował się, co się dzieje i zniknął z pola widzenia uwięzionego. Kartr spojrzał na bezwładne ciało - tubylec stracił przytomność! No cóż, jeśli pozostanie w tym stanie jeszcze jakiś czas, łatwiej będzie go wydobyć.

Zinga ponownie wyłonił się z krzaków i razem pracowali, aż udało się im wydobyć wychudłe ciało spod ciężaru. Kartr szybko je zbadał, szukając połamanych kości.

- W porządku. Najgorsze jest to - wskazał na brzydką ranę w boku nieznajomego.

Tubylec był niesamowicie chudy. Pod skórą wyraźnie rysowały się zebra. Niski wzrost i drobna budowa ciała sugerowała, że nie osiągnął jeszcze dojrzałości. Czubek głowy chłopca pokrywała zmierzwiona, żółta czupryna, a na górnej wardze i szczęce jaśniał delikatny, puszysty meszek. Podartą odzież stanowiło okrycie bez rękawów, wykonane ze skóry jakiegoś zwierzęcia, legginsy z tego samego materiału i dziwne, przypominające worki, obuwie,

- Wygląda bardzo prymitywnie. Tubylec? - zastanawiał się Zinga.

- Albo rozbitek z innego statku.

Zacathanin przygryzł pazur. - Możliwe, ale...

- Jasne, gdyby to był rozbitek, nie przestraszyłby się tak twojego widoku.

Zacathanie byli powszechnie znani i nigdzie nie budzili strachu - nigdy nie byli narodem najeźdźców. Mimo to, Kartr dokładniej przyjrzał się przyjacielowi, jeżeli ktoś nigdy dotąd nie widział takiej postaci, pewnie mógł się przestraszyć. Zwłaszcza, jeżeli tę planetę zamieszkiwały jedynie podobne do siebie istoty. Ostre kły Zacathanina, jego pokryta łuskami skóra i grzebień na głowie zamiast włosów, na pewno wystarczyły, by wystraszyć bardziej prymitywne umysły.

Zinga pokiwał głową; czytał w myślach dowódcy i w pełni się z nim zgadzał.

- Pójdę do szalupy i nie będę mu się rzucał w oczy. Postaraj się dowiedzieć skąd pochodzi i tak dalej. Jeśli się stąd ruszycie, pójdę z tyłu. Niesamowite: ta planeta jest zamieszкана! Ciekawe, czy Cummi o tym się dowiedział.

Kartr nie potrzebował jednak zawartego w tym okrzyku ostrzeżenia. - Lepiej znikaj. Chyba przychodzi do siebie.

Powieki chłopca zadrgały i rozwarły się. Odkryły błękitne oczy. Z początku wypełniał je strach, lecz po chwili, widząc jedynie ludzką twarz Kartra, chłopak przestał się bać. Lęk ustąpił miejsca zaciekawieniu. Sierżant delikatnie wszedł w umysł chłopaka i znalazł tam to, czego szukał. Nie był to rozbitek ze statku kosmicznego, albo też, jeżeli wywodził się z galaktycznych podrózników, jego przodkowie musieli wylądować na tym zapomnianym świecie wieki temu. Żeby uzyskać całkowitą pewność, zadał pytanie w języku popularnym wśród międzygwiazdnych wędrowców.

- Kim jesteś?

Młodzieniec wyglądał na zaskoczonego, a zdumienie znów zaczęło przeradzać się w strach. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do dźwięków obcej mowy, a język międzygalaktyczny był mu najzupełniej obcy. Kartr westchnął i wrócił do najłatwiejszych metod porozumiewania się. Kciukiem wskazał siebie.

- Kartr - powiedział powoli i bardzo wyraźnie.

Niepokój pozostał, lecz ciekawość przeważała. Po chwili wahania chłopiec powtórzył gest Kartra i powiedział:

- Ord.

Ord. Może w tutejszym języku oznacza to mężczyznę, choć sierżant był bardziej skłonny uznać to za imię. Ostrożnie próbował nawiązać kontakt umysłowy. Spodziewał się wycofania, strachu, ale ku jego zaskoczeniu chłopiec zdawał się być przyzwyczajony do tego rodzaju kontaktu. Jednak nie należał do wrażliwców! Kartr wszedł głębiej, żeby uzyskać całkowitą pewność.

To mogło oznaczać tylko jedno - w przeszłości miał kontakt z wrażliwym - i to na tyle wyraźny, żeby się nie bać! Cummi! Sygnał sierżanta dotarł do Zingi. Zacathanin siedział w szalupie gotów do akcji.

Kartr zwrócił się do Orda. Układając chłopca wygodnie na łożu z drobniejszych gałęzi pod najbliższym drzewem, gdzie nie dosięgały go kłujące krople dżdżu, zabrał się do pracy. Jakiś czas później, nie zaprzestając kontaktu umysłowego i wzbogacając miejscowe słownictwo, dowiedział się, że Ord należał do plemienia prowadzącego wędrowny tryb życia w dziczy. Każde wspomnienie o mieście powodowało utratę kontaktu i prowokowało atak lęku. W pewnym sensie był to temat tabu. Owe „łśniące miejsca” były kiedyś domami „bóstw z nieba”.

- Teraz jednak bogowie powrócili - mówił Ord.

Uwaga Kartra zaostrzyła się wyraźnie.

- Bogowie powrócili?

- Tak. Jeden z nich przyszedł do nas, wybrał nasz klan, abyśmy mogli mu godnie służyć.

- Jak wygląda ten niebiański bóg? - spytał sierżant, starając się nie nadać swojemu głosowi szczególnego znaczenia.

- Jest podobny do ciebie. Jednak... - oczy Orda nagle się rozszerzyły - ty także do nich należysz! - Skrzyżowanymi palcami wskazał zwiadowcę.

Kartr nie sprzeciwił się. - Zgodnie z twoim sposobem myślenia, tak, jestem z kosmosu. Chcę tylko odnaleźć boga, który teraz jest wśród twoich ziomeków, Ord.

Chłopiec poruszył się niezgrabnie, starając się znaleźć jak najdalej od sierżanta. Opuścił rękę na zabandażowany bok i podejrzliwie obejrzał opatrunek.

- Powiedział, że znajdą się tacy, którzy będą go szukać: nocne demony, złoczyńcy. - Lęk pojawił się w jego głosie. - Kiedy się do mnie zbliżyłeś, pomyślałem, że ujrzałem jednego z nich - demona! - Mówił coraz głośniej, aż przekroczył barierę krzyku.

- Widzisz go teraz, Ord? Ja, ja sam, jestem tu z tobą. A ty mi mówisz, że jestem jednym z niebiańskich bogów, którzy wspierają twój lud...

- Jesteś albo bogiem, albo demonem. Zabiłeś ogniem cichego łowcę. Jednak, jeżeli jesteś bogiem, dlaczego ten, który przybył przed tobą, nazywa cię swoim wrogiem?

- To sprawy boskie - powiedział Kartr niedbale. - Ludzie nie potrafią ich zrozumieć. Gdybym naprawdę był demonem, Ord, czy wydobylbym cię spod tej gałęzi, czy obandażowałbym twoje rany i dobrze cię traktował? Osobiście uważam, że złoczyńca nie zdobyłby się na to.

Nieznamy odpowiedział wykorzystując najprostsza logikę. - Masz rację. Kiedy tylko doprowadzisz mnie do mojego klanu, urządzę wielką ucztę, a potem wszyscy zgromadzimy się pod Miejscem Spotkań Bogów, gdzie będziesz się czuł, jak za dawnych lat.

- Bardzo chciałbym pójść z twoim klanem, Ord. Jak możemy ich odnaleźć?

Chłopiec przycisnął dłoń do zranionego boku i skrzywił się. - To niemal dzień marszu. Prawdopodobnie nie będę w stanie iść szybko.

- Poradzimy sobie, Ord. Czy twój lud zamieszkuje owo Miejsce Spotkań Bogów?

- Nie. To jest bardziej na północ. Dziesięć dni marszu stąd, może nawet więcej. Chodzimy tam raz na rok, wszystkie klany. Handlujemy tam, a wojownicy rozpalają wielkie ognisko. Wówczas dziewczęta wybierają sobie chłopców. Jest dużo śpiewów i taniec dzid...

Kartr pogłodził go po włosach.

- Prześpij się teraz - powiedział. Błękitne oczy zamknęły się, a oddech chłopca stał się miarowy i spokojny. Kartr odczekał chwilę i wszedł między drzewa, gdzie oczekiwał go Zinga.

- Ten „bóg z nieba”, o którym mówi, to na pewno Cummi - zaczął sierżant.

- Oczywiście. Fakt, że jest na wolności, ma duże znaczenie. Ord należy do prymitywnego, podatnego na przesady plemienia. Dokładnie o coś takiego chodziło Cummiemu.

- Jest w stanie wywołać ogólną pożogę - zgodził się z nim Kartr. - Musimy go najpierw dopaść!

Uderzał palcami o pas. - Będziemy musieli wziąć ze sobą chłopca. Mówi, że jego obóz jest o dzień marszu stąd. Nie będę w stanie nieść go tak daleko.

- Nie. Skorzystamy z szalupy.

- Musisz pamiętać, że uważa cię za demona. Nie zgodzi się lecieć z tobą.

- Na pewno? Przecież można uniknąć kłopotów. Pomyśl sam, Kartr. Chociaż jesteś wrażliwcem, sam nie zdajesz sobie sprawy z mocy, którą posiadasz. Ord zobaczy i usłyszy jedynie to, co sam mu pokażesz. Ponadto zaprowadzi nas do obozu. Nie wylądujemy przy nim - nie jestem w stanie kontrolować umysłów, zwłaszcza jeżeli Cummi będzie się nim opiekował. Dlatego to ty musisz doprowadzić nas do jego ludu w taki sposób, żeby nie zapamiętał nikogo podobnego do mnie.

Wszystko było tak, jak przewidział Zinga. Ord nie był w pełni przytomny. Leżał między zwiadowcami w półśnie. Bez problemu odpowiadał na pytania Zacathanina. Widoczność wyraźnie się poprawiła i wylecieli ze strefy deszczu.

- Dym! - Kartr wskazał na prawo.

- To musi być ich obozowisko. Muszę znaleźć lądowisko: niezbyt daleko, ale i nie tuż obok. Twoja kolej.

Nie minęło dziesięć minut, kiedy zdyszany Kartr zatrzymał się trzymając bezwładne ciało w ramionach. Stał na skraju rozległej polany, na której, bez specjalnego porządku, rozstawiono szereg namiotów ze zwierzęcej skóry. Wyczuwał obecność około dwudziestu ludzi, jednak nie odnalazł wśród nich Cummiego.

- Ord!

Jakaś dziewczyna biegła w stronę zwiadowcy. Długie warkocze żółtego koloru powiewały za nią.

- Ord? - zatrzymała się parę kroków przed sierżantem.

Ku jej uldze, chłopiec podniósł się na jej krzyk i spojrzał na nią.

- Ouetta!

Z namiotów zaczęli wychodzić pozostali. Trójka mężczyzn, niewiele wyższych od chłopca, zbliżała się do nich trzymając dłonie niezbyt daleko od trzonków noży przytroczonych do pasa. Szczęki i policzki pokrywała gęsta szczecina. Byli owłosieni niczym zwierzęta.

- A ty kto? - spytał najwyższy z nich.

- Wasz chłopak. Ranny. Przyniosłem go. - Kartr starał się wypowiadać te słowa jak najlepiej.

- Ojczy, to bóg, szuka swego brata - dodał Ord.

- Bóg Jest daleko stąd, poluje.

Kartr był wdzięczny za informację o Cummim. - Zaczekam...

Nikt nie miał nic przeciw temu. Ord znalazł się wśród współbraci. Na stosie futer przeniesiono go do jednego z większych namiotów. Zwiadowcy ofiarowano niewielką matę przy ognisku i miskę zupy. Zjadł ją z ochotą, choć niezbyt mu smakowała.

W końcu spytał: - Kiedy wyruszył bóg przestworzy?

Wulf, owłosiony wódz i ojciec Orda, zmrużył oczy, posażł ciasno zwinięty patyk zeschniętych liści, którego koniec zapalił od rozżarzonej drzazgi i z zadowoleniem przesuwiał między wargami wypuszczając kłęby kwaśnego dymu.

- O świecie. On jest bardzo, bardzo mądry. Magią zatrzymuje zwierzęta, aż młodzieńcy nie zabiją ich dzidami. Od czasu, kiedy się u nas pojawił, mamy mnóstwo jedzenia. Niedługo pójdzie na miejsce spotkania bogów, wezwie swoich ludzi, którzy dołączą do nas. Nasze panny ich poślubią, staniemy się wielcy i zaczniemy rządzić tym światem.

- Czy mieszkaliście tu od zawsze?

- Tak. To nasza ziemia. Był kiedyś czas płonących ogni, lecz wówczas bogowie odlecieli. Wiemy, że kiedyś powrócą i przyniosą dobre życie. Najpierw przybędzie Koomee - wypowiedział to imię z wyraźną trudnością - a potem inni. Tak nam obiecywali przodkowie.

Przez kilka chwil zajmował się wyłącznie palonym cygarem. Potem dodał: Koomee ma wrogów. Powiedział nam, że demony będą się starać nami zawładnąć. Tak, jak to kiedyś bywało.

Kartr skinął potakująco głową. Sprawiał wrażenie, że słucha uważnie, ale nie ograniczał się do samych uszu. Tubylcy wiedzieli, jak poruszać się po lesie. Kilku z nich zdołało podczołgać się w najbliższe otoczenie obozowiska. Przygotowywali się do niespodzianego ataku. Niezły pomysł. Gdyby nie dotyczył wrażliwca, miał pełne szanse powodzenia. W obecnej sytuacji, był w stanie stawić czoło każdemu z napastników. Jednak przed atakiem, powinien zająć bardziej dogodną pozycję.

- Jesteś wielkim wodzem, Wulf. Masz wielu silnych wojowników, tylko nie pojmuję dlaczego muszą się kryć w zaroślach. Dlaczego w tych krzakach kryje się wojownik z rozszczepioną wargą? - wskazał dłonią odpowiednie miejsce. - Co robi ten z nożem w dłoni? Dłoń przesunęła się nieco w lewo. Wulf ledwo za nią nadązał. Kartr wzmościł znaczenie swych słów wysyłając promienie zielonkawego ognia we wskazanym kierunku. Ich światło oświetliło twarze wojowników, którzy wierzyli w niedostępność swoich kryjówek.

Kiedy promienie ich dosięgnęły, wydali z siebie zwierzęcy krzyk strachu. Potem rozbiegli się na wszystkie strony. Trzeba jednak przyznać, że ich przywódca nie dał się ponieść przerażeniu. Stał jak wryty i tylko zwitek liści wypadł mu z ust i osmałił nogawkę na prawym kolanie.

- Gdybym naprawdę był demonem - ciągnął Kartr, jakby nic się nie stało - już by nie żyli. Zabiłbym ich w kryjówkach. Jednak nie czuję nienawiści ani do ciebie, ani do twoich ludzi, Wulf.

- Jesteś wrogiem Koomeego - stwierdził wódz.

- Czy to on ci to powiedział? A może sam się domyśliłeś? Zaczekajmy, aż wróci.

- Już wrócił. - Wódz nie odwrócił głowy, lecz w jego głosie pojawiła się nowa nutka, w oczach załśniły nowe błyski, jakby ktoś inny zasiedlił jego ciało.

Kartr wstał. Nie sięgnął po miotacz. Mógł go wykorzystać tylko w ostateczności. Był pewien, że Arcturianin nie wykorzysta tych biednych istot przeciw niemu.

- Uwierzę, kiedy go sam zobaczę. Bogowie nie chowają się za plecami innych.

- Takie są zasady szlachetnego patrolu! Nieustraszonych zwiadowców! - Wargi Wulfa wykrzywiały się niezgrabnie, gdy wypowiadał słowa, których znaczenia nie pojmował. - Nadal trzymacie się przestarzałego kodeksu? Tym gorzej dla was. Jestem jednak zadowolony, że znów się spotykamy, sierżancie Kartr. Pan jest znacznie lepszy od tych bezmózgowych wieśniaków.

Zanim Wulf skończył swą wypowiedź, promień mentalnej siły uderzył w Kartra. Cummi mógł lepiej wykorzystać swe zdolności. Tym razem zwiadowca był przygotowany na atak. Czuł też wspomagającą moc Zingi. Dlatego stał, jakby nic się nie stało, uśmiechnięty w blasku ogniska.

Cummi nie próbował zaatakować wprost. Wybrał ustawiczne nękanie, zmuszające do ciągłej obrony. Pewność siebie Kartra wzrosła. Miał przewagę, Zinga zaledwie go wspierał. Cummi może być sobie mutantem o nieznannej mocy, lecz teraz musi stawić czoło równemu sobie na granicy nieznanego świata. Przecież Ylene została zniszczona właśnie dlatego, że jakiś Arcturianin uznał, że zagraża całej galaktyce.

Poczuł, że rośnie w nim zaufanie do własnej mocy. Może Ylene była granicą ambicji Arcturianów. Świetnie, wobec tego człowiek z tej planety odwzajemni się za krzywdy swego ludu i świata!

ROZDZIAŁ XIV - ZARAZA

Ta pewność siebie miała zostać niemal natychmiast zachwiana. Nacisk wywierany przez Cummiego urwał się jak ucięty. Zamiast ostrego ataku pojawił się natłok nie powiązanych ze sobą myśli i wrażeń. Czyżby miały wywabić go zza osłony, przygotować na bardziej wyrafinowane uderzenie? Kartr nie dał się zwieść. Spokojnie czekał na następny krok przeciwnika. Arcturianin uderzył gwałtownie, z desperacją, jakby chciał zadać cios ostateczny.

Napór zelżał, lecz sierżant nie przestał być czujny sądząc, że Cummi wycofał się na moment, żeby ponownie zebrać siły. To założenie prawie go zabiło.

Kolejny atak nie był mentalny, ale fizyczny - ostry płomień z miotacza.

Z okrzykiem bólu Kartr padł na ziemię. Leżał bezwładnie w poświacie płomieni.

Wódz plemienia potrząsnął głową i z dość głupim wyrazem twarzy przypatrywał się leżącemu zwiadowcy. Zanim ten zdołał się podnieść, z cienia wynurzyła się druga postać z miotaczem w dłoni.

- Dopadłem go, nareszcie! - w tym okrzyku triumfu czaiło się jednak dziwne wahanie. Nowo przybyły zbliżał się do Kartra, lecz niespodziewanie uniośł dłoń do czoła, a twarz wykrzywił mu bolesny wyraz. Miotacz wypadł mu z dłoni i wylądował tuż obok zwiadowcy. W sekundę później i on padł na ziemię nieprzytomny.

Kartr wstał. Chwycił się za lewe ramię. Kurtka ze skóry vlisa nieco złagodziła siłę rażenia i strzał nie był zbyt celny. Był ranny, ale żywy. Teraz on trzymał miotacz Cummiego.

Dlaczego Arcturianin go użył? Sierżant był pewien, że przeciwnik wolał polegać na swej mocy mentalnej. Miotacz zupełnie nie pasował do jego charakteru - był zbyt cywilizowany, zbyt pewny siebie. Dlaczego dał się tak łatwo podejść? Zareagował na jego cios, jakby zupełnie nie miał osłony!

Zwiadowca pochylił się nad leżącym. Cummi poruszył się i cicho jęknął. Oddychał z wyraźną trudnością, walczył o każdy łyk powietrza. To nie było naturalne. Co się z nim działo?

- Koomee? Co ci się stało?

Wulf przykucnął spłoszony obok niepojętych przybyszów, korzy zakłócili porządek jego świata. - Odwróć go - rozkazał Kartr stanowczym tonem. Wódz natychmiast wykonał polecenie, choć było widać, że boi się dotknąć powalonego w tak niezrozumiały sposób. Kartr przyklęknął na jedno kolano zaciskając zęby z bólu wywołanego tym ruchem. W blasku

ogniska twarz Arcturianina była doskonale widoczna. Wciągał powietrze szeroko otwartymi ustami. Nos i wargi obwiedzione były siną otoczką - Kartr zesztyniał.

- Gorączka emfiryzna! - krzyknął, choć Wulf nie miał pojęcia, co to znaczy.

Była to dość pospolita choroba, sam kiedyś przeżył jej atak. Skutecznym lekiem była galdina. Jednak zanim medycy odkryli ją, gorączka uczyniła spore spustoszenie. Jej ofiary umierały przez uduszenie z powodu skurczu mięśni tchawicy. Galdina! Tylko skąd ją tu wziąć? Czy mieli ją na wyposażeniu? Starał się to sobie przypomnieć. Raczej nie, zastrzyki immunizacyjne miały w założeniu uwalniać ich od konieczności dźwigania takich leków w plecakach.

Zanim ją zdobędzie, Cummi umrze, bo z taką raną Kartr nie był w stanie wykonać sztucznego oddychania.

Zwrócił się do Wulfa. - Połóż tu ręce, naciśnij i puść. Raz, dwa, raz, dwa...

Z wyraźnym wahaniem wódz zaczął wykonywać jego instrukcję. Kartr skontaktował się z Zingą.

- OK - usłyszał w odpowiedzi. - Spróbuję znaleźć galdinę w obozie, jeżeli sam tu sobie poradzisz. Daj mi dwie, trzy godziny.

Kartr zagryzał wargi; gorące fale bólu promieniowały z oparzenia.

- Startuj!

Wulf spojrzał na niego z niechęcią.

- Dlaczego muszę to robić Koomeemu?

- Jeśli przestaniesz - umrze.

Na moment wódz przerwał działanie, podnosząc na zwiadowcę pełne niedowierzania oczy.

- Przecież nie jest ranny. Jest bogiem przybyłym z nieba, jest wszechmocny. Rzuciłeś na niego jakieś zaklęcie?

- Nie ma zaklęcia. - Kartr szybko odrzucił dwa możliwe wyjaśnienia i dał trzecie, które mogłoby być nie tylko zrozumiane, ale i możliwe do przyjęcia przez prymitywny umysł.

- Cummi połknął niewidzialnego demona. Nie chce z niego wyjść, więc trzeba go zmusić, inaczej zabije go tak, jakbyś dźgnął go nożem.

Wulf zastanowił się chwilę i wrócił do pracy. Powoli otaczali ich ludzie z wioski, głównie kobiety. Kiedy Wulf się zmęczył, Kartr wybrał najbliższego, silnie zbudowanego mężczyznę i kazał mu go zastąpić. Cały czas obserwował twarz Cummiego. Nie mógł mieć pełnej pewności, ale wydawało mu się, że skurcz ustępował.

Możliwe, że atak minie przed powrotem Zingi. Pamiętał, że gorączka emfiryzna atakuje cyklicznie. Jeżeli chory przetrwa pierwszy skurcz, następuje okres ulgi przed następnym, z którego jedynie galdina może wyprowadzić. Bez niej, śmierć jest nieuchronna. Gorączka, której siła osłabła w ciągu ostatnich czterech pokoleń, była niegdyś zarazą pustoszącą całe planety.

Tak, z pewnością Cummi oddychał już lepiej. Na znak Kartra, mężczyzna prowadzący masaż przerwał pracę. Arcturianin oddychał płytko, ale samodzielnie. Sierżant dotknął wilgotnej skóry na twarzy chorego; na czole i górnej wardze perlił się charakterystyczny zimny pot.

- Przynieście mu jakieś okrycia - rozkazał wieśniakom.

Wulf pociągnął go za rękaw. - Czy demon już wyszedł?

Jakaś kobieta przedarła się przez pierścień mężczyzn i rzuciła w stronę Cummiego wyprawioną skórę. Bała się jednak podejść bliżej i okryć go. Kartr sam to zrobił, niezgrabnie, jedną ręką. Tubylcy zaczęli się wycofywać. Wulf uciekł na drugą stronę ogniska, gdzie zmagął się z myślami.

Nie wiedział: zostać czy udać się do swoich, zbitych w ciasne grupki przy namiotach, szepczących gorączkowo.

Zinga powiedział: dwie lub trzy godziny. A może w ogóle nie mają galdiny. Kartrowi nie podobało się zachowanie mieszkańców wioski, przede wszystkim ich szept. Nie byli w stanie go zaskoczyć, lecz proporcje sił były wysoce niekorzystne: on sam wobec dwudziestu, lub nawet więcej, sprawnych mężczyzn. Miał dwa miotacze, lecz użyć ich mógł jedynie w ostateczności. Wieloletni trening zwiadowcy nie pozwalał na strzelanie do tubylców, o ile nie było to absolutnie konieczne, żeby uratować własne życie.

- Hej...

Z boku doszedł go ledwie słyszalny szept. Cummi odzyskał przytomność.

- Co... - Arcturianin rozpoczął pytanie.

Kartr odpowiedział zwięźle: - Gorączka emfiryzna.

- Powalony przez wirusa! - Wyczuwało się głębokie rozczarowanie. - Galdina?

- Może. Wysłałem kogoś, żeby sprawdził, czy ją mamy.

- Jednak było was dwóch! - głos Cummiego nabierał siły. - Ale teraz jesteś sam...

Powieki Arcturianina zamknęły się ociężale. Schował się za pełną osłoną mentalną. Być może coś planował. Gorączka jednak osłabiła również jego umysł. Nie był w stanie sprawić większych kłopotów.

- Wiesz, że będziesz miał kłopoty z tym klanem - powiedział jakby od niechcienia, ale z nutą złośliwości. - Miałem dość czasu, żeby ich dokładnie indoktrynować. Nie pogodzą się łatwo z moim upadkiem - sądzą, że przybyłeś, żeby mnie zamordować.

- Kartr nie odpowiedział na to, a cisza pobudziła Cummiego do dalszych wysiłków.

- Nie wygrasz tej walki zwiadowco, tak jak nie wygrałeś poprzedniej. Jeśli umrę, zginiesz od ich noży i dzid - nawet niezły kres dla barbarzyńcy.

Sierżant wzruszył ramionami, choć ten ruch niemal wydusił z niego krzyk bólu. Na wópól otwarte oczy Cummiego zwiężyły się, wyszczerzył zęby w zwierzęcym uśmiechu.

- Więc cię trafiłem! Będziesz łatwiejszym łupem dla Wulfa i jego ludzi, kiedy przyjdzie twój czas.

- Przypuszczam, że starannie wszystko obmyśliłeś. - Kartr stłumił ziewnięcie. Nie wiedział, co dzieje się za osłoną Arcturianina, ale domyślał się, jak sam zareagowały w jego sytuacji. - Mnie załatwią tubylcy, a ty zastawisz pułapkę na tego, kto przyjdzie tu z galdiną. Łatwiej będzie ją uzyskać od martwego.

Cummi zamknął oczy i nie dał po sobie poznać, czy przypuszczenia te były prawdziwe. Kartr spojrział na Wulfa. Wódz siedział znów na skrzyżowanych nogach wpatrując się w ognisko. Czy Cummi właśnie nawiązał z nim kontakt? Sierżant westchnął. Przez ostatnie dni zrozumiał, że jego talent kryje w sobie wielkie, dotąd mu nie znane, możliwości. Ci, którzy szkolili go, praktycznie nic nie wiedzieli. Pojął to dopiero po spotkaniu Zictiego, po kontaktach z Zingą. Gdyby miał teraz ich możliwości, mógłby przechwycić ewentualne rozkazy czy sugestie, które Arcturianin wprowadzał w umysł Wulfa. Nie znał zakresu mocy Cummiego, jednak jeżeli rzeczywiście był mutantem, należy się liczyć ze wszystkim.

Reszta plemienia nadal debatowała w ciemnościach przy szałasach. Siedzieli, więc nie było zagrożenia natychmiastowym atakiem. Musiał jednak pozostać czujny.

Czas włókł się jak żółw. Raz po raz ktoś zbliżał się do ogniska i dorzucał kilka gałęzi. Cummi spał lub znów stracił przytomność. Wulf podsypiał i budził się potrzęsając głową. Kartr jednak czuwał. Na szczęście ból ramienia nie pozwalał mu poddać się sennej atmosferze.

W końcu doszedł go dźwięk, na który czekał z takim napięciem - słaby świst szalupy. Odetchnął z ulgą i wyprostował się. Zerknął na Cummiego - leżał z szeroko rozwartymi oczami przepelnionymi nienawiścią. Do czego się szykował?

Wulf poruszył się nerwowo, a Kartr sięgnął po miotacz porzucony przez Arcturianina. Wódz sztywno podniósł się na nogi. Z mroku wyłoniła się trójka mężczyzn i stanęła przy nim.

- Kartr! - przekazywana wiadomość nie pochodziła od Zingi, lecz została wysłana przez Zictiego. - Nie mamy galdiny!

W tym momencie Cummi zaatakował nogami. Gdyby Kartr nie skoczył do tyłu o ułamek sekundy prędzej, cios zwałiby go z nóg. Arcturianin był szalony mając nadzieję, że uda mu się zaskoczyć wrażliwca. Jednak dzięki temu manewrowi, znalazł się na czworakach.

To był znak! Sierżant skoczył w lewo tak, żeby ognisko oddzieliło go od tubylców, którzy ruszyli na niego z nożami. Nie mógł użyć miotacza przeciw tym biednym głupcom.

Kopnął Cummiego, który osłabiony przez gorączkę, nie był w stanie uniknąć ciosu i padł na ziemię. Kartr zaczął wycofywać się w stronę pojazdu.

Sekundę później usłyszał znajomy głos.

- Osłaniam cię, Kartr.

- Cummi nimi steruje.

- OK. Jego też mam. Idź pod drzewa, Zicti czeka na nas. - Rolth mówił to spokojnym tonem wychodząc z cienia i stając ramię w ramię z sierżantem. Cummi chwycił Wulfa i wspierając się na nim wstał. - A więc nie macie galdiny - syknął. Jego twarz była blada i wykrzywiona grymasem czystego strachu.

- Może i jestem już martwy - mówił cicho - ale mam jeszcze dość czasu, aby was również wykończyć. - Uwolnił Wulfa z uchwytu, gwałtownie pchnął go w kierunku zwiadowców. - Zabij! - wrzasnął.

- Zrobimy dla ciebie co się da - powiedział powoli Kartr.

Arcturianin z trudem utrzymywał się na nogach. Wysilek pozbawiał go resztek sił. - Ciągłe wiary swemu kodeksowi, co? Jeszcze doczekam się widoku twojej krwi, barbarzyńco!

Noc przeszył przeraźliwy krzyk, tak wysoki, że mógł się wyrwać jedynie z kobiecego gardła.

Wulf i jego pobratymcy zdołali wykonać jedynie pół obrotu w stronę, skąd się rozlegał, kiedy wrzask się powtórzył. Nastąpiła gorączkowa wymiana zdań, których Kartr nie rozumiał, lecz Zicti wytłumaczył mu, o co chodzi.

- Ktoś z племенia - dziewczyna - zachorowała. Uważają, że demon, który powalił Cummiego, ją dopadł. Wulf ruszył do wioski. Po chwili wrócił. Demon - zwrócił się wprost do Arcturianina - wszedł w Ouetę. Jeżeli naprawdę jesteś bogiem, wypędź go!

Cummi zachwiał się. Jedyne siła woli trzymała go na nogach.

To ich wina. - Wskazał zwiadowców. - Do nich mów.

Jednak Wulf nie dał się zbyć.

- Koomee jest bogiem z niebios. Tak przysięgał. Oni tego nie twierdzili. Koomee przyniósł tu demona we własnym ciele. To demon Koomeego, nie mojego ludu. Teraz niech Koomee wypędzi go z ciała mojej córki!

Wyostrome rysy twarzy Cummiego wyglądały jak maska bólu w migotliwym świetle płomieni. Nie spuszczał zwiadowców z oka.

Wargi Arcturianina ułożyły się na kształt słowa - galdina. W chwilę potem, siły go opuściły i padł na ziemię tuż przy płonących drzewach.

Wulf przyklęknął, chwycił go za włosy i szarpnięciem uniósł głowę umierającego. Jednak Cummi był już nieprzytomny. Zanim któryś ze zwiadowców zdołał zareagować, ostrze noża przecięło mu gardło.

- Oto otwarte drzwi dla demona - powiedział Wulf - i mnóstwo krwi do wypicia. Niech szybko tu wchodzi.

- Wytarł nóż o kurtkę Cummiego. - Czasami potrzeba bardzo dużo krwi, żeby zaspokoić silnego demona. - Spojrzał na zwiadowców.

Rolth podniósł miotacz, lecz Kartr pokręcił głową. Razem wycofywali się pod drzewa.

- Pójdą za nami - zauważył Faltharianin.

- Jeszcze nie - podpowiedział im Zicti. - Myślę, że czyn wodza oszołomił ich. W końcu, nie co dzień szlachtuje się bogów, czy nawet byłych bogów. Teraz biegiem do szalupy.

Poranne słońce ogrzewało kolana Kartra, ale jego myśli były ciemne i ponure.

- Nie mogliśmy nic zrobić, żeby im pomóc - mówił Smitt. - Gdybyśmy chociaż mieli galdinę i gdyby pozwolili nam się zbliżyć, byłaby jakaś szansa. Przez ostatnie trzy dni próbowaliśmy wiele razy. Jeszcze dwie godziny temu, kiedy byłem tam z Dalgre'em, jeden z nich wyczołgał się z szałasów tylko po to, żeby rzucić w nas nożem. Większość z nich pewnie już nie żyje - rozłożył ręce w geście porażki. - Nie sądzę, żeby ktoś przetrwał najbliższą noc.

- Tylu ludzi zamordowanych - odpowiedział mu Kartr. - Bo to przecież było morderstwo.

- My tego nie podłapaliśmy - zastanawiał się głośno Dalgre.

- Zastrzyki immunizacyjne. A Zacathanie nigdy na to nie chorowali. Dziwne, że właśnie tu choroba zaatakowała jak przed laty. Od dawna już nie słyszałem o czymś podobnym.

- Mieliśmy galdinę. Pamiętaj też, że znamy tę chorobę od dawna. Dopadła nas po zbadaniu światów Syriusza. Przez pokolenia - ciągnął Rolth - mogliśmy wytworzyć u siebie naturalną odporność. Czasami tak się dzieje, dzięki naturalnej selekcji. Nie wiemy jednak, ile

chorób nosimy w sobie, niegroźnych dla nas samych, lecz zabójczych dla tej planety. Najlepiej trzymać się z dala od tubylców.

- Takie podejście nie jest całkowicie altruistyczne - dodał Zinga. - Nie możemy wykluczyć, że oni są nosicielami własnych, malutkich wirusków. Módlmy się, żeby nasze szczepionki działały jak najdłużej.

- To prawdziwa tragedia, ale w sumie nikt z nas nie może na to nic poradzić. - Zicti zdjął płaszcz i wystawił ramiona na ciepłe promienie słońca. - Od teraz, nie będziemy się zbliżać do tych ludzi. Chyba nie ma ich zbyt wielu?

- Chyba nie - odpowiedział Kartr. - Z tego, co zdołałem ustalić, żyje tu parę drobnych klanów rodzinnych. Jednak wszyscy spotykają się raz w roku w...

- ...Miejscu Spotkań Bogów, tak, to bardzo interesujące. Kim byli owi bogowie, którzy odlecieli do nieba? Jakaś wycofaną kolonią galaktyczną? To mogłoby tłumaczyć stan, w jakim pozostawiono miasto, tak, by nadawało się do powtórnego zasiedlenia. Przepraszam, panowie, znów dałem się ponieść historycznym skłonnościom. - Profesor uśmiechnął się.

- Ale w pobliżu miasta nie ma żadnego lądowiska - sprzeciwił się Dalgre.

- Znamy tylko jedno miasto. Mogą jeszcze być inne - Fylh włączył się do dyskusji. - Przypuśćmy, że na całej planecie zbudowano jedynie dwa kosmodromy. To się często zdarzało na oddalonych koloniach.

- Miejsce Spotkań Bogów - zastanawiał się Zicti na głos. - Co to może sugerować?

- Musimy tam się dostać! - Dalgre usiadł energicznie.

- Maszyna miasta zachowała się w doskonałym stanie. Gdyby udało nam się odnaleźć port, niewykluczone, że będzie w nim statek nadający się do lotu.

Statek. Kartr skrzywił się. Nie spodziewał się, że te słowa wzbudzą w nim aż taką niechęć. Czyżby nie chciał opuścić tego świata?

Zacita z córką wyszły z prowizorycznego namiotu, który był wyłączną kwaterą i przyłączyły się do grupy rozłożonej przy ognisku. Z lekkim rozbawieniem Kartr patrzył jak Zinga zerwał się błyskawicznie i podsunął im wiązki suchej trawy, które służyły im za posłania i siedziska.

- Macie jakieś ważne wiadomości? - spytała Zacita.

- Być może jest tu gdzieś starożytny kosmodrom. Jakiś miejscowy chłopak powiedział Kartrowi o „Miejscu Spotkań Bogów”, co daje wiele do myślenia - odpowiedział jej mąż.

Zacita zamyśliła się. Kartr jednak odniósł wrażenie, że nie uznała tej wieści za bezwzględnie pomyslną. Dlaczego? Zacathańska dama z najwyższych sfer - złoty znak na

czole oznaczał, że należała do Issittich, jednego z bajecznie bogatych i szlachetnych Siedmiu Rodów - powinna pragnąć jak najszybciej wrócić do galaktycznej cywilizacji.

- Technik Dalgre uważa, że gdybyśmy odnaleźli jakiś stary statek, mógłby go uruchomić. Widział, jak doskonale zakonserwowano urządzenia w mieście. Zna typ statku, którym tu przybyliśmy.

- Mam nadzieję, że cokolwiek tu znajdziemy, będzie trwalsze od tamtego grata - rzucił Dalgre z goryczą.

- To ważna sprawa. Trzeba to jeszcze przemyśleć. - Kartr napotkał spojrzenie Zacity i był pewien, że dostrzegł w jej oczach zachętę. - Nie mam ochoty startować stąd w pojeździe, który może okazać się bezużyteczny w dalszej przestrzeni. Znam skuteczniejsze i mniej bolesne sposoby popełnienia samobójstwa.

- Ale przecież możemy odwiedzić to miejsce - w głosie Dalgre'a zabrzmiała niemal błagalna nuta.

- Zgadzam się, o ile uda nam się to zrobić, nie kontaktując się z tubylcami. Nadchodzi czas ich dorocznej pielgrzymki. Nie wolno nam się z nimi zetknąć. Cummi zaraził i zgładził ten klan równie skutecznie, jakby zrobił to miotaczami. Nie możemy być chodzącą śmiercią dla całego narodu!

- Bardzo słusznie - zgodził się Zicti. - Zróbmy tak - wyślijmy patrol zwiadu, żeby nawiązał kontakt umysłowy z jednym z klanów zmierzających na to zgromadzenie. Z tym, że nasi będą musieli działać niepostrzeżenie. Tubylcy ci posłużą nam za przewodników. Ruszymy za nimi z całym naszym sprzętem. Czy szalupa nadaje się jeszcze do użytku?

- Może przelecieć najwyżej dwadzieścia, dwadzieścia pięć mil - stwierdził stanowczo Dalgre.

- No cóż, marsz jest zdrowy - ciągnął Zicti. - A co pan o tym sądzi, sierżancie?

- To najlepsze rozwiązanie.

Zinga wstał i wskazał palcem Roltha. - Chodźmy nocą - twoje sowie oczy nas poprowadzą, a ja nawiążę kontakt z miejscowymi. Jak tylko znajdziemy, czego szukamy, zaraz damy wam znać.

ROZDZIAŁ XV - MIEJSCE SPOTKAŃ BOGÓW

Przed północą otrzymali oczekiwaną wiadomość: Zinga i Rolth znaleźli grupę tubylców, którzy rozłożyli się obozem na noc. Upewnili się też, że grupa zmierza do Miejsca Spotkań Bogów. Późnym popołudniem następnego dnia zwiadowcy porzucili swe obozowisko i ruszyli szlakiem wytyczonym przez niczego nieświadomych przewodników.

Ósmego ranka, Kartr i Zacathanie odebrali sygnał, świadczący o dużym zgromadzeniu, niezbyt daleko od nich. Musieli więc znajdować się już blisko celu. Wybrali gęste zarośla, dobrze chroniące przed niepowołanym spojrzeniem i założyli obóz. Noc przesпали niespokojnie, zmieniając warty, a Zinga, Kartr i Rolth wyszli lepiej rozejrzeć się po okolicy.

Łuna, która przyciągnęła ich uwagę, nie pochodziła od miejskich świateł, lecz z około setki ognisk. Zwiadowcy przemykali nad krawędzią rozległej kotliny, w której zgromadziły się klany, unikając kontaktu z nielicznymi maruderami dobijającymi do gromady.

- To naprawdę jest kosmodrom!

- Skąd wiesz? - Kartr wbijał oczy w mrok, starając się dostrzec dowody na to, co Rolth stwierdził z takim przekonaniem.

- Ziemia w kotlinie nie raz stykała się z płomieniami silników startowych. Tyle, że wszystkie ślady są bardzo stare.

- W porządku. Więc zlokalizowaliśmy stary port - głos Zingi był zniecierpliwiony, słyszało się w nim rozczarowanie. - Jednak port to jeszcze nie statek. Widzisz tam jakiś, bystrooki?

- Nie - odpowiedział Rolth spokojnie. - Ale po drugiej stronie jest jakiś budynek, o tam. Widzicie? Płomienie trochę go oświetlają.

Kiedy dowiedział się, na co patrzeć, Kartr rzeczywiście zaczął dostrzegać rozległą budowlę, ledwie widoczną w słabym świetle.

- Jest ogromny.

Rolth osłonił nieco oczy, by nie przeszkadzał im blask ognisk.

- Daj mi lornetkę, Kartr. - Kiedy ją dostał, w głosie pojawiło się lekkie podniecenie. - Jest wielki, większy niż wszystko, co widzieliśmy w mieście! W dodatku... byłeś kiedyś w Central City?

Kartr roześmiał się z goryczą. - Widziałem je na ekranie. Czy sądzisz, że nam, barbarzyńcom z kresów galaktyki, pozwolono dostać się do źródła wszelkiej mądrości i przekonać się na własne oczy, jak naprawdę wygląda?

- A co ma tu do rzeczy Central City? - spytał Zinga.

- A ty tam byłeś?

- Nie. Ale filmy mogą dać ci niezłe wyobrażenie o takim miejscu. Ten budynek przed nami jest dokładną kopią Pałacu Wolnych Planet. Jeśli się mylę, to zjem go kamień po kamieniu!

- Co? - Kartr gwałtownie wyrwał mu lornetkę. Jednak nawet przez nią widział jedynie zamazane kształty budowli.

- To przecież niemożliwe! - Zinga krzyknął niemal triumfalnie. - Nawet świeżo wylęgte pisklaki wiedzą, że Pałac Wolnych Planet to starożytny zabytek, zaprojektowany przez architektów, którzy żyli tak dawno temu, że ich nazwiska i planety, z których pochodzili, uległy zapomnieniu. Nigdy też nie wykonano jego kopii!

Oczywiście nie licząc tej, którą mamy przed sobą - upierał się Rolth. - Mówię wam, w tej planecie jest coś dziwnego. Te historie, które ci opowiadano, Kartr, o bogach, co ulecieli do nieba; to miasto, czekające na powrót właścicieli; świat zamieszkały przez tubylców, którzy kultywują tradycję zbierania się w jednym miejscu w oczekiwaniu na ten powrót, to wszystko musi o czymś świadczyć. Gdybyśmy jeszcze wiedzieli, o czym...

- Masz rację, zgodził się Kartr. - Kryje się w tym jakaś tajemnica, może nawet większa od tych, z którymi się dotąd stykaliśmy przy odkrywaniu nowych światów.

- Tajemnice! - Zinga prychnął pogardliwie. - A teraz, przyjaciele, zwiewajmy stąd jak najprędzej, jeżeli nie chcemy zostać stratowani przez grupę maszerującą prosto na nas.

Kartr również przyjął ten sygnał i wyczołgiwał się tyłem od krawędzi kotliny.

Jeżeli pójdziemy szerokim łukiem na zachód - zauważył Rolth - może uda nam się dostać na tyły budynku. Wtedy sami się przekonacie.

Więc Faltharianin chciał zobaczyć jeszcze więcej. Kartr doskonale rozumiał jego niecierpliwość. Samotna budowla przypominająca Pałac Wolnych Planet! Musi rozwiązać tę tajemnicę, musi! Świat pominięty w najstarszych archiwalnych mapach, w układzie słonecznym położonym tak daleko od centrum galaktyki, że został przeoczony, bądź zapomniany dawno, dawno temu. A jednak to właśnie tu, obok dawnego portu kosmicznego, stała replika najbardziej szacownego budynku zbudowanego ludzką ręką! Musi się dowiedzieć dlaczego i kto ją postawił.

Kilka następnych godzin obchodzili kotlinę zgodnie z propozycją Roltha. Tuż przed świtem spotkali się z pozostałymi na tyłach tajemniczego budynku. Oczywiście Kartra szczyptały z niewyspania, lecz podniecenie nie pozwalało mu wrócić do obozu. Musiał zobaczyć, o czym mówił Rolth.

Posuwali się ostrożnie, wykorzystując naturalne osłony, aż dotarli do punktu, z którego roztaczał się dobry widok. - Rolth miał rację! - głos Dalgre'a załamał się z ekscytacji, kiedy patrzył na białe ściany. - Mój ojciec przez rok stacjonował w Kwaterze Głównej, mieszkaliśmy w Central City. Mówię wam, że to Pałac Wolnych Planet!

Kartr przycisnął go do ziemi. - W porządku, wierzymy ci na słowo, ale leż płasko i przestań wrzeszczeć. Ci ludzie tam w dole to doskonali myśliwi, zaraz cię dostrzegą.

- Ale skąd się to tu znalazło? - Dalgre nie posiadał się ze zdumienia.

- A może... - Kartr zdecydował się podzielić przypuszczeniem, które nasunęło mu się jeszcze w nocy... - to było pierwsze?

- Było pierwsze! - Smitt podczołgał się wyżej i nie odrywał lornetki od oczu. - W jaki sposób?

- Myślisz, że to jest aż tak stare? - sapnął Rolth.

- Ty masz lornetę, Smitt. Obejrzyj sobie krawędź dachu i schody prowadzące do wejścia.

- Tak - powiedział po chwili Smitt. - Erozja. To miejsce jest bardzo stare.

- Nawet starsze od miasta - dodał. - Chyba że stojąc tu tak samotnie, szybciej uległo zniszczeniu. Chciałbym zobaczyć to z bliska.

- Myślisz, że tylko ty? - przerwał mu Zinga. - Jak sądzisz, jak długo nasi przyjaciele z kotliny będą tu siedzieć?

- Przynajmniej parę dni. Musimy uzbroić się w cierpliwość i poczekać aż się rozejdą - odpowiedział Kartr.

- Będziemy mieli zajęcie kryjąc się przed przechodzącymi grupami. Lepiej się gdzieś wycofajmy.

Smitt jęknął w proteście, a Kartr szczerze mu współczuł. Być już tak blisko i wycofać się, odłożyć na później rozwiązanie tajemnicy, było szalenie denerwujące. Mimo to, tak właśnie zrobili i nikt nie kwestionował potrzeby trzymania się z dala od tubylców.

Opis budowli zaintrygował Zictiego. Następnego ranka spokojnie zwrócił się o pomoc Zingi. - Ponieważ, niestety, obca jest mi sztuka skutecznego skradania się, chowania i maskowania śladów, będę potrzebował pomocy eksperta, który nauczy starego psa nowych sztuczek. Choć zostałem odsunięty, być może na stałe, od sal wykładowych, nie potrafię

stłumić swej żądzę zbierania wiedzy. Zwyczaje tubylców są z pewnością bardzo interesujące, więc z pana pozwoleniem, sierzancie, udamy się, żeby je obserwować.

Kartr uśmiechnął się. - Z moim pozwoleniem, czy bez niego, proszę pana. Kim jestem, żeby przeszkadzać w zdobywaniu wiedzy? chociaż...

- ...choć - Zicti płynnie odczytał jego myśl - może to być pierwszy przypadek od lat, kiedy ktoś o moim statusie osobiście prowadził badania polowe? Cóż, może to jedna z wad naszej cywilizacji. Odrobina osobistego zaangażowania mogłaby przyczynić się do lepszego zrozumienia istoty problemu. Może jakiś fakt zauważony w jednej kulturze mógłby pomóc innej?

Kartr przyczesał włosy. - To dobrzy ludzie, prymitywni, ale moglibyśmy im pomóc. Żałuję, że...

- Gdybyśmy mieli wiedzę medyczną, moglibyśmy bezpiecznie wejść między nich. Albo raczej, wy, moglibyście. To, czy kiedykolwiek zaakceptują Bemmych, to inna sprawa. Jaka jest generalna postawa prymitywnych ludów wobec nieznanego? Boją się go.

- Tak, ten biedny chłopak myślał, że Zinga to demon - zgodził się niechętnie Kartr. - Ale z czasem, kiedy się przekonają, że nie chcecie ich skrzywdzić...

Zicti smutno pokiwał głową. - Jaka szkoda, że nie ma wśród nas medyka. Jest to jedno z niewielu ograniczeń związanych z naszą obecną sytuacją, które mnie martwi.

- Jest pan gotów do marszu, Haga Zicti? - Zinga zbliżył się do nich, skłonił głowę i zwrócił się do starszego Zacathanina jednym z Czterech Tytułów Szacunku, co potwierdziło przypuszczenia Kartra, że profesor był szlachcicem w swoim świecie.

- Już idę, chłopcze, idę. Jest rzecz, za którą ja i moja rodzina powinna być wdzięczna Pierwszej Matce - dodał - to fakt, że mamy tak wspaniałych towarzyszy niedoli.

Kartr patrzył za odchodzącymi, czując w sercu przyjemne ciepło. Uświadomił sobie, że Zicti, powstrzymujący się ze swymi opiniami, aż go wprost nie pytano, unikający narad zwiadowców, był prawdziwym dowódcą. Nawet Smitt i Dalgre, mimo głębokiej podejrzliwości, nie tylko wobec Bemmych, ale i wrażliwców, znajdowali się pod głębokim wrażeniem uprzejmości i pogody historyka oraz całej jego rodziny. Członkowie załogi patrolu spełniali wszelkie życzenia Zacity i Zory, a wobec małego Zora godzili się na rolę starszych braci. Tak jak zatarły się różnice między nimi a zwiadowcami, tak zniknęły one na linii: ludzie - Bemmy.

- O czym to tak rozmyślasz stojąc i uśmiechając się z niezwykłą błogością? - Fylh rzucił na ziemię wiązki chrustu i przeciągnął się. - Mógłbyś nanosić trochę drewna, jeśli nie masz nic innego do roboty.

- Myślałem właśnie, że zaszło wiele zmian - zaczął sierżant.

Jednak Fylh wykazał się intuicją nie mniejszą niż Zinga.

- Nie ma już Bemmych, nie ma podziału na załogę i zwiadowców, o to ci chodzi? To się stało tak jakoś samo z siebie. - Usiadł na stercie gałęzi. - Chyba wtedy, kiedy wydostaliśmy się z miasta, oni - wskazał głową kierunek, w którym odeszli Smitt i Dalgre - musieli coś zdecydować. Raz na zawsze. Podjęli decyzję i nie patrzą w przeszłość. Teraz nie myślą już o różnicach, tak jak ty i Rolth.

- My sami niemal należymy do Bemmych, Rolth ze swym wzrokiem, ja wrażliwiec. W dodatku zawsze byłem barbarzyńcą. Ci dwaj, to ludzie z kręgów władzy, bardziej konwencjonalnie wychowani. Musimy dać im punkt za przełamanie głębokich uprzedzeń.

- Po prostu zaczęli korzystać z mózgów. - Grzebień na głowie Fylha uniósł się nieco. Podniósł głowę ku niebu i wyśpiewał pieśń tak czystą i melodyjną, że Kartr wstrzymał oddech z podziwu. Czy w ten sposób Fylh pozbywał się stresu?

Potem pojawiły się ptaki. Trzepotały skrzydłami i popiskiwały. Sierżant zamarł nieruchomy jak pomnik, bojąc się zakłócić to przedstawienie. Im bardziej faliście rozwijała się precudna pieśń, tym więcej ptaków odpowiadało na jej zew. Ich pióra mieniły się kolorami tęczy, pobłyskiwały w promieniach słońca. Kłębiły się u stóp Trystianina, sadowiły na jego ramionach, krążyły nad głową.

Kartr widział już, jak Fylh wabił do siebie ptaki, ale nigdy dotąd nie zleciało się ich aż tyle. Miał wrażenie, że wypełniają cały obóz, zdobiąc go wszystkimi barwami.

Trele i pieśni cichły stopniowo, więc ptaki poderwały się migotliwą chmurą. Trzykrotnie okrążyły głowę Fylha zakrywając ją całkowicie, niczym pierzasty szal i odleciały wysoko, pod poranne niebo. Kartr nie poruszał się jeszcze, ze wzrokiem utkwionym w kolegę. Trystianin stał z rozpostartymi ramionami. Poruszał nimi miarowo, jakby pragnął dołączyć do swych pierzastych pobratymców. Pierwszy raz sierżant zrozumiał, jaka tęsknota musiała trawić lud Fylha, odkąd utracili skrzydła. Czy dobrze się stało? Czy dobrze zrobili wymieniając je na inteligencję? Czy Fylh się nad tym zastanawiał?

Usłyszał za sobą westchnienie i odwrócił się. Trójka Zacathanów również była świadkiem niesamowitego widowiska. Chłopiec pochylił się i podniósł z ziemi wspaniałe czerwone pióro. Czar prysł. Fylh opuścił ręce, grzebień złożył się starannie na czubku głowy. Znów był zwiadowcą z patrolu, a nie mistrzem skrzydlatej magii.

- Tyle rodzajów, a każdy inny - powiedziała Zacita.

- Nigdy nie myślałam, że te lasy kryją w sobie takie bogactwo. Tak, Zor, to rzeczywiście niezwykły kolor jak na mieszkańca przestworzy. Każdy świat kryje w sobie własne cuda.

Fylh podszedł do chłopca delikatnie głaszczącego szkarłatne pióro trzymane między dwoma pazurami. - Jeśli chcesz - powiedział z rzadką u niego łagodnością - pokażę ci ptaki latające nocą.

Żółte wargi Zora rozszerzyły się w szerokim uśmiechu. - Dziś wieczorem, proszę! Ściągniesz je tu w ten sam sposób?

- Jeżeli będziesz cicho i ich nie spłoszysz. Są bardziej płochliwe niż te, które żyją w słońcu. Jest wśród nich biały olbrzym, który sunie w ciemności, jak duch mgły na Corrob.

Zor zadrzał przesadnie. - To są najlepsze wakacje - oznajmił głośno - jakie kiedykolwiek miałem. Mam nadzieję, że nigdy się nie skończą, nigdy!

Spojrzenia czwórki dorosłych spotkały się nad głową chłopca. Kartr wiedział, że myślą o tym samym. To wygnanie prawdopodobnie nigdy się dla nich nie skończy. Jednak, czy miało to jakieś znaczenie. - Chciał zadać to pytanie, lecz nie był jeszcze gotów.

Zwiadowcy cały dzień zajmowali się swoim sprzętem, wykonując drobne naprawy. Był problem z odzieżą. Chyba będą musieli wziąć przykład z tubylców i okrywać się zwierzęcymi skórami. Kartr zastanawiał się, co zrobią w nadchodzącej porze zimowej. Może powinni przejść na południe, żeby uniknąć związanych z nią uciążliwości? Dla dobra Zacathanów prawdopodobnie tak właśnie należy postąpić. Wiedział, że w zimnym klimacie, ludzie wywodzący się od gadów, popadają w odrętwienie, a nawet hibernują całkowicie.

Obserwowali tubylców parami, przekazując wszelkie informacje Zictiemu, który zbierał je starannie, jakby zamierzał wygłosić gdzieś wykład na ich temat.

- Występuje wśród nich kilka typów fizycznych - powiedział któregoś wieczora, kiedy Fylh i Smitt, którym wypadła obserwacja, złożyli swoje sprawozdanie. - Twój żółtowiec, bladokórzy ludzie, Kartr, to tylko jeden z nich. Fylh zauważył dziś klan ludzi o bardzo ciemnej skórze i czarnych włosach.

- Sądząc po ich lekkim odzieniu i dziwnym sprzęcie, pochodzą z cieplejszej krainy - dodał Trystianin.

- To dziwne. Tak niepodobne do siebie rasy na tym samym świecie. Sądzę jednak, że to charakterystyczne dla humanoidów - kontynuował historyk. - Powinienem więcej wiedzieć o fizjologii humanoidów.

- Ale oni są bardzo prymitywni. Tego właśnie nie mogę zrozumieć. - Smitt połknął ostatnią łyżkę gulaszu z wyrazem szczerzego zdumienia na twarzy. - To miasto zostało

starannie zbudowane, a potem pozostawione w gotowości przez ludzi, którzy stali na wysokim poziomie rozwoju techniki. Mimo to, wszyscy tubylcy, z jakimi się tu spotykamy, żyją w namiotach ze zwierzęcych skór, ubierają się również w skóry i najwyraźniej boją się miasta. Mogę przysiąc, że naczynia, którymi dziś handlowali, są ręcznie wykonane z gliny!

- Sam mam problemy ze zrozumieniem tego wszystkiego - powiedział Zicti. - Nigdy tego nie pojmamy, jeżeli nie uda nam się przebić przez mgłę ich historii. Jakieś głęboko zakorzenione wspomnienie, bądź zagrożenie, każe się im trzymać z dala od miasta. Jeśli kiedykolwiek posiadali jakieś techniczne umiejętności, dawno o nich zapomnieli. Może stało się tak przez celowe wypieranie tej wiedzy, jako zastrzeżonej dla bogów, a może przez zanik pewnego rodzaju inteligencji. Istnieje wiele możliwości.

- A może to potomkowie populacji niewolników, opuszczonych, kiedy ich panowie wyemigrowali? - zaproponował Rolth.

- Tego również nie możemy wykluczyć. Jednak niewolnictwo zwykle nie występowało w wysoce zmechanizowanych cywilizacjach. Niewolnicy mogliby zajmować się maszynami, ale mieszkańcy miast dysponowali przecież robotami, które lepiej spełniały to zadanie.

- Mam wrażenie - zaczął Fylh - że na tym świecie kiedyś trzeba było podjąć jakąś decyzję. Jedni ludzie zdecydowali się na jedno rozwiązanie, inni na drugie. Niektórzy stąd odlecieli - wskazał pazurem niebo - pozostali zdecydowali się zostać, żyć blisko przyrody i nie pozwolić, aby coś weszło między nich a dziki świat.

Kartr wyprostował się. To brzmiało bardzo prawdopodobnie!

Ludzie wybierali między gwiazdami a ziemią. Tak, tak właśnie mogło się zdarzyć! Może to właśnie on, barbarzyńca, urodzony w świecie pogranicza, skąd ludzie niezbyt dawno temu wzbili się w przestrzeń galaktyczną, jest w stanie to zrozumieć. Może też dlatego, że lud Fylha powziął takie postanowienie, a później nieraz go żałował, Trystianin mógł jako pierwszy znaleźć takie rozwiązanie zagadki?

- Dekadencja, degeneracja - włączył się Smitt.

Zacita jednak potrząsnęła głową. - Jeśli ktoś żyje z maszyn, samą żądzą władzy, to musi ciągle zmieniać dom. Ale może dla tych istot był to jedynie odlot do miejsca, gdzie, jak sądzili, znajdą lepsze życie.

Przeprowadzka! Kartr kurczowo uchwycił się tej możliwości. Może nadszedł już czas dla jego ludu, aby postanowić, aby dokonać wyboru, czy całkowicie zrezygnować ze starych zwyczajów czy dać się podporządkować...

Czas włókł się bezlitośnie w oczekiwaniu na odejście ostatniej grupy tubylców. Kiedy ostatni, mały klan opuścił kotlinę, odczekali jeszcze pięć godzin, by nie natknąć się na maruderów. Dopiero wtedy, wczesnym popołudniem, śmiało ruszyli przez śmietnisko po obozach, omijając tłące się jeszcze ogniska.

U stóp schodów wiodących do wejścia pozostawili swe plecaki i tobołki. Dwanaście stopni poszczerbionych przez czas i klimat, ze śladami skórzanych sandałów prowadziło do wnętrza. Ruszyli nimi, przeszli między kolumnami i znaleźli się w środku.

Ogromna sala powinna być spowita w mroku, lecz jej budowniczowie położyli dach z przezroczystego materiału tak, że mieli wrażenie otwartej, rozświetlonej słońcem przestrzeni.

Powoli, zwartą grupą, przeszli do samego centrum sali. Wokół nich, z trzech stron, znajdowały się rzędy ław, rozdzielonych przez wąskie przejścia, zakończone pojedynczymi, wielkimi fotelami, których oparcia zdobił rzeźbiony symbol. Czwartą stronę zajmowała łoża mieszcząca trzy trony, z których środkowy przewyższał pozostałe.

- Coś jakby budynek parlamentu, nie sądzicie? - spytał Zicti.

- Środkowy fotel należał do prezydenta - wskazał na łożę.

Jednak snop światła z latarki Kartra zatrzymał się na znaku wyrzeźbionym na najbliższym z foteli. Zamarł w zdumieniu, kiedy go odcyfrował. Przesunął światło na kolejny fotel, potem na następny. Ruszył biegiem odczytując znaki, które znał, dobrze znał!

- Deneb, Syriusz, Rigel, Capella, Procyon. - Nie uświadamiał sobie jeszcze tego, lecz podniósł głos do krzyku, jakby odczytywał listę obecności, której ta sala nie słyszała od czterech tysięcy lat, a może nawet dłużej. - Betelgeuse, Aldebaran, Pollux...

- Regulus - Smitt podpowiedział mu, zbliżając się z drugiej strony, równie podniecony. - Spica, Vega, Arcturus, Altair, Antares...

Teraz i Rolth, i Dalgre zrozumieli, o co chodzi.

- Fomalhaut, Alphard, Castor, Algol...

Dodawali gwiazdę do gwiazdy, układ do układu w tej szczególnej liście obecności. Zamilkli, spotkawszy się przy łoży, kiedy Kartr z szacunkiem i podziwem, jakiego nie odczuwał nigdy przedtem, uniósł latarkę oświetlając ostatni ze znaków. Znalazł to, czego się spodziewał.

- Terra z układu Sol - odczytał na głos, a słowa te rozległy się głośnym echem w pustej sali, głośniejsze niż nazwy pozostałych gwiazd. - Terra z układu Sol - początek człowieczeństwa!

ROZDZIAŁ XVI - ZEW ZIEMI

- Nie wierzę własnym oczom. - Głos Smitta brzmiał cicho; całą uwagę skupił na najwyższym tronie i niesamowitym znaku, którym był ozdobiony. - To nie może być Sala Odlotu. Ona była w układzie Alfa Centaur!...

- Na pewno? - spytał Kartr. - Nasze legendy tam ją umieściły. Jednak legendy nie zawsze mówią prawdę.

- A to - Dalgre wskazał na kotlinę rozciągającą się za wejściem - to Pole Odlotu!

- Jak dawno temu..? - pytanie Roltha zawisło w próżni, lecz słowa pobrzmiwały echem odbitym od wysokich ścian.

Kartr odwrócił się na pięcie, żeby stanąć twarzą do rzędu ław i foteli, które je wieńczyły. Właśnie tu zasiadali dowódcy, za nimi członkowie załóg i koloniści! Tu właśnie się zbierali, statek po statku, przez lata, może wieki. Zbierali się, rozmawiali ze sobą może ostatni już raz, otrzymywali ostatnie rozkazy i instrukcje, a później wychodzili na kosmodrom, do czekających na nich statków i startowali w niewiadome, aby nigdy stamtąd nie wracać. Niektórzy mieli szczęście, osiągnęli zamierzone cele. Oni, Smitt, Dalgre, Rolth i on sam, stanowili tego żywy dowód. Inni wpadali w mróz pozagalaktyczny bądź docierali do układów bez planet, mogących zapewnić ludziom przeżycie. Jak długo to trwało, ile odbyło się tych zgromadzeń, tych odlotów? Starczyło, by wykrwawić Ziemię, pozostawiając na niej tylko tych, którzy ze względu na swój charakter, nie nadawali się do kosmicznych podróży. Czy to tłumaczyło zagadkę tego dualistycznego świata?

- Bez powrotu... - Rolth wyczuł jego myśli. - Bez powrotu. Dlatego miasta wymarły, a nawet pamięć o tym, po co je zbudowano, wymarła. Terra!

- My jednak pamiętamy - powiedział cicho Kartr.

- My wykonaliśmy pełen obrót. Zieleń, to kolor wzgórz Terry. To legenda, stara pieśń, mglista ludowa pamięć, która zawsze należała do nas, latała z nami od świata do świata, przez całą galaktykę. To my jesteśmy synami Terry, ci z wnętrza i ze skraju galaktyki, barbarzyńcy i ucywilizowani, wszyscy jesteśmy synami Ziemi!

- A teraz - stwierdził Smitt z rozbrajającą prostotą - wróciliśmy do domu.

Był to dom, który niczym nie przypominał ciemnych gór i chłodnych dolin na wpół zamrożonego Faltharu Roltha, ani wysokich lasów i kamiennych miast zamienionych w pył Kartra, ani wysoce cywilizowanych planet, które były ojczyzną Smitta i Dalgre'a. Była to dzika planeta z martwymi miastami, prymitywnymi tubylcami i zapomnianym potencjałem.

Jednak nie przestała być Terra, zróżnicowaną jak ich rasy, lecz wciąż ich najdawniejszą ojczyzną. To ich wspólni przodkowie po niej stąpali.

Raz jeszcze przyjrzeni się rzędom opustoszałych ław i foteli. Mieli wrażenie, że widzą zasiadające w nich osoby. Jednak mogło to być jedynie złudzenie - ludzie z Terry rozpięchli się po całej galaktyce, odlecieli zbyt daleko...

Powoli przeszedł do centrum sali. Zacathanie i Fylh trzymali się z tyłu. Na pewno ze zdumieniem patrzyli na zachowanie się ludzi. Kartr próbował im to wytłumaczyć.

- To jest Terra, Ziemia...

Zicti wiedział, co to znaczy. - Prastary dom twego gatunku! Cóż za niezwykle odkrycie!

Pozostałe słowa zagłuszył przeraźliwy krzyk, który ponownie zwrócił ich uwagę na lożę. Stał tam Dalgre rozpaczliwie dający znaki, aby się zbliżyli. Rolth i Smitt gdzieś zniknęli. Wszyscy ruszyli do niego.

Nowe odkrycie kryło się za lożą, oddzielone od niej wysokim przepierzeniem. Pokrywało większą część ściany. Olbrzymi ekran z przyciemnionego szkła, ze świetlnymi punktami układającymi się w charakterystyczne wzory.

Pod nim stał pulpit pełen przełączników. Smitt usiadł na ławce pod nim i uważnie mu się przyglądał.

- Urządzenie telekomunikacyjne? - spytał Kartr.

- To, albo jakiś ploter kursu rakiet - odpowiedział Dalgre. Smitt jedynie coś mruknął zniecierpliwiony.

- Czy to może jeszcze działać? - zastanawiała się na głos Zacita.

Dalgre potrząsnął głową. - Trudno powiedzieć. Miasto zaczęło działać, kiedy znaleźli odpowiednie przełączniki. Najpierw trzeba dokładnie to przestudiować. - Wskazał gigantyczną mapę i pulpit. - Nie mamy pojęcia o ich systemach.

Jakikolwiek technik miał szansę uruchomić tę maszynę, lecz Kartr był przekonany, że to zadanie przekraczające możliwości zwiadowcy. Uważnie oglądał mapę, identyfikując punkty, które mógł rozpoznać. Była to galaktyka widziana z perspektywy tej starożytnej planety, z jej skraju. Dostrzegł jasność Vegi, przesunął wzrok na Alfę Centauri i inne gwiazdy. Czy to urządzenie wykreślało kurs, którym ludzie odlatywali do odległych systemów?

Robiło się coraz ciemniej. Nadchodził wieczór. Jednak mimo to, łagodna poświata rozjaśniała gwiazdną mapę i oświetlała pulpit.

Kartr oderwał się od mapy. - Rozbijemy tu obóz, czy wracamy na wzgórza? - spytał Zictiego.

- Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy wracać - odpowiedział Zacathanin. - Jeżeli wszyscy tubylcy odeszli, nikt nie będzie protestował przeciw naszej obecności.

Za jego plecami Zinga roześmiał się i wskazał pazurem Smitta. - Jeśli myślisz, że uda ci się go od tego oderwać, sierżancie, to jesteś w błędzie.

Oczywiście miał rację. Łącznościowiec znalazłszy urządzenie ze swej domeny, nie oddalał się od niego ani na krok. Zrezygnował nawet z kolacji, zadowolając się kubkiem wody i kawałkiem twardej pieczeni. Nie mógł oderwać oczu od rzędów guzików.

Na noc rozłożyli śpiwory w sali, wygasili ognisko i położyli się blisko siebie, między ławami opuszczonymi przez kolonistów.

- Nie ma tu żadnych duchów - głos Zictiego odbijał się głuchym echem w pustej sali. - Ci, którzy się tu zbierali, przeniknięci byli duchem swego posłannictwa, odlatywali z ochotą. Nic za sobą nie zostawiali.

Rolth zgodził się z nim. - W pewnym sensie widać to było i w mieście. Oni je...

- Porzucili - Kartr znalazł najwłaściwsze słowo, kiedy Falthrianin zawahał się. - Porzucili, jak ubranie, z którego się wyrosło. Ma pan jednak rację, że nie spotkamy tu żadnego ducha, profesorze. Chyba że Smitt zdoła go wypłoszyć z tej maszyny. Czy on tam będzie siedział całą noc?

- Oczywiście - odpowiedział Zinga. - Miejmy nadzieję, że nie wywoła żadnych duchów. Mam nieodpartą ochotę na spokojny sen.

Kartr budził się dwukrotnie w nocy. Widział, że śpiwór Smitta był pusty. Najwyraźniej odkrycie zahipnotyzowało go całkowicie. Jednak wszystko ma swoje granice. Kiedy obudził się po raz drugi, wysunął się z ciepłego legowiska z niecierpliwym westchnieniem, zadrzał z zimna i boso ruszył po kamiennej posadzce. Albo Smitt dobrowolnie się położył, albo zmusił go do tego.

Łącznościowiec siedział na ławce z głową zadartą do góry, wpatrzony w mapę. Jego twarz nosiła wyraźne znaki wyczerpania.

Kartr spojrział na to, w co wpatrywał się Smitt. Dostrzegł, co go tak zafascynowało i wstrzymał oddech.

Na czarnej, szklanej powierzchni lśnił czerwony punkt, przesuwający się po łagodnej krzywej.

- Co to?

Smitt odpowiedział nie odrywając od niego oczu.

- Nie jestem pewien... nie jestem pewien! - Przetarł twarz dłońmi. - Czy ty to też widzisz?

- Widzę poruszający się czerwony punkt. Ale co to jest?

- Cóż, mam pewne przypuszczenia...

Kartr domyślił się od razu. Statek. Pędzi w ich kierunku!

- Leci do nas?

- Jest na kursie, ale wszystko jest możliwe. Patrz!

Na ekranie pojawił się drugi punkt. Ten poruszał się bardziej zdecydowanie - podążał śladem pierwszego. Łowca na szlaku. Kartr usiadł obok Smitta. Serce waliło mu tak, że czuł pulsowanie krwi na skroniach. To było bardzo ważne, ten lot i pościg. Tak ważne, że bał się je obserwować. Teraz pierwszy pojazd zaczął lecieć zygzakiem.

- Próba ucieczki. - Smitt służył kiedyś na statku wojennym.

- Jakie to statki?

- Gdybym rozszyfrował to - wskazał na pulpity - może mógłbym ci odpowiedzieć.

Uważaj!

Pierwszy punkt wykonał skomplikowany manewr, którego natury Kartr nie pojmował, ale który sprawił, że statek znalazł się nad ścigającym.

- To statek patrolu! Wezwano go do walki. Dlaczego?

Dwa punkty zrównały się, a wówczas pojawił się trzeci. Był nieco większy, poruszał się wolniej, omijając dwa, które wkrótce miały rozpocząć bój. Tym samym skierował się wprost na układ słoneczny.

- Manewr ochronny - tłumaczył Smitt - Patrol chroni ten trzeci statek! To misja samobójcza. Patrz - podnieśli ekrany bojowe!

Bardzo słaba pomarańczowa poświata otoczyła oba czerwone punkty na skraju układu. Kartr nigdy nie uczestniczył w walce w kosmosie, lecz słyszał wystarczającą ilość opowieści i widział dość filmów, by móc wyobrazić sobie, co tam się teraz działo. Większy punkt nie mieszał się do bitwy. Własnym tempem oddalał się od walczących.

Nacisk ekranu na ekran. Gdy jeden z nich się załamał - nastąpi nagła śmierć w płomieniach. Statek patrolu powstrzymał wroga, umożliwiając ucieczkę bezbronnej ofiary.

- Gdybym tylko to rozszyfrował! - Smitt walnął pięścią w krawędź pulpitu.

Niespodziewanie rozbłysła mała lampka.

- Czy to zbliżający się pojazd ją uruchomił?

Smitt skinął głową. - Wysoce prawdopodobne. - Pochylił się nagle i przycisnął guzik leżący tuż pod nią. Usłyszeli szum potężnego wiatru. Niemal ogłuszeni patrzyli na mapę.

Przez szum wiatru przebił się nowy dźwięk: seria ostrych trzasków. Smitt zerwał się na równe nogi.

- „Patrol wzywa, patrol wzywa - TARZ - TARZ -”.

Kartr odruchowo sięgnął po miotacz, którego nie nosił. Stare wezwanie patrolu do akcji! Za sobą usłyszał pełne zdumienia głosy. To pozostali obudzili się i tłoczyli pod przepierzeniem, żeby zobaczyć i usłyszeć, co się dzieje.

Wezwanie odbijało się echem po sali. Będzie trwało do końca walki lub gdy ktoś na nie odpowie. Jednak nikt nie odpowiadał. Poświata wokół statków zgęstniała i zakryła je. Punkty znieruchomiały.

- Pełna moc - Dalgre wydyszał te słowa, tuż nad głową Kartra.

- Szybko się rozładują. Długo tego nie wytrzymają!

Jeden punkt rozbłysnął żółtą barwą i zmienił się w mleczną biel. Był to moment chwały, po którym zniknął. Mrugali oczami i wpatrywali się w ekran, ale nic na nim nie było. Nic oprócz dwóch płomiennych punktów, które nagle zniknęły. Potem szklana powierzchnia była równie pusta i zimna jak przestrzeń, którą obrazowała.

- Oba przepadły! - Dalgre odezwał się pierwszy. - Przeciążenie załatwiło oba równocześnie. Jeden pociągnął za sobą drugi.

- Jednak trzeci jest nadal cały - zauważył Zicti. To prawda. Bitwa zniszczyła dwa statki, lecz trzeci wciąż się poruszał, ten, który ochraniał pojazd patrolu. Leciał kursem wprost na Sol i Terre!

Seria trzasków zmieniła swój charakter. Smitt wsłuchał się w nie i głośno rozszyfrował

- Pomocniczy statek osobowy patrolu 2210 wzywa najbliższy statek lub stację patrolu. Zgłoście się, proszę. Rozbitkowie z bazy patrolu CC4 wzywają najbliższy statek lub stację. Zeszliśmy ze znanych tras, potrzebujemy przewodnika, zgłoście się, proszę...

- Rozbitkowie z bazy CC4 - powtórzył Rolth. - To przecież stacja zwiadowców! Co tam się mogło stać!

- Może najazd piratów? - zastanawiał się Zinga.

- Piraci nie atakują patrolu... - zaczął Dalgre.

- Chyba chciałeś powiedzieć: nie atakowali. Od dłuższego czasu nie byliśmy informowani o tym, co się dzieje. Lataliśmy po zapomnianych szlakach. Koalicja ich sił może wyrządzić wiele szkód - zauważył Zinga.

- Nie zapominajcie - wtrącił Zicti - że ten statek nadlatuje z bardziej zaludnionej części galaktyki. Zmierza ku nieznanemu, a nigdy by tego nie zrobił, gdyby coś go nie powstrzymało przed udaniem się w lepiej znane rejony.

- Osobowy statek patrolu - rodziny jego członków - Dalgre był wstrząśnięty. - To znaczy, że baza została całkowicie rozbita.

Serie trzasków ciągle wypełniały mglistą salę. Na mapie, punkt stale się zbliżał, a lampka nie gasła. Nagle wyłączyła się, ustępując miejsca drugiej, położonej w pobliżu. Kartr spojrział na ekran. Tak, statek wyraźnie zbliżał się do ich układu.

Palce Smitta zawisły nad przyciskami. Oblizął wysuszone wargi.

- Czy mamy jakąś szansę, żeby go tu sprowadzić? - Kartr zadał pytanie, które nurtowało wszystkich.

- Nie wiem... - głos Smitta zdradzał dręczącą go mękę. Przycisnął jeden z guzików pod drugą lampką. Odskoczył zaskoczony jak Kartr i pozostali. Z krawędzi pulpitu wysunął się cienki pręt zakończony kulką. Łącznościowiec roześmiał się niesamowicie i złapał go.

Zaczął mówić, nie kodem, lecz językiem centrum kontroli.

- Wzywa Terra! Wzywa Terra! Wzywa Terra!

Nikt się nie ruszał, słuchali trzasków wypełniających powietrze. Kartr zwątpił. To nie działało. Nagle transmisja ze statku urwała się. Zapomniał o czasie.

- Wzywa Terra. Smitt był spokojny. Do tej wypowiedzi dodał serię kodowanych sygnałów. Trzykrotnie powtórzył przekaz i cierpliwie czekał na odpowiedź.

Oczekiwanie stawało się nieznośne, szarpało ich nerwy. Ale w końcu odpowiedź nadeszła. Smitt przetłumaczył ją dla wszystkich.

- Nie wszystko rozumiemy. Chyba będę mógł skorzystać z kanału łączności. Nie przestawaj mówić, jeżeli nie masz sygnału naprowadzającego. Co... gdzie jest Terra?

Tak więc nie przestawali mówić. Najpierw Smitt, aż głos zmienił mu się w chrypliwy szept. Potem Kartr powtarzał zwyczajową formułę, po nim Dalgre i Rolth.

Słońce rozświetliło salę ponownie, później przygasło i zaszło, a oni zmieniali się przed mapą i mówili, mówili. Czerwony punkt zbliżał się powoli, prostym kursem na Terrę. Kiedy zrównał się z najodleglejszą planetą układu, Zor wskazał Kartrowi nowego przybysza. Kolejny punkt. Minął już miejsce walki, na linii statku osobowego! Wróg czy przyjaciel?

Kartr potrząsnął ramieniem Zora i wypchnął go do sali, aby sprowadził Smitta. Łącznościowiec, przecierając czerwone od niewyspania oczy, stanął przed pulpitem. Oprzytomniał, kiedy Kartr wskazał mu nowy punkt. Odsunął sierżanta od mikrofonu i stanowczym głosem zadał zakodowane pytanie.

Odpowiedź nadeszła po nieznośnym oczekiwaniu: - To bez wątpienia statek piracki. Przez ostatni kwadrans odbieraliśmy ich sygnały.

Przemęczone oczy Kartra widziały wrogi statek pędzący przez bezmiar kosmosu. Był to wyścig, w którym statek patrolu stał na straconych pozycjach. Kiedy tylko o tym pomyślał, na pulpicie rozbłysło kolejne światelko. Wróg znalazł się w zasięgu urządzenia. Smitt spojrzął na niego ponuro.

- Sprowadź tu jednego z Zacathanów i Fylha. Lepiej, żeby posługiwali się własnym językiem niż centralnym, czy ogólnym kodem. W załogach piratów nie ma zbyt wielu Bemmych. Wszystkie potrzebują stałego sygnału, na którym mogłyby nastawić urządzenia nawigacyjne.

Jednak zorientował się, że mówi to na próżno. Kartr dawno już ruszył w poszukiwaniu pozostałych. Nie minęło wiele sekund, kiedy Zinga objął mikrofon swymi pazurami i wydał z siebie serię syczących dźwięków, które zupełnie nie przypominały ludzkiej mowy. Kiedy się zmęczył, Fylh zajął jego miejsce ćwierkając w mikrofon. Mimo to, za statkiem pędził kolejny czerwony punkt, tak szybko, jakby odległości kosmiczne nic dla niego nie znaczyły.

Zora przyniosła manierkę z wodą, którą wypili pospiesznie. Podobnie się odżywiali - przeżykali wszystko, co wciskano im w ręce, nie zwracając uwagi ani na to, co to było, ani jak smakowało.

Statek patrolu mijał kolejne planety. Na pulpicie zapaliło się trzecie światelko. Zor przybiegł do nich podniecony.

- Na niebie pojawił się niezwykle blask! - krzyknął piskliwie.

Kartr zerwał się, żeby zobaczyć to na własne oczy, kiedy zatrzymał go sygnał ze statku.

- Zadziałał promień pulsujący. Możemy go tu sprowadzić. Gdybyśmy mieli więcej czasu...

Zinga porzucił mikrofon i wszyscy wybiegli na zewnątrz. Zor miał rację. Z dachu, tuż nad pulpitem, błyskało w przestrzeń oślepiające światło.

- Jak to się... - zaczął Kartr.

- Nie wiadomo - przerwał mu Dalgre. - W swoim czasie, byli świetnymi technikami. Promień na pewno pulsuje na tyle silnie, żeby został odebrany przez każdy statek, który znalazł się w określonej odległości od tej planety. Możemy już przestać gadać.

Wrócili do mapy. Obserwowali statek i goniącego go napastnika. Przerwa między nimi zmniejszała się coraz bardziej. W końcu na tablicy zapaliło się czerwone światelko - ostrzeżenie.

- Statek wszedł w atmosferę - domyślił się Smitt.

- Ściągnijmy wszystkich do środka. Może nie uda mu się wylądować na kosmodromie, a silniki hamujące mogą być dość brutalne.

Wszyscy zgromadzili się w starożytnej Sali Odlotu i bardziej słyszeli niż widzieli, jak statek wylądował na polu, które co najmniej od tysiąca lat nie czuło ognistego podmuchu. Było to jednak udane lądowanie.

Smitt pozostał przy pulpicie. - Ten drugi się nie oddalił - ostrzegł pozostałych.

Nadlatuje! Nawet teraz mogą przegrać! Kartr patrzył, jak trap wyjściowy wysunął się z porzewiałej burty. Wystarczyło, aby przeciwnik skorzystał ze swych rakiet. Nawet nie musiał tu lądować, żeby pozostały jedynie dymiące zgliszcza.

Gdyby udało im się ściągnąć uciekinierów do sali, byłby cień szansy. Sierżant wybiegł na skraj dymiącego jeszcze lądowiska i machał rękami w stronę figury, która pojawiła się na trapie.

- Zabierz wszystkich do budynku! - krzyknął. - Nadlatują piraci, mogą odpalić rakiety!

Zobaczył zdecydowane skinienie głowy i serię wykrzyczanych w głąb statku rozkazów. Pasażerowie zaczęli pospiesznie opuszczać pojazd. Były to głównie kobiety. Niektóre niosły lub ciągnęły za sobą dzieci. Zwiadowcy i Zacathanie zjawili się gotowi do pomocy. Kartr popędzał nowo przybyłych w kierunku budynku. Kiedy ludzki strumień urwał się, sam wspiął się na trap.

- Wszyscy wyszli?

- Tak jest - odpowiedział oficer. - Wiesz, na jakim kursie są piraci?

Zinga dobiegł do nich. - Zbliżają się tym samym kursem.

Oficer odwrócił się i wszedł do wnętrza statku. Kartr wystukiwał palcami nerwowy rytm na poręczy trape. Na co ten facet czekał?

Po chwili sierżant został niemal porwany z miejsca przez piątkę mężczyzn, którzy wypadli z pojazdu i ciągnąc go ze sobą biegli w stronę budynku. Ledwie znaleźli się na jego progu, statek patrolu wystartował w przestrzeń.

Oślepiony powodzią płomieni, Kartr przywarł do jednej z kolumn, by utrzymać się na nogach.

- Co...?

Jednak morze innych pytań zalało jego własne, wykrztuszone ostatnim tchem.

ROZDZIAŁ XVII - TO JESZCZE NIE KONIEC

Szorstka powierzchnia przepierzenia uwierała Kartra, kiedy tłum przycisnął go do ściany. Wszyscy uciekinierzy wcisnęli się w wąską lukę za pulpitem kontrolnym. Nie zważając na nic dookoła, w napięciu wpatrywali się w gwiazdną mapę. Tuż przy sierżancie, wysoka dziewczyna w podniszczonym stroju cywilnej pracownicy zaopatrzenia bezwiednie mówiła coś półgłosem.

- Jest tylko jeden, na miłość Ducha Kosmosu, musi pokonać tylko jeden...

Ów jeden to pojedynczy, czerwony punkt oznaczający piracki statek, pędzący wciąż kursem na Ziemię, z pewnością kierujący się na miejsce, gdzie się właśnie znajdowali. Obserwując go, dostrzegli nagle drugi punkt na ekranie - statek patrolu, wychodzący mu naprzeciw.

- Czas rozpocząć unik! - jakiś mężczyzna w tłumie nie panował nad emocjami. - Zrób to, Corns!

Jak gdyby ten na wpół rozkaz, na wpół błaganie, rzeczywiście dotarło w kosmos, statek patrolu zmienił kurs. Wyglądało to, jakby rzucił się do panicznej ucieczki przed piratem. Wysoko w przestworzach, samotny, dzielny mężczyzna, pochylał się nad pulpitem pilota, gotów stoczyć swą ostatnią bitwę, by uratować swych ludzi. Samotny rycerz!

Mimo pozorów, panował nad sytuacją i zmieniał kurs umiejętnie zmuszając wrogi statek do pogoni i oddalenia się od Terry. Poświata dała znak, że podniósł zasłonę. Było to sprytne posunięcie, stanowiące otwarte wyzwanie dla piratów, kusząc ich, aby pokonali kruchą barierę, wypuścili pro mień naprowadzający i rozbili w puch statek patrolu. Tyle że pojazd prowadzony przez kapitana Corrisa nie był już tylko statkiem, był śmiercionośną bronią! Próbując go wyprzedzić i przechwycić, wróg mógł jedynie uruchomić mechanizm, który zniszczyłby go w momencie nawiązania walki. Kartr usłyszał stłumiony szloch i groźne pomruki.

- Uruchomił głowicę tonitową - to dziewczyna stojąca tuż obok. Wypowiedziała te słowa, jakby chciała sama siebie pocieszyć, a nie tłumaczyć pozostałym przebieg wydarzeń na ekranie bezdusznie przekazującym cichą walkę światów w kosmosie. - Chcieliśmy ją odpalić, gdyby nas złapali. Zrobi to, kiedy osiągną go promieniem... - chrypiała z emocji.

Czerwone punkty poruszały się pozornie beładnie, chaotycznie, jak szermierze gotujący się do zadania ciosu. Mimo że Kartr nie znał się na arkanach walki w kosmosie,

domyślał się, że obserwuje ostatni bój wspaniałego pilota. Piratom musiało się wydawać, że słabszy od nich pojazd patrolu desperacko próbuje się od nich oddalić.

- Żeby tylko się nie zorientowali! - dziewczyna niemal się modliła. - Duchu Przesztorzy, nie pozwól, żeby się zorientowali...

Końcówka przebiegła tak, jak zaplanował pilot patrolu. Łuna ekranów bitewnych rozświetliła oba statki, a następnie znikła wokół pojazdu patrolu. Punkty zbliżały się do siebie. Piraci skutecznie wykorzystali swój promień przechwytyjący i ściągnęli przeciwnika do swej służby, przez którą mogli wejść na jego pokład. Punkty zetknęły się ze sobą.

Ognisty kwiat zakwitł na ekranie. Trwało to tylko sekundę. Nic po nim nie zostało, absolutnie nic. Mapa była martwa, jak wtedy, gdy pierwszy raz ją zobaczyli. Jedynie punkty oznaczające gwiazdy pobłyskiwały zimnym światłem.

Nikt w tłumie się nie poruszył. Nie mogli uwierzyć, nie chcieli, że to, co przed chwilą oglądali, wydarzyło się naprawdę. Ktoś westchnął głęboko i powoli, jakby bezwiednie, zaczęli rozchodzić się po wielkiej sali. Słysząc było tylko szuranie stóp o kamienną posadzkę.

Przez przezroczysty sufit przesączało się blade światło poranka. Kartr wszedł na łóżę. Położył rękę na oparciu fotela ze znakiem Terry i po raz pierwszy przyglądał się nowym towarzyszom niedoli.

Stanowili bardzo mieszaną grupę, zarówno pod względem rasy, jak i gatunku, czego można było się spodziewać po mieszkańcach bazy zwiadowców patrolu. Było wśród nich dwoje Zacathanów, blada kobieta i dwójka dzieci w goglach Faltharianów, był też pewien, że dostrzegł pierzasty grzebień, który mógł zdobić głowę jedynie Trystianina.

- Pan tu dowodzi?

Odwrócił głowę. Zobaczył dziewczynę, tę samą, obok której obserwował walkę, i jeszcze dwóch mężczyzn. Automatycznie uniosł dłoń do hełmu, którego od dawna już nie nosił.

- Zwiadowca sierżant Kartr z vegańskiego *Starfire'a*. Rozbiliśmy się tu jakiś czas temu. Nasz oddział składa się jeszcze z trzech zwiadowców, łącznościowca i zbrojeniowca.

- Medyk Veelson - przedstawił się niższy z mężczyzn. Miał niezwykle melodyjny głos. - To trzeci oficer Moxan ze statku bazy i sierżant Adrana z sekcji kwatery głównej. Oddajemy się pod pańskie rozkazy.

- Wasza grupa...

- Nasza grupa - odpowiedział natychmiast Veelson - to trzydzieści osiem osób. Dwadzieścia kobiet i szóstka dzieci - to rodziny zwiadowców. Pięciu członków załogi pod

dowództwem Moxana oraz sześć kobiet ze służby pomocniczej sierżant Adrany. O ile nam wiadomo, jesteśmy jedynymi, którzy przeżyli atak na bazę CC4.

- Zinga, Fylh, Rolth - Kartr zaczął wydawać rozkazy, jakie należało wydać w takiej sytuacji. - Zorganizujcie grupę do zbierania chrustu i rozpalcie ogniska. - Zwrócił się do medyka: - Rozumiem, że nie ma pan zbyt wielu leków?

Veelson wzruszył ramionami. - Mamy tylko to, co zdążyliśmy wynieść. Z pewnością to niewiele.

- Zinga, wyślij grupę myśliwych. Smitt, przejmij pulpit komunikacyjny. Nie chcielibyśmy chyba przespać ataku kolejnego statku. Czy ktoś z pana grupy zna się na łączności? - spytał Moxana.

Zamiast odpowiedzieć bezpośrednio, oficer odwrócił się i krzyknął: - Havre!

Przybiegł do niego mężczyzna w mundurze członka załogi.

- Praca przy łączności - warknął oficer. - Pod dowództwem tego technika.

- Ponieważ wspomniał pan o polowaniu, chyba to znaczy, że można tu żyć - zauważył Veelson.

- To planeta typu Arth. Jest dla nas gościnna. To przecież Terra.

Kartr wpatrywał się w twarz medyka, żeby zaobserwować jego reakcję.

- Terra - powtórzył Veelson. Po chwili otworzył szeroko oczy.

- Dom Panów Kosmosu! Ale przecież to tylko legenda, bajka!

Kartr tupnął w podłogę łoży. - Dość materialna bajka, nie uważa pan? Znajdujemy się w Sali Odlotów. Niech pan spojrzy na ławy pierwszych zwiadowców Kosmosu. - Wskazał rzędy siedzisk, - Proszę przeczytać ten napis. Tak, to Terra z układu Sol!

- Terra! - Veelson nie przestawał kręcić głową w zdumieniu. Kartr zwrócił się do dziewczyny.

- Ma pani tu przeszkolony personel. Czy mogłaby się pani zaopiekować kobietami i dziećmi? - spytał nagle. Takie sprawy dotąd nie leżały w jego kompetencjach. Zakładał obozy, prowadził ekspedycje, przedzierał się przez wiele dziwnych światów, lecz nigdy nie był odpowiedzialny za grupę o podobnym składzie.

Chciała skinąć głową, zaczerwieniła się i zasalutowała regulaminowo. W chwilę później krążyła wśród zmęczonych kobiet i hałaśliwych, nadmiernie podnieconych dzieci, wspierana przez rodzinę Zacathanów.

- Czy jest możliwe, by gonił was jeszcze jeden statek? Co tak naprawdę zdarzyło się w bazie? - wypytywał medyka.

- Została kompletnie rozbita. Jednak już wcześniej działo się coś niedobrego. Zerwały się linie zaopatrzenia i komunikacji. Doroczne dostawy opóźniały się o trzy miesiące jeszcze przed atakiem. Od tygodni nie docierały do nas wiadomości z Kontroli Centralnej. Wysłaliśmy tam krążownik, który nigdy nie wrócił.

Potem przybyła flota piratów. To była prawdziwa flota, a cały nalot był starannie przygotowany. Mieliśmy pięć statków w bazie. Dwa wystartowały i rozbiły trzech najeźdźców, zanim je zniszczyli. Trwaliśmy przy działach, aż udało się oczyścić niebo dla statku z uciekinierami.

Daliśmy się zaskoczyć, bo nadlecieli pod fałszywymi znakami. Myśleliśmy, że to przyjaciele, aż było za późno. To były statki Centralnej Kontroli! Albo jakaś część floty się zbuntowała, albo coś strasznego stało się z całym imperium. Zachowywali się, jakby to patrol został wyjęty spod prawa. Atakowali bezlitośnie. Ponieważ wysyłali prawidłowe sygnały, niczego nie podejrzewaliśmy. Zachowywali się, jakby to oni reprezentowali prawo.

- Może teraz tak właśnie jest - powiedział Kartr ponuro. - Może była rebelia w tym sektorze. Zwycięzcy mogli systematycznie niszczyć bazy patrolu. To pozwoliłoby im przejąć kontrolę nad szlakami. Bardzo praktyczne posunięcie, jeżeli nastąpiła zmiana rządu.

- Też tak pomyśleliśmy. Nie mogę powiedzieć, żeby nam się to spodobało. W końcu zdołaliśmy wejść na pokład jednego statku zaopatrzeniowego i uruchomić patrolowiec. Reszta to już tylko ucieczka przez kosmos. Ustawili się między nami a regularnymi szlakami, więc musieliśmy lecieć w tę stronę. Straciliśmy patrolowiec...

Kartr skinął głową. - Widzieliśmy to na ekranie, zanim dostrzegliśmy was.

- Staranował statek flagowy, rozumie pan? Statek flagowy floty!

- Ale zrobił to skutecznie, proszę o tym nie zapominać. Jest pan pewien, że goniły was tylko dwa statki?

- Tyle wykryły nasze ekrany. Ale kiedy żaden z nich nie powróci... jak pan sądzi? Wyślą następne?

- Nie wiem. Może wiedzą, że patrol zawsze walczy do końca i uznają, że nastąpiło wzajemne wyniszczenie. Ale Smitt i wasz człowiek będą czuwać. Ostrzegą nas, gdyby ktoś się zbliżał.

- A wówczas co?

- Ogromne rejony tego świata są dzikie. Będzie gdzie się ukryć w razie czego. Nigdy nas nie znajdą.

Pod koniec dnia obóz był już jako tako zorganizowany. Grupa myśliwych zadziałała sprawnie, tak że nikt nie cierpiał głodu. Kobiety zebrały dość miękkich gałązek, liści i traw,

żeby dla wszystkich znalazło się posłanie. Nie odebrano żadnych groźnych sygnałów - ekran był cały czas pusty.

Zapadła noc. Kartr stał na szczycie schodów patrząc w zamyśleniu na lądowisko. Przez cały dzień kilka osób pomagało mu przeszukiwać pozostałości po obozowisku tubylców. Znaleźli dwie dzidy i garść metalowych grotów strzał - skarby, których znaczenie zostanie właściwie ocenione, kiedy skończą im się ładunki w ostatnim miotaczu i broń wyprodukowana przez ich rozwiniętą cywilizację stanie się bezużyteczna.

Jutro znów trzeba będzie zapolować i...

- Piękna noc, nieprawdaż, proszę pani? Oczywiście świeci tu tylko jeden księżyc zamiast trzech, ale za to bardzo.

Kartr drgnął i odwrócił głowę. Zicti w towarzystwie Adrany zbliżał się w jego stronę.

- Trzy księżyce? Tyle świeci nad Zacathan? Dla mnie dwa wydawałyby się bardziej normalne. - Roześmiała się.

Dwa księżyce. Kartr starał się przypomnieć sobie wszystkie planety z dwoma księżycami i zastanawiał się, która z nich mogłaby być domem dziewczyny. Znał jednak z dziesięć takich, a na pewno nie były to wszystkie. Żaden człowiek, choćby przeżył cztery życia, nie był w stanie poznać wszystkiego, co kryła w sobie galaktyka. Dwa księżyce to zbyt nikła wskazówka.

- O! Sierżant! I pana noc wyciągnęła z łóża? Widząc, jak bardzo polubiłeś ciemny, uśpiony świat, można by pomyśleć, że jesteś Faltharianinem.

- Myślałem o przyszłości - odpowiedział. - Nie jestem Faltharianinem, lecz barbarzyńcą - dodał. - Wie pan, co mówiono o nas z Ylene - jadamy surowe mięso i czcimy dziwnych bogów.

- A pani? - Zicti zwrócił się do dziewczyny. - Nad którym ze światów pobłyskiwały pani dwa księżyce?

Drgnęła, jakby chciała bronić się przed ciosem, chwilę wpatrywała się w lądowisko i dopiero potem odpowiedziała.

- Urodziłam się w kosmosie - jestem pół krwi. Mama była z Krift. Ojciec pochodził z któregoś z zewnętrznych układów, nawet nie wiem z którego. Świat z dwoma księżycami pamiętam jedynie z dzieciństwa. Widziałam jednak wiele światów - pochodzę z rodziny patrolu.

- Wszyscy widzieliśmy wiele planet - zauważył Kartr - a teraz chyba dokładnie poznamy tę jedną.

Zicti z upodobaniem wciągnął wieczorne powietrze. - Ale jakaż ona przyjemna, dzieci moje. Muszę się wam przyznać, że wiąże z nią wielkie nadzieje.

- Dobrze wiedzieć, że choć jedna osoba tak myśli - powiedział ponuro Kartr.

Jednak Adrana poparła profesora. - Ma pan rację. - Położyła dłoń na pokrytym łuskami ramieniu historyka. - To naprawdę dobry świat. Kiedy byłam na wzgórzu, powietrze smakowało jak wino. Jest wolny i żywy. - Zrobiła pauzę, jakby zdumiona własnymi słowami.

- Czuję się tu jak w domu!

- Bo to jest Terra, pamięć rasowa...

- No nie wiem. Po tak długim czasie, to chyba niemożliwe, prawda?

- Kto wie? - zdecydował się zdradzić własne odczucia. - Kiedy tu wylądowaliśmy, kiedy zobaczyłem zieleń tej roślinności, również miałem wrażenie, że coś z tego pamiętam.

- Cóż, moje dzieci, ja na pewno nie pamiętam Ziemi, ani też nikt z mojej rasy. Nadal jednak twierdzę, że wylądowaliśmy na dobrej planecie, miło będzie tu się rozgościć. Nie pozostaje nam nic innego.

- A co z miastem i klanami? - spytał sierżant. - Myśli pan, że będą siedzieć spokojnie i pozwalać nam na taką uzurpację?

- To szeroki świat. Kiedy wynikną problemy, będziemy stawiać im czoło. Teraz jednak wpatrujcie się w księżyc już beze mnie. Przepraszam - śmiejąc się cicho, począł w głąb budynku.

- Co to za miasto i klany, o których mówiłeś? To tubylcy? - spytała dziewczyna.

- Tak. - Kartr krótko przedstawił jej sytuację. - Sama widzisz - dokończył - że ten świat nie jest tylko nasz. Ponieważ nie możemy na zawsze pozostać w tym miejscu, wkrótce trzeba będzie podjąć jakieś decyzje.

Pokiwała głową. - Jutro powiedz to wszystkim. Powiedz im wszystko, co mi powiedziałeś.

- Chodzi ci o to, żeby sami mogli zdecydować? W porządku - wzruszył ramionami.

Co będzie, jeżeli wybiorą komfort miasta? To byłoby przecież bardzo naturalne. Był jednak pewien, że on sam już tam nie wróci, podobnie jak inni, którzy z nim wyjdą z tego pomnika zamierzchłej przeszłości.

Ponieważ uznał, że każdy musi sam podjąć decyzję, następnego ranka znów stanął w łoży. Czuł suchość w gardle, lecz przemawiał pewnym głosem. Kiedy skończył, był wyczerpany, jak po dniu przedzierania się przez gęsty busz. Wszystkie te wpatrzone w niego twarze, były opanowane, jakby bez wyrazu.

Czy ktokolwiek naprawdę go słuchał? A jeśli tak, to czy go zrozumieli? Może ta obojętność wynikała z faktu, że ostatnio tyle już przeżyli, że nic nie jest ich w stanie poruszyć?

- Tak właśnie przedstawia się nasza sytuacja.

Uciekinierzy milczeli. Po chwili usłyszał odgłos kroków zmierzający w jego stronę. Veelson stanął w łożu obok niego.

- Wysłuchaliśmy sprawozdania sierżanta zwiadu. Przedstawił nam dwie drogi, którymi możemy się udać. Pierwsza - możemy spróbować nawiązać kontakt z grupą cywili zajmującą niezbyt odległe miasto, częściowo uruchomione. Mają kłopoty z żywnością, a w dodatku - medyk zawiesił na chwilę głos - to grupa złożona wyłącznie z ludzi.

Słuchacze nadal nie reagowali. Czy spotkali się już kiedyś z rasistowskimi postawami? Musieli! Przecież gwałtownie narastały. Im jednak były najzupełniej obce. Na ławie oznakowanej Daneb siedziała falthariańska kobieta, trzymająca w ramionach maleńkiego Trystianina, którego matka nie przeżyła ataku na bazę. Zor siedział między chłopcami w jego wieku z wewnętrznych systemów. Ta grupa nie dzieliła się według kryteriów rasy. To byli zwiadowcy!

- Tak więc, możemy iść do miasta - powtórzył Veelson - albo też możemy wybrać drugą drogę, z którą wiąże się dużo więcej trudności. Będąc jednak zwiadowcami z wykształcenia i tradycji, jesteśmy do tego przyzwyczajeni. To droga życia takiego, jakie wiodą tubylcy.

Sierżant Kartr mówił o zimowej porze roku, która chyba właśnie nadchodzi. Wskazał też, że nie możemy tu pozostać - mamy zbyt mało żywności. Możemy powędrować na południe, za większością tubylców, którzy opuścili to miejsce kilka dni temu. Chociaż teraz nie możemy nawiązać z nimi kontaktu, jak wykazały przykre doświadczenia, w późniejszym czasie kontakt nie jest wykluczony. Mamy trochę leków i odpowiednią wiedzę. Jednak pewnie miną lata, zanim spróbujemy takiej fraternizacji.

Oto dwie możliwości, nad którymi musimy teraz zagłosować...

- Medyku Veelson! - jeden z członków załogi statku wstał z ławy. - Czy to znaczy, że wyklucza pan jakąkolwiek możliwość nadejścia pomocy z zewnątrz? Nie moglibyśmy tu jednak pozostać i próbować nawiązać jakąś łączność? Jakikolwiek statek patrolu...

- Statek patrolu! - medyk przerwał mu wypranym z emocji głosem, co zabrzmiało bardziej dobitnie niż krzyk.

- Taka próba może równie dobrze ściągnąć do nas kolejnych piratów. Nie mamy możliwości zidentyfikowania żadnego pojazdu, zanim nie będzie za późno. Pamiętajcie, że

Terra nie występuje na mapach. Została zapomniana tak dalece, że jej nazwa uznawana jest za legendarną. Przez salę przeszedł stłumiony szmer.

- Więc musimy pogodzić się z wygnaniem? - spytała jakaś kobieta.

- Uważam, że tak. - Odpowiedź Veelsona zabrzmiała stanowczo i wyraźnie.

Nastąpiła kolejna cisza. Prawda zaczynała do nich docierać. Kartr z dumą zauważył, że przyjmowali ją ze spokojem.

- Myślę, że chcielibyśmy trzymać się razem - ciągnął medyk.

- Tak! - gromka odpowiedź odbiła się echem od sufitu. Patrol trzyma się razem. To wezwanie, należące do nich od pokoleń, nadal ich wiązało.

SPIS TREŚCI

Prolog	3
Rozdział I - Ostatni port	4
Rozdział II - Zielone wzgórza	13
Rozdział III - Bunt	22
Rozdział IV - Latarnia	31
Rozdział V - Miasto	40
Rozdział VI - Ludzie z miasta	49
Rozdział VII - Zwiadowcy trzymają się razem	58
Rozdział VIII - Przewrót pałacowy	68
Rozdział IX - Próba sił	77
Rozdział X - Bitwa	86
Rozdział XI - Wyrzutek	95
Rozdział XII - Kartr rusza w pościg	104
Rozdział XIII - Królestwo Cummiego	112
Rozdział XIV - Zaraza	120
Rozdział XV - Miejsce spotkań bogów	128
Rozdział XVI - Zew Ziemi	136
Rozdział XVII - To jeszcze nie koniec	144